

Anielka



BOLESŁAW PRUS

Anielka

ROZDZIAŁ PIERWSZY. AUTOR DOKONYWA PRZEGLĄDU OSÓB, MOCNO WIERZĄC, ŻE MU Z TYM BĘDZIE LEPIEJ

Anielka jest piękną dziewczyną, a przy tym ani ubogą, ani sierotą. Posiada wszelkie warunki szczęścia: ma rodziców, uczoną guwernantkę, własnego psa i — mieszka na wsi.

A wieś, szczególnie podczas lata, jest najstosowniejszym miejscem pobytu dla dzieci. Są one tam zdrowe, swobodne i lepiej bawią się niż w mieście.

Na obszarze kilkuset morgów spotykają wielką różnorodność widoków, napawających wrażeniami prostymi i spokojnymi młode ich dusze. Tam niebo nie jest próżnią między domami, ale samoistnym sklepieniem, które dobry Bóg rozciągnął nad światem i oparł na falistym polu. Tam są łąki pachnące, przezroczyste i chłodne strumienie, w których pływa obfitość małych rybek. Łany jasnozielonych kłosów żyta kołysze wiatr jak niestrudzona niańka, śpiewając półgłosem: „aa... a!... aa... a!...” — bawiąc ich pąsowymi makówkami i niebieskim chabrem.

Między łanami widać ścieżkę, po której idzie z wolna dziecię odziane w szarą płachtę, z ciepłymi dwojczkami dla ojca. Dalej gościniec, gdzie znudzony długim wypoczynkiem piasek niekiedy zrywa się w kłębach i udaje podróżnego, aby tumanić ludzi w polu. Dalej zagony ziemniaków, gdzie drzemie pierzchliwy zajac. Szare płyty ugorów, na których pasą się zamysłone i strzygące uszami stada rogatego bydła, a dalej — już na granicy świata — lasy, ciemne i surowe z wierzchu, hałaśliwe i wesołe we wnętrzu...

Przy gościńcu wieś ciągnie się we dwa pogięte szeregi, o parę staj — dwór otoczony wielkim ogrodem, szeroki, dostatni. W jednym skrzydle dworu Anielka uczy się pod okiem guwernantki, a w oszklonym ganku od ogrodu jej braciszek Józio bawi się obok matki. Jemu jeszcze wolno bawić się w godzinach powszechniej pracy, bo on mały, ma dopiero lat siedem.

Ładna jest wieś, w której mieszka Anielka. Ładna, gdy nad polami skowronki świergoczą, gdy od łąk dolatuje ciche dźwięczenie ostrzonych kos, gdy na gościńcu biegają z krzykiem opalone dzieci, gdy we dworze po skończonych lekcjach matka z Anielką i Józkiem wyjdzie do ogrodu, aby ze wzgórza patrzeć na pola, łąki, strumienie, gościniec i las odległy.

Może powiedzą sobie z uczuciem sprawiedliwej dumy: wszystko, co stąd wzrok obejmie, ożywia myśl i wola naszego ojca — to nasze! Gdyby nie on, nie byłoby tu ani tak pięknie, ani tak dostatnio!...

A może żadna z nich nie wejdzie na wzgórek, skąd widać całą majątność, aby nie przypominać sobie, że lasu wkrótce już nie stanie, bo go sprzedano, że na łąkach jest mało kosiarzy, bydło nie ma co jeść na ugorach i pola są źle obsiane.

Tu i owdzie między dworskim zbożem tuła się bydlę włościańskie; do niepilnowanego lasu wjeżdżają obce fury. Stodoły puste, budynki obdarte, w spichrzu ledwie parę garści ziarna leży na spróchniałej podłodze. Kilka koni fornalskich rżę w stajni nad pustym żłobem, parobcy wałęsają się po dziedzińcu, a w kuchni krzyk. Jeden z fornali woła, że już nie będzie jadł kaszy na wieczną, bo ją miał dziś dwa razy, inny wyrzeka, że chleb jest pełen ości i mniejszy, niż być powinien.

Gdzie klucznica, żeby uspokoiła swary w kuchni? Podobno jest w miasteczku, leczy się na ból zębów, a może — szuka nowego obowiązku. Gdzie ekonom czy rządcą, aby

dojrżeli robót w polu i nie pozwalali krzywdzić dworskich obszarów? Rządcy już od roku nie ma, a ekonom wyjechał za własnymi interesami.

A gdzie pan tego majątku?...

O tym najmniej wiadomo. On bywa gościem w domu, nawet wówczas, gdy jego sąsiedzi całe dni spędzają w polu. Ostatni raz wyjechał dziesięć dni temu kończyć interesa. Niedawno sprzedał las i wziął trzy tysiące rubli zadatku. Ale na lesie ciąży serwituty, które wypada znieść na św. Jan. Jeżeli serwitutów nie zniosą, pan lasu nie sprzeda i będzie musiał ustąpić z majątku, co prawda, bardzo odłużonego. Niemcy zawarli z nim taki układ, który on pół roku temu śmiejąc się podpisał, pewny, że... jakoś to będzie!...

Bodaj to — dobre przysłowia!... Ale Anielka nie zna się jeszcze ani na przysłowiach, ani na interesach.

Obecnie pojechał dziedzic kończyć sprawę lasu z komisją włościańską. I skończył pomyślnie, gdyż na św. Jan ma przyjechać komisarz i asystować przy ostatecznej ugodzie z włościanami. Podobno chłopci zdecydowali się wziąć po trzy morgi na osadę za zrzeczenie się swoich praw — i — wszystko pójdzie dobrze.

Z tego powodu dziedzic, pan Jan, nie śpieszył się z powrotem do domu. Dziś już nic w gospodarstwie nie poprawi, bo to czerwiec. Weźmie się dopiero po ukończeniu interesu leśnego. Tymczasem musi się zobaczyć z krewnym, który wyjeżdża za granicę, i udzielić rad przyjacielowi, który się żeni.

Dziedzic był człowiekiem lekkiego serca, przynajmniej tak nazywali go rolnicy pedanci. Najważniejszy interes opuścił on dla rozrywki w towarzystwie ludzi dobrego tonu, a już dla uniknięcia przykrości Bóg wie czego by się nie wyrzekł. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że wszystko zrobi się bez jego udziału; od dzieciństwa zaś miał to przekonanie, że ludzie jego stanowiska nie mogą nurzać się w pracy i poziomych kłopotach.

Bawić się, błyszczeć dobrym tonem, dowcipkować i utrzymywać arystokratyczne stosunki — oto były cele jego życia. Innych nie znał, i z tego może powodu w ciągu kilkunastu lat stopniał mu w rękach naprzód majątek własny, a obecnie — posąg żony.

Kiedyś (gdy się ureguluje zachwiane społeczeństwo) miał nadzieję odzyskać wszystko. Jakim sposobem? Gdyby go o to zapytano, uśmiechnąłby się tylko i skierowałby rozmowę na inny przedmiot.

Ludzie jego sfery rozumieli widać ten sposób; inni nie zrozumieliby go. Po co więc wdawać się z nimi w gawędy?

Niekiedy w stadle, gdzie mąż jest istotą, która dzięki wychowaniu i stosunkom późniejszym nigdy nie dotknęła stopą ziemi, trafia się żona energiczna i rozsądna. Tu na nieszczęście nie było ani jednego, ani drugiego.

Pani Janowa, matka Anielki, za czasów kwitnącej młodości odznaczała się niepospolitym wdziękiem, słodyczą charakteru i towarzyskimi zaletami. Umiała ubierać się, przyjmować gości, grać, tańczyć i mówić po francusku częściej niż rodowitym językiem. Przez kilka lat po zamążpójściu bawiła się jak anioł, a mąż za nią przepadał. Później, gdy mąż ochłonął nieco w sakramentalnej miłości, stała się wzorową żoną i po całych dniach siedziała w domu nudząc się w sposób, o ile można, łatwy, a bezwarunkowo cnotliwy. W końcu zaczęła chorować i od trzech mianowicie lat otoczyła się lekarstwami.

Pan tymczasem jeździł — niby Sowizdrzał — jak mówi lud. Niekiedy wpadał do domu i prosił żonę o podpisanie jakiegoś papieru. Ta skarżyła się przed nim na samotność i brak wygód; ale gdy mąż obiecał, że od św. Jana wszystko zmieni się na dobre, uspakajała się i podpisywała, co chciał.

Ludzie więcej znali ją tylko z kościoła; w kuchni nie widziano jej nigdy. Światem jej był dwór i niekiedy park. Lekarstwa, wystrzeżenie się szkodliwych wpływów klimatycznych, wspomnienia zabawy i nudy obecne — wypełniały jej życie, które znosiła raczej z apatią niż z rezygnacją.

Położenia nie rozumiała, o możliwej stracie majątku nie myślała nigdy. Gdy doszło do tego, że mąż począł zastawiać jej klejnoty, płakała i robiła mu wymówki. Pomimo to dziwiła się, że nie ma tej służby, co niegdyś, i wypowiadała życzenia swoje jak za najlepszych czasów: „Kup mi to” — „przywieź owo” — „przyjmij tego...” — a gdy mąż woli jej nie spełnić, nie unosiła się gniewem ani niepokoiła obawą złej przyszłości.

„Jaś *nie chce* mi tego zrobić!” — myślała nie przypuszczając nawet, aby Jaś *nie mógł* czegoś zrobić jako kandydat na bankruta.

Pod bezpośrednim wpływem matki chował się Józio. Do czwartego roku życia karmiono go sagem, mianą i cukrem; nie pozwalano mu wychodzić zbyt często na dwór, aby się nie zgrzał lub nie zaziębił; nie dawano mu biegać, aby sobie czego nie złamał.

System ten zrobił dzieciaka wątłym; a ponieważ w owym czasie jego mama poczęła leczyć się, więc i jego leczono. W ciągu trzech lat następnych chłopiec nauczył się trochę po francusku, poznał w siódmym roku życia dużo lekarstw, był uważany i sam uważał się za chorego. Dziecko, z natury nie najgorsze i nie najbardziej tępe, zrobiło się tworem nudnym, bojaźliwym, nieruchawym i wyglądało na idiotę.

Józio albo milczał, albo mówił o swych chorobach jak dojrzały hipokondryk. Na obcych robił dziwne wrażenie, ale w domu przyzwyczajono się do niego.

Starsza siostra jego, Anielka, miała lat trzynaście. Przyszła na świat jeszcze w tej epoce, kiedy mama bawiła się. Oddano ją więc pod dozór nianiek i piastunek, z których żadna nie służyła we dworze dłużej roku. Z jakiego powodu? O tym podobno tylko dziedzic wiedział.

Że zaś bony, a później guwernantki mało zajmowały się edukacją Anielki, dziecko więc samo się wychowywało. Anielka biegała po wielkim ogrodzie, wchodziła na drzewa, bawiła się z psami, a niekiedy z folwarcznymi dziećmi, na co jej jednak nie pozwalano. Czasem wpadała do stajni i jeździła konno jak chłopczyk, co bardzo martwiło jej przewodniczki, osoby dziwnie skromne i z tego zapewne tytułu cieszące się życzliwością dziedzica.

Lecz teoretyczne nauki dziewczęcia były strasznie zaniedbane, podobnie tak zwane „ulożenie”. Nic tych rzeczy nie umiała, gdyż nikt jej nie uczył.

Takie okoliczności utworzyły z Anielki istotę nieco szczególną, lecz sympatyczną. Po rodzicach odziedziczyła piękność i wrażliwość. Wiek robił ją żywą jak iskra; swoboda zbliżyła ją do natury, którą Anielka kochała i pojmowała.

Zachowanie się jej było pełne niespodzianek. Każde silniejsze wrażenie objawiało się w niej jak w dziecku: śmiechem, płaczem, skokami lub śpiewaniem. Rzeczy piękne lub tylko ładne zachwycaly ją; czyjś smutek i kłopot mógł ją pobudzić do aktu poświęcenia. Gdy zaś miała czas zastanowić się nad czym, zdania jej przypominały osobę zupełnie rozwiniętą, nieco sentymentalną, zawsze szlachetną.

Nareszcie pewnego dnia zrobiono odkrycie, że Anielka umie bardzo mało, prawie nic, więc — sprowadzono jej mądrą guwernantkę, pannę Walentynę.

Była to osoba w gruncie rzeczy dobra, dość umiejąca, ale na swój sposób zbakierowana. Nieladna, stara panna, trochę demokratka, trochę filozofka, trochę histeryczka i wielka pedantka. Kto ją widział przy lekcji, mógł sądzić, że patrzy na mumię. Pod zimną jednakże powłoką kwasilo się dużo rozmaitych uczuć, które z panny Walentyny mogły zrobić w danym razie pomocnicę męskiej Judyty, w innym — ofiarę niesumienności jakiego przedstawiciela płci męskiej. Jedno i drugie w miniaturze.

Taką jest doraźna charakterystyka głównych działaczy niniejszego opowiadania. Wszyscy oni stąpają po podminowanym gruncie, który w języku pospolitym zwie się: bankructwem.

ROZDZIAŁ DRUGI. CZYTELNIK BLIŻEJ POZNAJE BOHATERKĘ, JEJ GUWERNANTKĘ, A TAKŻE PIESKA — IMIENIEM KARUŚ

Ktokolwiek spożywał papierowe owoce z drzewa wiedzy o złym, dobrym i nudnym, ten nie zapomniał chyba cywilizacyjnej czynności zwanej wydawaniem lekcji.

Bez wielkiego trudu możemy uprzytomnić sobie mętne chwile, w czasie których poprzednik nasz, wedle szkolnego spisu uczniów, *bąkał* albo *pytlował* zadaną lekcję. Pamiętamy chaos, jaki wypełniał całą naszą istotę od kurzu na podeszwach aż do pomady ma włosach, gorączkowe oczekiwanie własnej kolei i pytania natrętnie cisnące się do myśli: „A może mnie nie *wyrwie*?... może godzina wybije?... może go inspektor wywoła?... może stanie się coś dziwnego?...”

Tymczasem spotniały nasz poprzednik wypowiadał ostatnie wyrazy lekcji i siadał przypatrując się z wielką uwagą piątce, trójce albo jednostce, którą obok jego nazwiska

rysował w swoim katalogu profesor. Potem — czuliśmy wewnątrz jakąś niezmierną ciszę, wśród której, z łoskotem kamienia uderzającego w szybę, wywołano nasze nazwisko.

Odtąd nie czuliśmy, nie widzieli i nie myśleli nic, zasluchani w wartki potok wyrazów, który wypływał nam z okolic przetyku, obracał język, potykał się o zęby i poruszywszy kolumnę powietrza tudzież władze umysłowe znużonego profesora, krystalizował się ostatecznie w „notesie”, przybierając tam formę mniej lub więcej oplakanego stopnia.

Błogie zadowolenie wewnętrzne bywało zwykle nagrodą tej pracy, jakąśmy (wedle jednoznacznej opinii osób starszych) wykonali dla dobra naszej przyszłości, na którą — piąta deklinacja łacińska, słowa: *sein, haben* i *werden*, tudzież fałszywie podane nazwiska królów egipskich — stanowczy wpływ wyrzucić miały.

Tak rzeczy stoją w szkołach, gdzie z powodu natłoku uczniów inkwizycje pedagogiczne odbywają się krótko i nieczęsto. W edukacji zaś prywatnej, przy której uczeń wciąż musi wydawać lekcje, miejsce trwogi i gorączkowej niepewności zajmuje trwające kilka godzin ogłupienie, a potem — wybuch ukontentowania, jakby nas z ukropu dobyto.

Chwila podobna zbliża się właśnie dla Anielki, wypowiadającej przed guwernantką swoją, panną Walentyną, ostatnią popołudniową lekcję — jeografii.

Dziewczynka stoi na środku pokoju, oparłszy złożone jak do modlitwy ręce na czarnym, lakierowanym stole. Ciemne włosy jej w powodzi czerwcowego słońca błyszczą jak złotymi nićmi przetkane. Machinalnie przestępuje z nóżki na nóżkę i błądzi oczyma po drzwiach, prowadzących do pokoju matki, po suficie lub stole, zarzuconym materiałami i narzędziami oświaty.

— Modena — trzydzieści tysięcy mieszkańców. Dla ochrony od upałów ma odkryte chodniki... Reggio, wymawiaj: Redzio...

— Ależ Reggio mówić nie potrzeba, a tym bardziej dodawać: wymawiaj. Jesteś strasznie roztrzępana, moja Anielciu, a masz już lat trzynaście.

Upomnienie to wyszło z wąskich ust panny Walentyny, osoby, która cieszyła się szarymi włosami, szarą twarzą, szarymi oczyma i ciemnopopielatą suknią w białe kropeczki.

— Redzio... — powtórzyła Anielka i zacięła się. Na białą twarz jej wystąpił silniejszy rumieniec, szafirowe oczy niespokojnie przebiegały ze stołu na sufit. Aby wyjść z kłopotu, szepnęła cicho:

— Reggio — wymawiaj: Redzio... — A potem powtórzyła głośno: Redzio... — piętnaście tysięcy mieszkańców...

I odetchnąwszy jak tragarz, który ustawił nareszcie wielki kufer w lokalu trzeciego piętra, mówiła dalej:

— Niedaleko tego miasta widać rozwaliny zamku Canossa...

— Kanosa! — poprawiła ją dama popielatego koloru.

Powtórnie zbita z tropu dziewczynka znowu zarumieniła się, zawahała, później powtórzyła raz już wypowiedziany frazes: „niedaleko tego miasta...” i kończyła:

— ...na podwórzu którego cesarz Henryk IV w kornej postaci przez trzy dni błagał Grzegorza VII, papieża, o zdjęcie klątwy, 1077 roku... Carrara...

— Ależ nie *Carrara*, tylko *Karara*...

— *Karara*... *Karara* nieopodal od morza, łomy marmuru, słynnego z białości...

Skończyła, dygnęła i usiadła na krześle, myśląc: „Boże! jakie to nudne...”.

Uczona dama, z której niobów ciekawie wzywał zakurzony podkład włosienia, wzięła do ręki pióro i po głębokim namyśle napisała w dzienniczku:

„Jeografia — dość dobrze”.

Anielka siedziała z głową pochyloną, niby nie patrząc na dziennik. Mimo to szafirowe oczy jej zrobiły się prawie czarne, kąty ust pochylili na dół...

„I bawić się nie pozwalają, i piszą tylko: dość dobrze — pomyślała. — Niedługo już słońce zajdzie...”.

Dama przygarnęła do siebie książkę.

— Będzie stąd — rzekła — od „Wielkie księstwo toskańskie (starożytna Etruria)...” aż do...

Przewróciła dwie kartki:

— Aż do: „weszły w skład królestwa włoskiego...”.

I nadgryzionym paznokciem zrobiła w oznaczonym miejscu kreskę.

Potem odchrząknęła i głosem łagodnym mówiła:

— *C* w języku łacińskim i od niego pochodzących przed *a*, *o*, *u* wymawia się jak *k*. Powtarzałam to nieraz. Wychowanie twoje, Anielciu, jest bardzo zaniedbane; a masz już lat trzynaście... Musisz wiele pracować, aby doścignąć inne panienki będące w twoim wieku.

Anielka wysłuchała upomnienia jednym uchem. W chwilę później spojrzała ukradkiem na zielone gałązki lipy szeleszczącej w otwartym oknie i — wyciągnęła rękę do książki z zamiarem złożenia jej.

— Jeszcze nie czas! — rzekła nauczycielka.

Dziewczynka, przekonawszy się, że zegar wskazuje dwie minuty do piątej, usiadła. Oczy jej znowu przybrały kolor szafirowy, a później niebieski — usta pięknie wykrojone odchyliły się. Każdy jej mięsień drżał. Po wielogodzinnych lekcjach chciała już wybiec do ogrodu; a tu jeszcze dwie minuty do piątej!...

Od snopów światła ściany pomarańczowego pokoju lśniły się jak metalowe, biała pościel stojącego w kącie łóżeczka Anielki raziła oczy, lustro na stoliku błyszczało jak gwiazda. Z lipy pachniał miód, a z dziedzińca dolatywało pianie krzykliwych kogutów. Świergot ptaków mieszał się z brzękiem pszczół i cichym szemraniem starych drzew ogrodu.

„Ach! ta godzina nigdy chyba nie wybije” — myślała Anielka, czując na twarzy powiew ciepłego wiatru. Zdawało się, że ją napełniają dreszcze światła — zięjącego z nieskończoności.

Panna Walentyna tymczasem, oparłszy się na poręczu krzesła, splotła żyłaste ręce na piersiach i machinalnie patrzyła w ten punkt swej popielatej garderoby, który wieśniacy nazywają podolkiem. W oschłej, zmęczonej wyobraźni widziała się przełożoną pensji złożonej ze stu panien ubranych szaro, które należało utrzymać w karbach porządku aż do uderzenia dzwonka. Marzyła, że ciżba istot młodych, chcących wybiegnąć na ogród, tłoczy ją ze wszystkich stron; ona zaś opiera się żywym falom piersi i rąk ze spokojem i siłą granitu. Ta walka dręczyła ją, lecz zarazem napełniała duszę niewymowną słodyczą. Panna Walentyna czuła, że oczekując na dzwonek, wbrew własnej chęci i porywom młodości aż stu dziewczynek, słucha potężniejszego nade wszystko głosu — obowiązku.

Jeszcze minuta...

Za oknem słychać ciche skomlenie psa, który zwykle o tej porze bawił się z Anielką. Dziewczynka tarła niespokojnie rączki, spoglądając to na zegar, to na wydętą przez wiatr firankę, ale — siedziała.

Nareszcie — zamknięty w wysokiej, ciemnozielonej szafce zegar pokazujący dni, godziny i sekundy, wydzwonił naprzód cienko i prędko cztery kwadransy, potem grubo i powoli — godzinę piątą.

— Możesz złożyć książki — rzekła nauczycielka i powstawszy z krzesła, wysoka, nieco pochylona, ociężałym krokiem zbliżyła się do komody i wzięła z niej szklanek zimnej kawy, przykrytej spodkiem, na którym roily się muchy, ciekawe i głodne.

Anielka w jednej chwili zmieniła się do niepoznania. Figlarny uśmiech odsłonił jej białe i drobne ząbki, oczy przybrały ciemnozieloną barwę i zdawały się sypać iskry. Obiegła parę razy stół nie wiedząc, co pierwiej chować; potem skoczyła do drzwi matczynego pokoju, lecz wnet powróciła do książek i pochylając na bok główkę z odcieniem prośby w głosie, spytała:

— Czy mogę puścić tu Karuska?...

— Ponieważ rodzice pozwalają ci bawić się z nim, więc i ja nie bronię — odparła dama.

Anielka nie słuchając dokończenia zawołała:

— Karuś, tu!...

I w dodatku — gwizdnęła.

Tylko niezwykłej mocy charakteru przypisać należy to, że panna Walentyna, usłyszawszy gwizdnięcie Anielki, nie upuściła z rąk kawy wraz z jej należytościami. Na mizernej twarzy uczonej osoby zajaśniał wyraz wielkiego oburzenia. Lecz nim połknęła bułkę, aby w swoich organach mownych zrobić dosyć miejsca na długą prelekcję o przyzwoitości, pies nie czekając, aż mu drzwi otworzą, skoczył do pokoju oknem.

— Jesteś rozpieszczona, jesteś — dzika dziewczyna! — rzekła dama uroczyście i na znak najwyższej goryczy przełknęła podwójną dozę kawy, wydając przy tym szmer podobny do gulgotania.

— Karusek... zbytniku jakiś... kto słyszał, ażeby wskakiwać do pokoju oknem? — zgromiła go Anielka.

Ale pies nie miał czasu słuchać upomnień. Skoczył jej naprzód do ust, później targnął za sukienkę, oblizał jej powalane atramentem palce i nareszcie schwycił za guziczek wysokiego bucika. Skomlał przy tym i szczekał, aż nareszcie upadł na wznak i wytarzał się po ziemi wywieszając język. Był to pies bardzo żywego temperamentu, miał białą szersść, a na lewym oku czarną łatkę.

Panna Walentyna nie mówiła już nic, pogrążona w przyjmowaniu posiłku i gorzkiej zadumie.

„Życie moje — myślała szanowna panna — podobne jest do tej kawy. Kawa i śmietanka — cierpienie i praca oto jego treść; a jak szklane naczynie nie pozwala rozlewać się płynowi, tak moje panowanie nad sobą hamuje wybuchy rozpaczy. Ledwie ukończyła lekcję, a już mam psa... Szkaradne zwierzę, które pchły roznosi po całym domu...

Ale — pchajmy dalej naszą taczkę boleści i obowiązków...”

W tej chwili przyszło jej na myśl, że w kawie jest cukier. Czy by i jej życie miało kiedy zostać osłodzone? Czym?... chyba jakimś cieplejszym uczuciem?

W niezbyt żywej wyobraźni panny Walentyny owo „cieplejsze uczucie” wyrobiło sobie pewien symbol, co prawda, zmieniający się z biegiem czasu. Niegdyś (gdy wyjechała pierwszy raz na wieś) miał on formę młodego i pięknego właściciela dóbr ziemskich.

Gdy wróciła do miasta, piękny właściciel dóbr ustąpił miejsca brzydkiemu wprawdzie, lecz — poważnie myślącemu lekarzowi. Później było wiele innych symbolów, w których z tego powodu zatarły się cechy indywidualne, i — powstała idea czysta. Idea owa musiała mieć koniecznie więcej niż średni wiek, niezbyt długą brodę, uroczysty tużurek i pełne godności stojące kołnierzyki. Nieujęte widziadło to ukazywało się zazwyczaj pannie Walentynie otoczone mnóstwem szaro ubranych uczennic, stanowiących pensją wyższą dla płci żeńskiej — i stosem naukowych podręczników. Bez pełnienia trudnych, lecz pięknych obowiązków nauczycielskich życie, choćby nawet ocukrowane ciepłym uczuciem, nie miało już dla panny Walentyny żadnego powabu.

Tymczasem Anielka biegała dokoła stołu; za nią warkocz włosów i ogonek jej krótkiej bladuróżowej sukienki, a za nimi pies.

Anielka składała i porządkowała książki, a pies podskakiwał i chwycił dziewczynkę za rękawy lub pukające buciki, widocznie upominając się o należne mu pieczyoty.

Skrzypienie szuflady obudziło nauczycielkę z marzeń. Spojrzała na stół i zawołała:

— Co ty robisz, Anielciu?

— Składam książki. Czy mogę pójść do mamy? — spytała zamknąwszy stolik.

— Idźmy! — rzekła panna Walentyna, podnosząc się z fotelu.

ROZDZIAŁ TRZECI. W KTÓRYM JEST MOWA O MEDYCYNIE, O CELACH ŻYCIA LUDZKIEGO I WIELU INNYCH RZECZACH

Minąwszy dwa pokoje: perlowy, mający pozór szpitalnej celi i jasnyniebieski, który mógł być niegdyś sypialnią młodego małżeństwa, lecz obecnie został czymś niezdecydowanym, Anielka i wesoły towarzysz jej Karus wbiegli do szklanej altany, ze wszech stron gęsto porosłej dzikim winem.

W altanie tej na wysokim stolku siedział z lalką w ręku mizerny chłopczyk w bernardyńskim habicie, a przy nim, obok stolika zapełnionego fiolkami i szklankami, dama w średnim wieku, z uwagą czytająca książkę. Dama ubrana była białą, miała szafirowe oczy wyblakłe, włosy ciemne i na twarzy szczupłej, o pięknych rysach, chorobliwe rumieńce. Zdawała się być wklonowana w ogromny fotel, wyłożony miękkimi poduszkami ciemnozielonego koloru.

Do tej damy przypadła Anielka i poczęła całować jej twarz, szyję, chude i przezroczyste ręce i kolana.

— *Ab! comme tu m'as effrayé, Angélique!* — zawołała dama, składając książkę i całując dziewczynkę w różowe usta. — Już, dzięki Bogu, skończyłaś lekcję?... Zdaje mi się, żeś trochę zmizerniała od obiadu. *N'es tu pas malade?* Ten pies wywróci stolik albo Józia. *Joseph, mon enfant, est-ce que le chien t'a effrayé?*

— *Non!* — odparł malec w habicie bernardyńskim, patrząc osowiałym wzrokiem na siostrę.

— Jak się masz, Józiu?... Dajże mi buzi! — zawołała Anielka, chwytając braciszka za szyję.

— *Doucement! doucement!*... wiesz przecie, że nie można mną trząść, bo ja jestem osłabiony! — odezwał się Józio głosem żalonym.

Potem wydłużył blade usta na kształt ryjka i zasłaniając się rączkami od gwałtownych uścisków siostry, pocałował ją bardzo ostrożnie.

— Jak mama ślicznie dziś wygląda!... musi mama być bardzo zdrowa?... Patrz, Józiu, twemu chłopczykowi zagięła się kurtka do góry — mówiła Anielka.

— *En vérité*, czuję się dziś lepiej. Zjadłam po obiedzie kilka łyżeczek ekstraktu słodowego i wypłam filiżankę mleka. *Ce chien fera du dégât partout*, wypędź go, moja droga.

— Idź, Karo! — zawołała Anielka wypędzając do ogrodu pieska, który, obwąchawszy stojące w kącie wazonny i blaszaną polewaczkę do kwiatów, miał obecnie chęć zająć się jednym z pantofli chorej mamy.

W tej chwili weszła panna Walentyna.

— *Bonjour, mademoiselle!* — powitała ją pani domu. — Cóż to, już skończyłyście lekcje? Jakże tam poszło? *Joseph, mon enfant, prendras tu du lait?*

— *Non, maman!* — odparł chłopiec kiwając głową nauczycielce.

W tej chwili wypędzony pies zaskowyczał i począł drapać we drzwi.

— Poznając z fizjonomii, że czyta pani coś zajmującego. Czy nie *Dumania* Gołuchowskiego, które pani rekomendowałam? — zapytała Walentyna.

— *Angélique! ouvre la porte à cette pauvre bête!*... jego krzyk rozdziera mi serce... Czytam coś lepszego aniżeli *Dumania* — czytam dziełko Raspaila, którego mi ksiądz dziekan był łaskaw pożyczyć — odparła chora. — Zostaw, Anielciu, drzwi otwarte, niech trochę powietrza wejdzie. Nie uwierzysz pani, jakie cudowne kuracje wykonywał ten człowiek swoimi środkami. Jestem zachwycona, i zdaje mi się, że bym była zdrowsza już po przeczytaniu paru rozdziałów. Cóż dopiero będzie, gdy zacznę to wszystko stosować! *Joseph, mon enfant, n'as tu pas froid?*

— *Non, maman!*

— Czy to jednak będzie dobrze leczyć się bez porady doktora? — zauważyła panna Walentyna.

— Może cię wynieść, Józiu, przed ganek? — pytała Anielka brata. — Zobaczylbyś ptaszki, zobaczylbyś, jak Karusek goni motyle...

— Wiesz przecie, że ja nie mogę wychodzić na dwór, bo jestem osłabiony — odparł chłopczyzna.

Nieszczęsne osłabienie było torturą biednego dziecka. O nim tylko myślał i z tego powodu ofiarowany był św. Franciszkowi, którego habit nosił, nie licząc lekarstw, jakimi ciągle go fetowano.

Tymczasem pani domu rozmawiała z guwernantką o lekarzach.

— Co oni umieją, co oni wiedzą! — biadała chora. — Leczą mnie już trzy lata bez najmniejszego skutku. Obecnie porzuciłam ich i będę się leczyć sama, chyba że Jasieczek zawiezie mnie do Chałubińskiego. O! czuję, że on by mi pomógł... Ale Jasieczek nie myśli o tym, w domu bywa rzadko; gdy chce jechać, mówi, że interesa w tej chwili nie pozwalają — wszystko kończy się na obietnicach. *Angélique, chasse ce chien*, bo jest nieporządny!

Niesłusznie skompromitowany Karusek uległ wypędzeniu i los swój przyjął z rezygnacją wyższą nad wszelkie pochwały. Nie przeszkodziło mu to jednak w chwilę później skowyczeć i drapać we drzwi, a następnie gonić poważnie chodzące koguty.

Anielka tymczasem usadowiła lepiej Józia, który się krzywić zaczął, przyniosła matce ciepły szal i angielską gramatykę nauczycielce. Potem wybiegła do kuchni, aby sprowadzić mleko dla Józia i obstałować kotlecik dla matki; wpięła sobie w warkocz kwiatek i wróciła do szklanej altany z dużą, tego zbudowaną klucznicą, panią Kiwalską. Była to dama

w wieku mocno średnim, ubrana w wełnianą suknię w pasy pąsowe i czarne. Workowaty stanik galowej szaty szczęśliwie uwydatniał bogactwa jej popiersia.

Klucznica wdzięcznie dygnęła pani domu, przy czym rozległo się skrzywienie podłogi, i skinęła, głową niepatrzącą nawet na nią guwernantce. Panna Walentyna nie cierpiała Kiwalskiej od czasu, kiedy przechodząc raz koło kuchni, usłyszała klucznicę dowodzącą, że jej, pannie Walentynie, gwałtem męża potrzeba.

— Cóż, moja Kiwalsiu, wróciłaś z miasta? A co tam słyhać?... Czy ci felczer pomógł na zęby?...

— Ach, słyhać i bardzo wiele, mówię łasce pani. Gospodyni księdza dziekana strasznie chora, już jej nogi spuchły; brała Przenajświętsze Sakramenta — odpowiedziała klucznica, pochylając się i bijąc w piersi przy ostatnich słowach.

— Cóż jej to jest?

— Tego nie wiem; ale ksiądz dziekan, mówię łasce pani, to taki chodzi jak kreda biały. Do mnie ani pary z gęby nie puścił, tylko ręką machnął. Ale z oczu, mówię łasce pani, to mu patrzyło, jakby chciał powiedzieć: „Oj, moja Kiwalsiu, żebyś też ty do mnie zgodziła się!... Bo stara patrzy z przeproszeniem na księżą oborę, a te szelmy bez dozoru głodem mię zamorzą”.

Chora dama wstrząsnęła głową, jakby przypuszczając, że Kiwalsia poluje na miejsce konającej, a klucznica wciąż prawiała dalej.

— Anielciu — odezwała się w tej chwili nauczycielka, którą drażniło gadulstwo klucznicy i naiwność jej pani — weź historią wieków średnich i pójdźmy do ogrodu.

— Historią?... — zapytała przestraszona dziewczynka. Ale przywykła do posłuszeństwa natychmiast wyszła do swego pokoju i po upływie kilku minut wróciła niosąc książkę w rękę, a w kieszeni parę sucharków dla wróbli.

— No, idźcie sobie, idźcie — rzekła mama — a ja tu posiedzę z Kiwalsią. Czy pana czasem nie spotkałaś w miasteczku, bo miał być u komisarza na jakimś zebraniu? *Joseph, mon enfant, veux-tu aller au jardin?*

— *Non* — odparł chłopczyna.

Panna Walentyna i Anielka wyszły, a Kiwalska usiadłszy na stołeczku bawiła w dalszym ciągu panią opowiadaniem nowinek. Donośny głos jej, który słyhać było z odległości kilkunasu kroków stopniowo osłabł i w końcu zupełnie przycichnął.

Ogród był wielki, dawny i z trzech stron w podkowę otaczał dom. Tu żyły w dostatku, sędziwych lat doczekawszy, kasztany rodzące biały kwiat, ułożony w piramidkę, a w jesieni kolczaste owoce; klony z liśćmi podobnymi do kaczajki; akacje z listkami ułożonymi jak zęby gęstego grzebienia i paszczekowatymi kwiatami, które wydają woń słodką, przynęcającą pszczoły. Wzdłuż płotu siedziały lipy pełne wróbli pilnujących pól i stodoł, wychudłe topole włoskie i szeroko rozgałęzione u dołu, a ostre u szczytu smutne świerki.

Bzy włoskie zasypane sinymi kitami, bzy lekarskie, których mocno pachnący kwiat używa się na wzbudzenie potów, tarnina rodząca czarne i cierpkie jagody w jesieni, dzikie róże, głóg drzewny, ulubiony przez kwiczoły jałowiec, rozsypane po całym ogrodzie, zapełniały wolne od drzew miejsca, tocząc między sobą długą i cichą walkę o soki z ziemi i węgiel z powietrza. Czasami który z nich obumierał, a wówczas pojawiały się przy nim krótko żyjące, lecz niebezpieczne w zapasach trawy i zielska.

Środek parku zajmowała sadzawka, otoczona fantastycznie wyrosłymi wierzbami. W zimie wyglądały one jak połamane, upadające, chore pnie; w nocy przybierały postaci widziadeł rozkraczonych, garbatych, bezgłowych, wieloramiennych, które tylko na widok człowieka kamieniały w potwornych ruchach, udając rzeczy martwe. W ciepłych miesiącach roku straszyla te odziewały się delikatnymi gałązkami tudzież liściem drobnym o zielonym wierzchu i jasnym spodzie, a w ich dziuplach, mających formę paszcz, gnieździły się ptaki.

Przez ten ogród, który co chwilę zmieniał formy i barwy, chwiał się, pachniał, błyszczał i szemrał, zapełniony skrzydlatymi istotami najrozmaitszych gatunków, szły teraz Anielka i jej guwernantka ścieżyną nierówną, powoli zarastającą zielskiem. Dziewczynkę upajało otoczenie. Oddychała prędko i głęboko, chciała oglądać każdą gałązkę, lecieć za każdym ptakiem albo motylem i wszystko ogarnąć uściskiem. Lecz panna Walentyna

była chłodna. Stąpała drobnymi krokami, patrząc na nosy swych bucików i przyciskając do zwiędłej piersi gramatykę angielską.

— Dowiedziałaś się dziś z geografii, gdzie leży Canossa — rzekła panna Walentyna do Anielki — a teraz masz sposobność dowiedzieć się, za co Henryk IV przeproszał Grzegorza VII. Przeczytasz o tym w dziejach Grzegorza VII, zwanego też Hildebrandem, w rozdziale: Niemcy i Włochy.

Propozycja czytania w takim miejscu oburzyła Anielkę. Chciała westchnąć, lecz powstrzymała się i rzekła ze złośliwą intencją:

— Pani będziesz się w ogrodzie uczyła... po angielsku?

— Tak.

— Więc i ja będę się uczyła po angielsku?

— Pierwej musisz gruntownie poznać język francuski i niemiecki.

— Ach!... A jak już, proszę pani, poznam francuski, niemiecki i angielski, to... co będę robić?...

— Będziesz mogła czytywać książki w tych językach.

— A jak już wszystkie przeczytam?

Panna Walentyna spojrzała na szczyt topoli i wzruszyła ramionami.

— Życie człowieka — odparła — nie wystarcza na odczytanie tysiącznej części ksią-
żek, jakie są w jednej literaturze. A cóż dopiero mówić o trzech, najbogatszych!

Anielkę tym razem ogarnęła niewymowna tęsknota.

— Więc nic, tylko uczyć się i czytać!... — szepnęła mimo woli.

— A cóż byś ty chciała robić w ciągu życia? Czy nad naukę potrafiłabyś znaleźć jakieś szlachetniejsze zajęcie?

— Co ja bym chciała robić? — spytała Anielka. — Czy teraz, czy — jak urosnę?...

A widząc, że panna Walentyna nie raczy jej objaśnić, mówiła dalej:

— Teraz chciałabym umieć to co pani... Już bym się wtedy nie uczyła — oho! Ale później — miałabym dużo do roboty. Zapłaciłabym parobkom pensje, żeby się tak nie marszczyli jak dziś, kiedy mi się kłaniają. Potem — kazałabym opatrzyć te rany na drzewach, bo mówił mi ogrodnik, że niedługo u nas wszystko poschnie i spróchnieje. Naturalnie — wypędziłabym także lokaja za to, że strzela ptaki nad wodą i wypala szczurom oczy... Niegodziwiec!...

Anielka wstrząsnęła się.

— Potem — zawiozłabym mamę i Józia do Warszawy. Nie!... To zrobiłabym najpierw, a pani — dałabym w prezencie cały pokój książek... cha!... cha!...

I chciała uścisnąć pannę Walentynę, która odsunęła się od niej.

— Żałuję cię! — odparła sucho nauczycielka. — Masz dopiero lat trzynaście, a ple-
ciesz jak prowincjonalna aktorka o rzeczach, których cię nikt nie uczy, i zaniedbujesz te, które do ciebie należą. Jesteś za mądra na swój wiek i dlatego nigdy nie zapamiętasz geografii.

Anielka zawstydziała się. Czy ona jest rzeczywiście za mądra, czy też panna Walentyna...

W lewym kącie ogrodu był wzgórek, na nim duży kasztan i ławka kamienna. W tej chwili właśnie weszły tu Anielka z panną Walentyną i usiadły.

— Daj mi książkę — rzekła guwernantka — znajdę ci historię Grzegorza. Aha! mamy znowu psią wizytę...

Istotnie Karusek wbiegał na wzgórze, mocno zadowolony. W otwartym pysku niósł odrobinę pierza, które prawdopodobnie zdobył w pogoni za kogutem.

— Pani zupełnie nie lubi psów? — spytała nagle Anielka, głaszcząc Karusia.

— Nie.

— Ani ptaków?

— Nie — odparła rozdrażniona nauczycielka.

— Ani ogrodu?... Woli pani czytać książkę aniżeli spacerować między drzewami? Prawda. W pokoju pani nie ma doniczki ani ptaszka. Dawniej przylatywały tam wróble, którym dawałyśmy jeść, i Karusek też wbiegał po schodkach, choć był mały i gruby. Karmiłam go wtedy bułką owiniętą w galganek i umaczaną w mleku. On ją ssał, a razem z nim kotek tej nauczycielki, która była przed panią. Ach, co oni dokazywali!... jak gonili

papierek, który ciągnęłam za nitkę po podłodze! Ale pani nie lubi Karuska ani małych kotków, ani...

Anielka umilkła, gdyż panna Walentyna wstała nagle z ławki i patrząc na dziewczynkę z góry poczęła mówić rozdrażniona:

— Co tobie za pytania chodzą po niedojrzałej głowie?... Co tobie do tego, że ja nic nie lubię?... Naturalnie, że nie lubię... Ani kotów, bo mi je strzelano albo wieszano, ani psów, bo mnie gryzły, ani ptaków, bo mi ich nie było wolno trzymać...

I kwiatów nie chcę... Alboż jest na świecie grządka ziemi, która by należała do mnie? Ja przecież nie pochodzę z jaśnie panów! Spacerzy także mi zbrzydły, bom na nich musiała być stróżem i niewolnicą dzieci — złych...

O, jakaś ty ciekawa, moja Anielciu!... jak ciebie interesują cudze gusta!

Niespodziewany ten wybuch złości czy też tkliwości wzruszył Anielkę. Schwyciła guwernantkę za chudą, drżącą rękę pragnąc przycisnąć ją do ust. Ale panna Walentyna szarpnęła się gwałtownie i odskoczyła w tył.

— Więc pani gniewa się na mnie? — spytała zmieszana dziewczynka.

— Tyś nic temu nie winna, że cię źle wychowano... — odparła guwernantka i szybko odeszła ku domowi.

Anielka obraziła się i usiadła na ławce pod kasztanem. Przy niej legł Karuś.

„Zabawna sobie ta panna Walentyna! — myślała dziewczynka — za wszystko gniewa się. Sama nic nie lubi i nie chce, ażeby u nas było dobrze. Co by jej szkodziło, gdyby ten ogród był piękniejszy?... Albo żeby parobcy nie marszczyli się?... Przecież sam Pan Bóg kazał wszystko kochać... A dawnoż to mówił ksiądz dziekan, że lepiej zasadzić jedno drzewo albo pocieszyć jednego biedaka aniżeli wszystkie rozumy pozjadać...”

Później przypomniała sobie, że jeszcze parę lat temu było u nich lepiej. I ludzie weseli, i dobytek piękniejszy, i ogród ładniej utrzymany.

Jakże prędko zmieniają się rzeczy na tym świecie, skoro nawet trzynastoletnie panienki umieją to ocenić!...

Wtem z odległości kilkudziesięciu kroków doleciał Anielkę cienki głosik dziecięcy:

— Malu!... malu!... maluśki!... — któremu odpowiedziało wesole chrząkanie prosięcia.

Karuszek podniósł uszy. Anielka zapomniawszy o swych medytacjach jednym skokiem stanęła na ławce i rozejrzała się.

Za ogrodzeniem parku ciągnął się gościniec do miasteczka. Z daleka widać było furę otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca. Bliżej — szło dwu ubogich Żydków.

Jeden niósł jakiś duży przedmiot w szarej płachcie, drugi kiwające się buty na lasce.

Jeszcze bliżej między konarami drzew i dygoczącymi liśćmi, tuż naprzeciw białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się nim jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ jak żelazo na magnes. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgóрка, ale po chwili — zatrzymała się.

Gajdę, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki. Wieśniak ten był niegdyś jego parobkiem i mieszkał w domu, którego później stał się posiadaczem, nieprawnym — jak mówił ojciec. Za to nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na terytoriach swego niegdyś chlebowawcy dopuszczał się nadużyć.

Od kilkunastu lat ojciec Anielki i Gajda pasowali się z sobą. Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada; ale wieśniak ani słuchał podobnych propozycji. Nie było prawie miesiąca, żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni do dworu. On wówczas chodził ze skargą do gminy, odbierał bydło na mocy wyroku albo wykupywał je. Dziedzic mówił, że Gajda płacił pieniędzmi wziętymi za drzewo kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele słyszała o tych stosunkach (bo o czym nie słyszała?), bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny bawiącej się z pogardzanym przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą — coś ciągnęło ją tam.

Odgarniając gałęzie krzaków Anielka powoli zbliżyła się do płotu zbudowanego na kształt palisady. Był on stary, obrosły ciemnozielonym mchem i popielatym, łatwo rozcierającym się w palcach porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zastrzone słupy, utrzymujące za pomocą długich poziomych ramion rzędy również ostro zakończonych łat, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód albo wywracały w tył. Gdzieniedzie brakło już łat; w innych miejscach jaśniejszy kolor i mniej staranne obrobienie zdawały się opowiadać, że płot naprawiano w nowszych czasach, ale już z mniejszym nakładem.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku młodej dziedziczki Anielka przez jeden z szerszych otworów wydostała się na gościniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu. Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i ukazując go dziewczynce zawołała:

— Nie bój się mnie! Ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz oto, com dla ciebie przyniosła. Pokosztuj no!

I włożyła dziecku do ust kawałek olukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła nie spuszczać z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci — co?...

— Dobrze — odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczyna.

— Jak ci na imię? — spytała głaszcząc ją po tłustych, jasnożółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jedz jeszcze sucharek. A to prosię czy twoje? — dodała patrząc na prosiaka, którego Karus chciał za ogon schwytać i który odwrócił się do niego ryjem, pokwikuując w sposób okazujący mało ufności.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. — Żeby go choć pies nie zagryzł...

— Karusek, do nogi!... To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A jużci. Jajośka już urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelili?

— Bo zdybał ją dziedzic w szkodzie.

— Wyście tylko jedną mieli?

— A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc głąkała prosiaka, który położył się obok niej.

— I bardzo ci było żal maciory?

— O i jak! a jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili...

— Zbił cię?

— I nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to bardzo spokojnie. Anielka aż pobladła. Zdawało się jej, że Karusek został zabity i że ją samą skatowano tak okrutnie.

Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej, ale czym? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę, lecz dziś — cóż jej da?

Wtedy spostrzegła, że Magda pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli małej.

— Teraz będziesz ubrana tak jak ja — rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos wyobrażając sobie, że już posiada nie tylko szafirową wstążkę, ale różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

— A to jeszcze sobie zjedz — mówiła Anielka dając jej drugi sucharek.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagrodę, najmniej oddziałał na Magdę. Ścisnęła ona sucharek i co chwilę spoglądała na szafirową wstążkę myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

Tymczasem na zakręcie drogi rozległ się turkot i podniósł się obłok kurzu. Elegancki kocyk nadjeżdżał pędem. Nim Anielka zorientowała się, co to może znaczyć, kocz stanął naprzeciw chaty.

— Ojczulku! — zawołała Anielka biegnąc do powozu.

Ale ojciec spostrzegł ją pierwej jeszcze i dlatego nie pocałował jej, tylko zawołał surowo:

— Panna Aniela na gościńcu!... Winszuję... Co ty tu robisz?...

Anielka przestraszona milczała.

— Piękny masz dozór... wybornie postępujesz... nie ma co mówić. Biegasz po trakcie i tarzasz się w piasku z jakimś brudnym bachorem i prosięciem!...

Proszę iść do domu. Wrócę tam zaraz, a wtedy rozmówimy się. Nie przypuszczałem nigdy, ażebyś mogła tak ciężko zmartwić ojca!...

Na dany znak powóz ruszył zostawiając Anielkę osłupiałą ze strachu.

„Rozmówimy się!» O Boże, co to znaczy?»

Magda uciekła aż do progu chaty, niespokojnie patrząc na oddalający się powóz, za którym pogonił Karusek. Anielka odwróciła się do niej i skinęła na pożegnanie ręką.

— Bądź zdrowa, Magdziu! — rzekła. — Pewnie będę miała duży kłopot za to, że tu przyszła...

Pobiegła do otworu w płocie i za chwilę zniknęła w gąszczu. Za nią popędził Karusek, a za nimi obojgiem — Magda.

Rozumiała ona, co znaczy: duży kłopot, i rada była przynajmniej dowiedzieć się o przyszłych losach nowej przyjaciółki. Zbliżyła się ostrożnie do płotu i położywszy palec na ustach, to nasłuchiwała, to zaglądała do ogrodu. Ale na wejście tam zabrakło jej odwagi.

Wtedy we drzwiach chaty ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, bosi, z rozpiętą koszulą na piersiach. Włożył obie ręce za pazuchę i patrzył to w stronę powozu, który już znikł, to na ogród, w którym ukryła się Anielka, to na dach i kominy dworu.

— Wyrodziła się! — mruknął. Postać jeszcze chwilę i wrócił do izby.

Z bijącym sercem zbliżała się Anielka do domu. Trapiły ją dwa zmartwienia. Obrazila rzadko widywanego ojca i przyprawiła o silne wzruszenie swoją nauczycielkę.

„Co to będzie, jak ojciec z nią «rozmawiać» zacznie? Panna Walentyna niezawodnie połączy się z nim. Matka zasłabnie jeszcze bardziej...”

Nurtował ją męczący niepokój, pod wpływem którego ogród wydał się jej brzydki, a dom straszny.

W jaki tu by sposób przygotować matkę do nadciągającej burzy?

Stała za drzewem, spod którego widać było dwór, i poczęła śledzić, co się w nim dzieje.

Obdarzona bardzo silnym wzrokiem spostrzegła, że matki ani Józia nie ma już w oszklonej altanie i że panna Walentyna jest w swoim pokoju na facjatce. W ogrodzie — pustka, tylko z podwórza, leżącego po drugiej stronie domu, dolatywał ją krzykliwy głos Kiwalskiej, gdakanie kur i żalony wrzask pawia:

— A-ho!... a-ho!...

Smutno! smutno!

W otwartym oknie na facjatce ukazała się guwernantka.

„Pewnie mnie zawoła” — pomyślała Anielka.

Ale panna Walentyna nie zawołała jej, tylko oparłszy się łokciami na krawędzi okna patrzyła w ogród. Potem cofnęła się w głąb pokoju i powróciwszy znowu, poczęła kruszyć chleb na wystający daszek. W kilka minut później przyleciał tam wróbel, za nim parę innych i poczęły dziobać okruchy trzepocząc się wesoło.

Pierwszy to raz stara panna pomyślała o nakarmieniu ptaków. Od tej pory robiła tak co dzień, nad wieczorem, jakby lękając się, aby nie wypatrzyło jej obce oko.

Wypadek ten, zresztą niezmiernie prosty, otuchą nappełnił duszę Anielki. Nie wiadomo z jakiego powodu pomyślała, że po takim objawie uczuć ze strony panny Walentyny

dla ptaków może ojciec będzie na nią łaskawszy... „Osobliwa logika w tak dorosłej panience!” — powiedziałyby niezawodnie guwernantka.

ROZDZIAŁ CZWARTY. DZIEDZIC ODBYWA NARADĘ ZE SZMULEM, PO CZYM JEST UPRZEJMY DLA ŻONY, ANIELKI, A NAWET — DLA GUWERNANTKI

W półtorej godziny później przyjechał do domu dziedzic, a wraz z nim — Szmul, dworski pachciarz i dzierżawca karczmy.

Ojciec był roztargniony i zafrasowany. Wszedł prędko do pokoju matki, przywitał się z nią krótko, ucałował ledwie żywą Anielkę i Józia i — zdawał się całkiem nie pamiętać o spotkaniu na gościńcu.

— Jakże się miewasz? — spytał żony, nie siadając nawet.

— Ja, *comme à l'ordinaire* — odparła. — Nie mam sił, nogi mi drżą, serce bije, wszystkiego lękam się, apetyt mam niewielki i żyję tylko ekstraktem słodowym.

— A Józio? — przerwał ojciec.

— *Pauvre enfant*... zawsze osłabiony, pomimo że wciąż bierze pigułki żelazne.

— Niestety z tym osłabieniem, które podobno zwiększają tylko twoje lekarstwa! — odparł ojciec i postąpił ku drzwiom.

— Anielcia dobrze się uczy, zdrowa? — spytał. — Może i w niej wynajdziecie jaką chorobę?...

— Więc już odchodzisz po dziesięciodniowej nieobecności? — zawołała matka. — Tyle mam z tobą do pomówienia... Chciałabym koniecznie w lipcu albo w sierpniu pojechać do Chałubińskiego, gdyż przeczuję, że on jeden...

— Chałubiński dopiero w końcu września wraca do Warszawy. Zresztą pogadamy o tym później. Teraz muszę załatwić parę interesów — odpowiedział niecierpliwie ojciec i wyszedł.

— *Toujours le même!* — westchnęła matka. — Od sześciu lat po całych tygodniach załatwia interesy i nigdy ich skończyć nie może. A ja chora, Józio chory, gospodarstwo upada, jacyś nieznani ludzie oglądają majątek, nie wiem po co? O, ja nieszczęśliwa! leż mi wkrótce nie stanie... *Joseph, mon enfant, veux-tu dormir?*

— *Non* — odpowiedział chłopiec na pół senny.

Anielka tak osłuchiwała się z narzekaniami matki, że i obecne żale nie zmieniły w niczym jej uwielbienia dla ojca. Owszem, uczucie to spotęgowało się w niej, przypuszczała bowiem, że ojciec za dzisiejszy występki na gościńcu chce ją ukarać bez świadków. Dlatego przywitał się, jakby nigdy nic nie zaszło, i uciekł do swej kancelarii.

„Kiedy Szmul wyjdzie, pewnie mnie wtedy ojciec zawoła — mówiła do siebie Anielka. — Pójdę już lepiej sama i poczekam, to się mama niczego nie domyśli...”

Taki zrobiwszy plan, wysunęła się cichaczem do ogrodu, aby być bliżej pokoju ojca. Przeszła parę razy pod otwartym oknem, ale ani ojciec, ani Szmul nie zwrócili na nią uwagi. Postanowiła zatem czekać i usiadła pod ścianą na kamieniu, dręczona wielkim strachem.

Tymczasem ojciec zapalił cygaro i wygodnie rozsiadł się na fotelu. Szmul zajął miejsce na drewnianym krzeselku, które umyślnie ustawiono dla niego pode drzwiami.

— Więc powiadasz — mówił dziedzic — że nie ziemia naokoło słońca obraca się, ale słońce naokoło ziemi?...

— Tak stoi w naszych książkach — odparł Szmul. — Ale, z przeproszeniem, jaśnie pan chyba mnie nie po to tu przywiózł?...

— Cha! cha!... masz rację!... Otóż, przystępując od razu do rzeczy, wystarasz mi się o trzysta rubli, jutro — do południa.

Szmul włożył obie ręce za pas, kiwał głową i uśmiechał się. Przez chwilę obaj milcząc przypatrywali się sobie. Pan jakby chciał zbadać, czy nie zmieniło się co w bladej twarzy, czarnych, żywych oczach i szczupłej, schyłonej nieco postaci Żyda. Żyd jakby podziwiał piękną blond brodę, posągowe kształty, nieporównane ruchy i klasyczne rysy pana. Zresztą po raz tysięczny obaj mogli przekonać się, że każdy z nich był modelowym okazem swojej rasy, co jednak w niczym nie przyczyniło się do załatwienia interesu.

— No, i cóż ty na to? — przerwał milczenie pan.

— Ja myślę, bez urazy jaśnie pana, że prędzej w pańskiej sadzawce zdybalibyśmy je-siotra aniżeli jedną sturubłówkę w okolicy. Myśmy tu tak wszystkie wyłapali, że ten, co by chciał dać, to ich nie ma — a kto je ma, to nie da.

— Jak to, więc już nie mam kredytu między ludźmi?

— Z przeproszeniem, ja tego nie powiedziałem. My kredyt mamy zawsze, tylko nie mamy ewikcji i dlatego nikt nam nie pożyczczy.

— Cóż, u licha! — mówił pan jakby do siebie — przecie wszyscy wiedzą, że lada dzień sprzedam las i wezmę pozostałe dziesięć tysięcy rubli...

— Wszyscy wiedzą, że jaśnie pan już wziął trzy tysiące rubli, i jeszcze wiedzą, że z chłopami targ o zniesienie serwitutów idzie kiepsko.

— Ale się lada dzień skończy.

— Bóg wie!

Dziedzic zaniepokoił się.

— Czy słyszałeś co nowego?

— Słyszałem, że chłopci chcą już po cztery morgi na osadę...

Pan aż skoczył na fotelu.

— Ich ktoś buntuje! — zawołał.

— Może być.

— Pewnie Gajda?

— Może Gajda, a może i kto mądrzejszy od Gajdy.

Dziedzic dyszał jak lew podrażniony.

— Ha, mniejsza — mówił. — Ależ w takim razie sprzedam majątek i wezmę sto tysięcy rubli gotówką.

— Długów jest więcej — wtrącił Żyd — i te muszą być zaraz spłacone.

— Więc odwołam się do pomocy ciotki i u niej zaciągnę pożyczkę...

— Jaśnie prezesowa już nic nie da... Ona kapitałów nie ruszy, a procenta sama woli tracić.

— To po jej śmierci...

— Aj!... jaka ona zdrowa, to strach! Jeszcze sobie niedawno nowe zęby w Paryżu zakupiła...

— Ale kiedyś umrze...

— A jak, z przeproszeniem, nic jaśnie panu nie zapisze?...

Dziedzic zaczął z gorączkowym pośpiechem chodzić po pokoju. Żyd podniósł się z krzesła.

— Poradźże mi! — zawołał stając nagle przed pachciarzem.

— Ja wiem, że jaśnie pan nie zginie, choćby i ten Niemiec dobra kupił. Jaśnie pan będzie zawsze żył między jaśnie państwem, a jak (tu Szmul zniżył głos) z przeproszeniem — jaśnie pani kiedy... tego... to jaśnie pan ożeni się.

— Głupiś, Szmulku — rzekł dziedzic.

— To jest prawda, ale pani Weiss ma dwa miliony gotówką. A co sreber, kosztowności...

Dziedzic schwytał go za ramię.

— Milcz! — ofuknął. — Potrzebuję trzystu rubli i o nich myśl...

— I to można zrobić... — odparł Szmul.

— W jaki sposób?

— Poprosimy pani Weiss...

— Nigdy...

— To musi jaśnie pan dać zastaw, a ja od Żydków wydobędę pieniędzy.

Dziedzic uspokoił się, znowu usiadł i zapalił cygaro. Żyd po chwilowej przerwie mówił dalej:

— Aj! jaśnie panu to i pod wozem, i na wozie dobrze, ale co ze mną będzie? Ja nawet kwitów nie mam... Żeby choć był jaśnie pan młyn wystawił, o co tyle lat proszę.

— Nie było pieniędzy.

— Były nieraz i niejedne. Teraz także jaśnie pan wziął trzy tysiące rubli, ale wołał powóz kupić i pokoje wylepić... A nade mną wciąż wisi strach...

— Zarobiłeś na tym interesie z pięćset rubli.

— Możem zarobił, możem stracił, a zawdy wołałbym młyn. Co stoi wsadzone w ziemię, to jest wartość, a z pieniędzmi tylko kłopot i wielkie chodzenie dla złodziejów.

— No — przerwał dziedzic — zaczekaj tu, a ja tymczasem pomyślę o wynalezieniu ci zastawu.

— Niech i tak będzie, kiedy jaśnie pan każe.

Przez cały czas rozmowy ojca ze Szmulem Anielka pogrążona była w tym przykrym i chaotycznym stanie duszy, jaki zwykle wywołuje obawa. Podrażniona imaginacja bezświadomie usiłowała rozstrzygnąć pytanie: co też powie jej ojciec? — i w odpowiedzi na to tworzyła z przeszłych wspomnień i terażniejszych wrażeń obrazy smutne i bezładne.

Dziewczynka parę razy widziała zagniewanego ojca i w tej chwili nie mogła opędzić się przed jego zmarszczonym czołem i najeżonymi brwiami. Ścigały ją błyszczące, wprost na nią zwrócone oczy i dźwięczny, podniesiony głos.

Potem widziała biedną Magdę, którą jakiś człowiek targał za włosy i kopał, a dalej — pannę Walentynę chłodną, ale nieubłaganą, która w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, układała straszny plan przeciw Anielce.

Rozmowę ojca ze Szmulem dziewczynka słyszała dokładnie, lecz na razie nie pojmowała jej. W umyśle Anielki pozostał jednakże niewyraźny obraz jakiejś damy obok ojca...

Nad tym wszystkim unosił się Szmul, który patrzył Anielce w oczy i uśmiechał się złośliwie, a zarazem smutno, jak to było w jego zwyczaju.

„Boże! Boże!... jaki ten Szmul niegodziwy!... Co on powiedział ojcu!... Kto jest ta pani Weiss?” — pytała siebie samej z przestraszaniem.

Nie mogła wytrzymać w tym miejscu. Pobiegła do swego pokoju i siedziała tam przez długi czas na krześle czekając, aż ją wezwą, cicha, przelekniona.

Ale nie zawołano jej tak prędko. Kolacja była dziś spóźniona, ponieważ ojciec długo rozmawiał z matką.

Tym razem ojciec miał doskonały humor. Wszedł do pokoju nucąc i stanąwszy obok fotelu matki rzekł do niej pieszczotliwie:

— Buzi!

— Nareszcie, po dziesięciu dniach — rzekła matka. — *Je suis charmée*, żeś sobie przypomniał o mnie, od czego już odwykłam. Choroba, pustka i rozpaczliwe myśli, *voici mes compagnons*! Jeżeli mam powiedzieć prawdę, to w tym ponurym pokoju nawet twoja wesołość robi na mnie przykre wrażenie...

— No, nie dziwacz, moja Meci. I twoja samotność, i choroba skończą się wkrótce, tylko — cierpliwości. Jestem na drodze do zrobienia świetnego interesu i bylebym zebrał potrzebne fundusze...

— *Assez! assez! Je ne veux pas écouter cela!*... Znowu interesa i pieniądze! Ach, nie zasną dzisiaj...

— Ależ poczekaj, powiem ci i co innego. Wyobraź sobie, że Władysław jest już po słowie z panią Gabriellą. Pocziwa rozwódka pożyczyła mu pięć tysięcy rubli, za które ekwipuje się jak książe. Gdybyś widziała jego odświeżony pałacyk, meble i powozy...

— Nie chce mi się wierzyć — przerwała pani — aby Gabriela wyszła za szalawilę, który w ciągu kilku lat stracił ogromny majątek...

— Przepraszam cię. Nie stracił, tylko zadłużył, ale przy kapitale żony wyrobi się. Żyjemy w epoce przejściowej, w której zachwiane zostały najznakomitsze fortuny...

— Wiem!... przez karty i zabawy.

— Nie bądźże złośliwą, tym bardziej że nieoceniony Władek oddał mi wielką przysługę w pewnym interesie. I gdybym znalazł pieniądze...

— Znowu interes i pieniądze!...

— A, doprawdy, że nie poznaję cię, Meci! — zawołał zgorszony mąż. — Wiesz, że sam nie lubię rozprawiać o drobiazgach, a tym bardziej ciebie nimi nudzić, ale obecnie chodzi o kwestię serwitutów, o nasz majątek, stanowisko, przyszłość dzieci. Wszystko to nie może przecie rozbić się o jakieś kilkaset rubli...

— Więc znowu zabrakło ci pieniędzy? — spytała zdziwiona pani.

— Naturalnie, i tym razem postanowiłem ciebie prosić o pomoc...

Pani zasłoniła oczy chustką i zapytała żałośnie:

— Mnie?... a cóż ja ci pomogę?... Cały mój posąg stracony, połowa klejnotów w zastawie, ja nie mam za co pojechać do Chałubińskiego, który, czuję to, powróciłby mi zdrowie. A nie wspominam już o nieszczęśliwym Józiu, o tym, że służba nie zapłacona, że wiele bierze się na kredyt... *Oh, malheureuse que je suis!* leż mi już wkrótce zabraknie...

— Meciui! zaklinam cię, uspokój się — błagał ją mąż. — Ty nie chcesz pojąć, że wszystkie majątkości, cały ogół przechodzi epokę krytyczną, która dla nas specjalnie skończy się za dni kilka. Gdy ureguluję serwituty, natychmiast wezmę dziesięć tysięcy rubli i włożę w meliorację dóbr. Urodzaje wówczas poprawią się, długi spłacimy, a tymczasem sprzedamy drugą część lasu i wyjedziemy za granicę. Tam odżyjesz, będziesz znowu bawić się i błyszczeć jak niegdyś...

— *Vain espoir!* — szepnęła pani. — Zawsze mi to powtarzasz, ile razy chodzi o mój podpis...

— Teraz nawet podpisu nie potrzeba, Meciui! — pochwycił mąż. — Dasz mi tylko na tydzień... dwa... twój naszyjnik...

— *Malheur! malheur!* — szepnęła pani.

— Najdalej za miesiąc będziesz miała wszystkie twoje klejnoty...

— Leż mi już wkrótce zabraknie...

— W początkach zaś października odwiozę cię do Warszawy, gdzie o ile mi się zdaje, będziesz mogła przepędzić całą zimę...

— Tylko dla odzyskania zdrowia — szepnęła.

— No, i trochę dla rozrywki! — odparł mąż z uśmiechem. — Teatr, koncert, a nawet jakiś tańczący wieczorek nie zaszkodzą ci.

— Zapewne tańczyć będę w tych przedpotopowych sukniach, które butwieją w szafie...

— No, no!... Ty wiesz, że kupisz sobie nowych, ile zechcesz.

Pani opuściła głowę na piersi i po chwilowym namyśle rzekła:

— Weź sam ten naszyjnik z biurka. Boże! czuję, że umarłabym z rozpaczy, gdybym teraz spojrzęła na niego.

— Ale za to jak ci będzie przyjemnie wystąpić w nim kiedyś! Ile razy spojrzysz na niego, przypomnisz sobie, żeś nie zawahała się przed spełnieniem obowiązków względem dzieci i stanowiska...

Z tymi słowy poszedł do biurka i szukając tam, ciągnął dalej:

— Chwilowe przykrości potęgują następującą po nich przyjemność. Zwykły kamień nabywa ceny, jeżeli spełnił się wobec niego jakiś doniosły wypadek. A pomyśl tylko, ile w oczach córki twojej mieć będzie wartości ten zbiór świecidełek, gdy zapinając go na jej szyi, powiesz: „Te brylanty w stanowczej chwili przesilenia społecznego uratowały nasze stanowisko, nasz byt...”

Wydobył z szuflady spore, safianowe pudełko, schował je do kieszeni, a potem, schyliwszy się nad żoną, szepnął:

— Buzi!...

— O, jakże bym była szczęśliwa... — rzekła pani.

— Gdyby już nadeszła chwila, o której mówiłem?... — spytał mąż śmiejąc się.

— Gdybym ci mogła wierzyć...

— O, kiedy znowu dziwaczysz, Meciui! — odparł niecierpliwie. — Rozumiem, że słabość twoja może cię rozdrażniać, ale trzeba choć trochę umieć panować nad sobą...

Mówił to już na progu pokoju, śpiesząc do kancelarii, gdzie go oczekiwał Szmul.

Pani została sama. Widok pięknej twarzy męża i rozmowa z nim cofnęły ją wstecz o kilkanaście lat nasuwając porównania, które budziły wątpliwości i tęsknotę.

Byłże to on, ten król towarzystw, wyrocznia dobrego tonu, ten zakochany rycerz, który marzył niegdyś u jej stóp? Onże to — niewyczerpany w obmyślanu figur mazura, znawca, a często kompozytor najwykwintniejszych toalet damskich? On, bez którego nie odbył się żaden kulig, bal, pojedynek? On, który zakochanym panom udzielał najlepszych wskazówek co do sposobu zdobywania serc? On, bez którego opinii nie podobna było wydać dużego obiadu?

Jego znajomość prawideł towarzyskich była kodeksem, jego dowcipy obiegały całą okolicę, jego dom był akademią obyczajów. Najdrażliwsze spory o zabicie cudzego psa, o wyjęcie chustki z kieszeni na balu lub o sprzedanie chorego konia on jednym słowem

łagodził. W połowie zbudowany pałac magnata przerobiony został na gorzelnię, ponieważ Jasiowi nie podobał się rozkład pokojów.

A dziś — człowiek ten nie może dać sobie rady z kłopotami majątkowymi i u własnego pachciarza zdobywa ufność za pomocą naszyjnika!

Rzeczywiście, jest to epoka przejściowa, która wszystkich jednakowo dotknęła. Ci — zbankrutowali, tamci z resztką fortuny wynieśli się do miasta, inni zerwali stosunki z tym, którego zwano niegdyś: *primus inter pares*! Cóż on winien, że ludzie nowi, legion dorobkiewiczów, nie mówią już dziś o weselach krakowskich, polowaniu i obyczajach towarzyskich, ale o płodozmianie, buchalterii i hodowli bydła? Jaką radę dać sobie może ten na szczytach życia przebywający umysł z poziomą tłuszcą Żydów, Niemców i chłopów, którzy nie zrozumieli jeszcze wartości rękawiczek i perfum?

Tak marzyła pani ubolewając nad swoją chorobą, która w oczach jej usiłowała przyćmić blask otaczający męża.

Wszedł lokaj.

— Proszę jaśnie pani, samowar na stole.

— Pan już jest?

— Dałem znać jaśnie panu.

— Poproś panny Anieli i powiedz guwernantce.

Lokaj wyszedł.

— *Joseph, mon enfant, veux-tu prendre du thé? ...*śpi, biedne dziecko!...

Wyszła przez pokój jasnoniebieski i sięd do pokoju jadalnego, a za nią włókł się długi ogon białego szlafrocza. Wkrótce ukazała się ciągle strwożona Anielka i milcząca guwernantka, a po nich pan.

Pan grzecznie podał rękę guwernantce, której szyja i twarz pokryły się barwą ceglastą. Siadła naprzeciw niego i patrzyła pod stół. Ludzie powierzchowni sądzić by gotowi, że na pannie Walentynie mężczyźni robili piorunujące wrażenie, choć łatwo mogliby się dowiedzieć od niej, że w taki, a nie inny sposób uczona osoba manifestowała swoją niechęć do arystokracji.

„Okropny człowiek! — myślała patrząc na niego przez spuszczone rzęsy. — Ile on ofiar unieszczęśliwił...”

Przypomniała sobie bowiem, że piękny dziedzic miał bardzo czule serce dla jej płci, skutkiem czego służba żeńska nigdy zbyt długo nie mogła utrzymać się we dworze.

„A tak rzadko w domu bywa — uzupełniła w duchu. — Boże! gdyby ciągle siedział, musiałabym chyba wyrzec się kształcenia tej zaniedbanej Anielki...”

Dziedzic od niechcenia położył obie ręce na stole i patrząc na pannę Walentynę (zdawało jej się, że w sposób zuchwały) mówił do służącego:

— Każ mi zrobić mały kawałek befsztyku po angielsku...

— Nie ma mięsa, jaśnie panie!

— Jak to? — już w czerwcu nie można mięsa dostać?...

— Dostać można, ale jaśnie pani nie posyłała do miasta...

Matka i Anielka mocno zarumieniły się. Obie wiedziały, że nie posłano po mięso przez oszczędność.

— Każ mi więc ugotować parę jaj na miękko — rzekł pan topiąc w nauczycielce melancholijne spojrzenie.

Panna Walentyna uznała za stosowne odezwać się:

— Jaj zapewne nie ma, ponieważ były dziś na obiad, a oprócz tego ja pijam co dzień surowe.

— Widzę, Meci — mówił pan — że twoja Kiwalska bardzo zaniedbuje się w gospodarstwie.

— Stosuje się do wyznaczonych jej funduszów — wtrąciła się nauczycielka biorąc w obronę znienawidzoną klucznicę dla dokuczenia panu.

Słowa jej ubodły dziedzica.

— Czy jesteś, Meci, tak słabą, że pannę Walentynę obarczasz obowiązkami kasjerki?... — spytał.

— *Mais non!*... — szepnęła zmieszana pani.

W duszy starej panny zbudziła się jędrza.

— Nie byłoby w tym nic złego — wtrąciła z uśmiechem. — Szmul jest kasjerem pana, ja więc mogłabym ten urząd pełnić przy pani.

— Zapewne — odparł dziedzic lekko marszcząc brwi — choć nie sądzę, aby mogło się to dziać bez uszczerbku dla Anielci.

Anielce o mało że łyżeczka z rąk nie wypadła.

— Ot i dziś — mówił dalej — znalazłem ją na publicznej drodze.

— Anielkę?... — spytała razem matka i guwernantka.

— Tak, ją. Na szczęście nie samą. Towarzyszyła jej córka tego zbója, Gajdy, i — prosię...

— Anielce... — szepnęła matka.

— Widzi więc pani — ciągnął zwracając się z uśmiechem do guwernantki — na co jest narażona moja córka nawet obecnie, gdy pani jeszcze nie raczy zajmować się kasą... Szuka sobie stosunków między pastuszkami i prosiętami...

Panna Walentyna słuchając tego była szaroniebieska.

— Ha! któż wie — odparła z wymuszonym chłodem — czy stosunki te nie przydadzą się jej kiedy...

— Z prosiętami?

— Z dziećmi ludu. Dotychczas była moda, że panowie przyjaźnili się tylko z Żydami, a do czego to ich doprowadza, widzimy niekiedy. Może więc następne pokolenie z konieczności zbliży się do chłopów...

Panu usta drgały, ale pokrył to śmiechem.

— Panna Walentyna jest zapaloną demokratką — odezwała się szybko przerażona pani. — Obok tego jednak Anielka tyle przy niej korzysta...

— Nie wszyscy zdają się to rozumieć! — wtrąciła półgłosem guwernantka patrząc prosto w oczy panu, wbrew zwykłej skromności.

Triumfowała pewna, że teraz przynajmniej jest zabezpieczoną od nagabań straszego zdobywcy serc.

Istotnie, sposób ubezpieczenia był bardzo radykalny. Ale pan pomyślał w tej chwili, że guwernantce zalega kwartalna pensja, i nie odpowiedział jej nic. Zwrócił się tylko do córki i rzekł:

— Anielko!...

Dziewczynka wstała z krzesła i zbliżyła się ze drżeniem do ojca, sądząc, że to już nadchodzi okropna chwila. Stół, samowar, cały pokój krążyły jej przed oczyma.

— Słucham tatkę...

— Przybliźże się...

O mało nie upadła.

— Proszę cię, żebyś mi już po gościńcu nie biegała... — — rzekł powoli ojciec i ujawszy ją za szyję pocałował w czoło.

— A teraz pij herbatę...

Anielce zdawało się, że jest na innym świecie. O, Boże! Boże! jaki ten tatko dobry!... i jaki ten Gajda, który kopał swoją córkę, szkaradny!...

Wtem przysła jej na myśl pani Weiss i zapal dziewczynki nagle ostygł.

ROZDZIAŁ PIĄTY. WESELI SĄ ZASMUCENI, A SMUTNI MAJĄ DOSKONAŁY HUMOR

Upłynął tydzień. Słońce grzało coraz mocniej, noce były ciepłe i krótkie. Nad polami przeciągały niekiedy chmury rozsypujące deszcz; wnet je przecie wiatr rozpędzał, aby nie szkodziły zbożom. Jedne drzewa pokrywały się kwiatem, inne — zawiązkami owoców.

Powietrze pachniało. Nad sadzawką dumały bociany przysłuchując się dukaniu żab. Ptasie gniazda zapełniały się pisklętami. Wszystko żyło i rosło albo — przygotowywało się do życia i wzrostu. W naturze, jak bańki w gotującej się wodzie, wypryskiwały nowe istnienia, nowe głosy, nowe radości. Im wyżej słońce wzbijało się nad horyzont, tym mocniej kipiało życie. Zdawało się, że ogromną gwiazdę tę otacza chmura duchów, które gradem spadają na ziemię i wcielają się w kształty nietrwałe, ale żwawe i figlarne.

Pola, krzaki i lasy, wzgórza i doliny okryły się zielonością rozmaitych odcieni, wśród której błyszczwały jak gwiazdy — kwiatki białe, różowe, niebieskie, żółte i Bóg wie jeszcze

jakich barw. Każda barwa skupiała się na pewnym obszarze, ukazując śmiertelnej źrenicy smugi i plamy, bez ładu po niezmiernej przestrzeni rozrzucone. Freski mistrzów nie inaczej przedstawiają się łąącym po nich muchom, jak kolory i tony pól mieszkającym wśród nich ludziom. Któż wie jednak, co w tych smugach i plamach upatruje niezamykające się oko wiekiustego malarza, dla którego ziemia płótnem, śnieg zasłoną, a pędzlem — słońce?

Przez cały ten czas ojciec Anielki nie wyjeżdżał z domu. Wysłał tylko przez Szmula pożyczone pieniądze do miasta. Najczęściej siedział w swoim gabinecie i palił cygaro, czytał coś i palił cygaro, rozmawiał ze Szmulem i znowu palił cygaro.

Niekiedy wychodził przed ganek, wkładał ręce do kieszeni i podniósłszy głowę patrzył na krańce horyzontu, jakby wyglądając oczekiwanych wypadków. Ale wypadki spóźniały się, a natomiast widać było na jego polach rzadkie zboża i wiele pól nieobsianych. Wówczas jak błyskawica przychodziła mu myśl, że jego przyszłość nie ma już punktu oparcia. Wracał do gabinetu i chodził, chodził — całymi godzinami po uginającej się podłodze.

Kto wie, czy nie pierwszy raz w życiu dziedzic był tak zadumany i niespokojny. Przebýwał ważną epokę. Dziś, jutro, a najpóźniej za tydzień powinna się rozstrzygnąć kwestia serwitutów. Parę miesięcy temu włościanie zdecydowani byli cofnąć swoje prawa do lasu za trzy morgi gruntu na każdą osadę. Jeżeli włościanie podpiszą układ, las zostanie sprzedany, dziedzic otrzyma jeszcze dziesięć tysięcy rubli i ureguluje najgwałtowniejsze interesa. Lecz jeżeli nie zgodzą się, będzie musiał sprzedać majątek. A co potem?...

Zawieszona w taki sposób kwestia bytu albo ostatecznej ruiny trapiła ojca Anielki. Stracił humor, zwykłą pewność siebie, a zarazem — chęć do przejażdżek. Od pewnego czasu chodziły wieści, że włościanie rozmyślili się i żądać mają większego wynagrodzenia za serwitut, a nawet zerwać układy. To przerażało go.

Należał on do ludzi, którzy pragną, aby każda sprawa szła wedle ich myśli, ale żadnej sami nie wypracują. Zgodziwszy się z włościanami na trzy morgi uwierzył jak w pewnik, że serwituty ureguluje. Na mocy tego sprzedał las, wydał pieniądze, sprawą już nie zajmował się dłużej, nie przypuszczając nawet, aby w interesie mogły zajść jakie przeszkody. Wiedział, że na św. Jan ma być podpisany ostateczny układ, i do tego terminu wszystko odsuwał.

Gdy mu Szmul doniósł, że włościanie mówią o czterech morgach, uczuł, że wielopiętrowy gmach jego nadziei zachwiał się. Opanowała go trwoga, lecz tak dalece przywykł powierzać się biegowi wypadków, taki czuł wstręt do utraty złudzeń, że nie śmiał nawet sprawdzić wiadomości, a tym bardziej odrobić rzeczy, o ile by się dała.

Odpychał rzeczywistość i uciekał od niej aż do dnia, w którym sama miała mu się narzucić.

„Może to plotki? — myślał. — W takim razie trzeba by włościan spytać... Nie!... bo gotowi sądzić, że ustąpię...”

Właściwie jednak nie o to mu chodziło, ale o to, ażeby nie usłyszeć złej prawdy. Jeżeli dziś przekona się, że układy spełzną na niczym, marzenia jego osnute na sprzedaży lasu rozwieją się. W przeciwnym razie może się bawić nimi jeszcze tydzień, trzy dni... choćby jeden dzień.

Nie pytał więc nikogo, z nikim nie rozmawiał; nawet Szmulowi przerywał rzecz o serwitutach i — czekał. Takie postępowanie nazywał dyplomacją i tłumaczył sobie, że jeżeli nikt od niego nie usłyszy ani wyrazu w tej sprawie, włościanie nie będą śmieli zmieniać warunków poprzednich.

I znowu nie była to dyplomacja, ale obawa spojrzenia w oczy faktom, obawa zapytania samego siebie: co robić po przymusowej sprzedaży majątku za długi? Gdzie podziąć żonę?... Czym jej zastąpić strwoniony posąg, klejnoty i względne wygody?... W jaki sposób pogodzić ją z myślą, że nie mając funduszków w swych rękach, straciła je i że już nie pojedzie leczyć się do Warszawy?

Czas biegł szybko. Niekiedy dziedzic wśród nocy budził się, oblany zimnym potem, myśląc, że już jutro dowie się ostatecznej prawdy. Czasami chciał sam zwołać gromadę i zapytać, czy gotowi są do podpisania umowy? Ale wnet opuszczała go odwaga i mówił:

— Gdyby to jeszcze była kwestia paru miesięcy... Ale tak — dziś lub jutro sami przyjdą, a nużbym zepsuł sprawę niecierpliwością?...

Czekał więc, choć czuł, że bywają chwile, w których puls uderza mu nieregularnie, a serce trzęsie się jak raniony ptak. Takich wrażeń nigdy jeszcze nie doświadczał.

Gdyby lepiej wpatrzył się w przyszłość, może by ujrzał tam znaki ostrzegające w formie krzyżów na grobach. Może by się zatrzymał albo poszedł w innym kierunku?...

Zdawało się, że usposobienie dziedzica ciąży nad całym domem. Pani pobladła jeszcze bardziej, Anielka była zgnębiona, choć nie wiedziała czemu. Parobcy jeden za drugim dziękowali za służbę i zaniebdywali się w pracy. Niektórzy wymykali się ze dworu, niekiedy na parę dni, w celu szukania nowego miejsca. Inni wynosili z budynków powrozy i żelastwo, aby choć w części odbić zaległą pensją. Inni byli hardzi i wykrzykiwali na złe jądło.

Wszyscy, zebrawszy się wieczorem około czworaków albo między stodołami, głośno rozprawiali o tym, że „już chyba z dziedzica nic nie będzie!”.

Tylko stangret, Jędrzej, który z panem od dziesięciu lat jeździł, oparłszy się na płocie słuchał w milczeniu, palił fajeczkę, która umiała świergotać, i czasami mruknął:

— At! głupieśta wy...

— Albo co? — spytał go największy malkontent, gumieny.

— Bo to, żeśta głupi! — odparł Jędrzej i splunął. — Choćby i sprzedali ten folwark, to dziedzicowi jeszcze nic nie będzie.

— No, a gdzie on będzie mieszkał, jak go stąd wybronują?

— W mieście, i lepiej niż tu.

— A co będzie jadł?

— Juźci, że to, czego z was żaden nie powącha.

— A z nią jak i z dziećmi?

— Także będą w mieście, gdzie apteka niedaleko. A jak, czego Boże broń, ona odejdzie, to dziedzic ożeni się z taką bogatą, że za jeden jej pierścionek wieś by kupił — mówił Jędrzej.

— Może i tak!

— A ino!

— No, a jakże z nami będzie, co nam nie popłacił?

— Z wami?... Jeszcze by on was swoją nędzą karmił i poił przez cały rok. Jak sprzedą folwark, to wam zapłaci.

— Zawdy my tu niedługo chyba popasujemy?...

— To inna rzecz, a tamto inna rzecz. Kto chce iść, niech idzie gdzie mu lepiej, a ja przy dziedzicu zostanę.

To rzekłszy Jędrzej wyprostował się leniwie i powlókł do stajni, nie patrząc nawet na radzących.

Parobcy spojrzeli po sobie.

— Szczeka czy gada prawdę? — spytał jeden.

— Co ma szczekać! Pójdzie wszędy za dziedzicem, jak woźnica za wozem, bo wie, że mu tamten krzywdy nie zrobi.

— Juźci prawda!... Abo to jemu żona, abo dzieci? Stary sam jak palec, jeżdżą sobie we dwóch, piją arak i spekulują na dziewczki, gdzie się uda.

Ponieważ gospodyni księdza dziekana rzeczywiście w upłynionym tygodniu umarła, klucznicą więc, Kiwalską, ze łzami wprowadzie i zakłęciami, ale nader stanowczo podziękowała pani za służbę. Twierdziła ona, że kocha cały dom bez pamięci, że pewnie umrze z tęsknoty, gdy się oddali, ale że religijny obowiązek nakazuje jej pójść do księdza dziekana, którego niegodziwe służące zamorzyłyby głodem. Dodała w końcu, że nawet nie śmie przypominać o należnych jej zasługach, ale wierzy w to, jak w świętą Ewangelią, iż państwo krzywdy jej nie zrobią.

W postępowaniu panny Walentyny także zaszła zmiana. Widząc, jak się wszyscy wynoszą, zapewniała głośno, że ani myśli opuszczać edukacji Anielki, którą polubiła, ale — że z panem pod jednym dachem mieszkać nie może.

Słyszając to pani ruszyła nieznacznie ramionami, nie tyle spokojna o wierność męża, ile o wpływ wdzięków uczonej osoby. Odpowiedziała jej więc, że pewnie obie z dziećmi wyjadą do Warszawy w jesieni, a że tymczasem męża jej często w domu nie ma, sądzi przeto, że panna Walentyna mogłaby choć w części opanować swój niepokój.

Rzeczy więc zostały w zawieszaniu, niemniej jednak panna Walentyna oddała bieliznę do prania i co już było złym znakiem, więcej czasu poświęcała pilnowaniu swej cnoty aniżeli uczeniu Anielki. Dla różnaitości trzy razy na dzień karmiła wróble z okna pokoju, który zajmowała na poddaszu, szczęśliwa, że między nią i niebezpiecznym uwodzicielem znajduje się kilka pokoiów i kilkanaście schodów.

Anielka miała jednak czas zajęty więcej niż kiedykolwiek. Jeżeli bowiem wykłady i objaśnienia trwały krótko, natomiast rozmaite zadania, pisanie, przepisywanie i lekcje na pamięć sypały się w dozach podwójnych. Jakby przeczuwając rychły wyjazd, panna Walentyna pragnęła w głowę swej wychowanki lać światło wiadrami, snadź, aby go na dłuższy czas wystarczyło.

Toteż biedne dziecko, któremu potrzeba było ruchu i powietrza, pomizerniało w ciągu kilku dni. Do ogrodu wychodziła rzadko, a już jego części do gościńca przyległej unikała zupełnie. Całą jej pociechę stanowił Karusek, asystujący swej pani ciągle, o ile okoliczności pozwalały. Siadywał z nią razem obok szklanej altany, jadł resztki obiadu, które mu w kieszeni przynosiła, słuchał jej łagodnych upomnień i nieomal uczył się z nią różnych przedmiotów, które może niedługo tak stanowić będą minimum psiej edukacji, jak dziś wchodzi do ludzkiej.

Rozrywka, choćby z psem, była tym niezbędniejszą dla Anielki, że dziewczynka, kto wie, czy nie najmocniej odczuwała grozę sytuacji. Serce jej na ciężkie wystawione było próby, i trudno zgadnąć nawet, jakim sposobem na tak małym przedmiocie zarysować się mogło z przerażającą dokładnością tyle uczuć bolesnych.

Jaką to straszną rzeczą były dla niej owe szare obwódki około matczynych oczu! Jakim ciosem wykrzyknik: „Już skończyłam ostatnią puszkę ekstraktu słodowego i nie wiem, kiedy dostanę nową!”. Co się działo w niej na widok smutku ojca, którego wahania się i trwogi przeczuwała w sposób niejasny.

Tak samo przeczuwała, co ukrywa się za pochmurnymi twarzami parobków i ich hardością, co znaczy oddalenie się Kiwalskiej. A już zupełnie zrozumiała zachwycone w przelocie zdanie jednego z fernali:

— Jak tu robić, kiedy my głodni, woły głodne i ziemia niesyta!...

Ludzie, woły, a nawet ziemia głodna!... Ludzie jeszcze odejdą, ale już woły chyba zdechną, a co będzie z ziemią?... Czyżby i ona umrzeć miała z głodu?... Czyżby przestała rodzić zboża i zioła, karmić drzewa i ptaki?... Więc może nadejść chwila, w której pusty dwór otoczą szerniałe badyle i konary ogołoczone z liści?...

Ich ziemia umrze!... jaka strasna myśl. To chyba i oni wszyscy umrą: ojciec, matka, Józio, a najpierw ona sama, aby nie widzieć cmentarza ludzi, zwierząt i przedmiotów.

Gdy zapadł wieczór i na zachodzie rysował się blady rąbek światła, ach! taki blady jak jej strwożona dusza, wtuliła się w najciemniejszy kąt ogrodu, pod starą lipę, na której jakiś ptaszek kwilił przez sen, i zalana łzami modliła się do Boga o miłosierdzie nad rodzicami, Józiem, parobkami, wołami i ziemią. Niekiedy budziła się w niej nowa wątpliwość. A może w tej chwili Bóg odchodzi w jakie inne miejsce i nie słyszy jej lkań pokornych?... O, bodajby nigdy podobne pytania nie budziły się w piersi dziecięcej...

Tymczasem godziny biegły, w dzień wschodziło i zachodziło słońce, w nocy z niezachwianą jednostajnością obracał się dokoła Gwiazdy Polarnej Wóz, niestrudzona skazówka na przedwiecznym zegarze. Szła, szła i szła wciąż naprzód, ciągnąc za sobą czas, spychający doby w bezpowrotną otchłań. Szła, szła i szła wciąż — zbliżając się do świtu owego dnia, który miał rozstrzygnąć los całej rodziny.

Wówczas pewnego razu ocknął się w panu Janie mąż i ojciec i postanowił — napisać list do bogatej ciotki prezesowej, która na nieszczęście bawiła obecnie za granicą.

W liście tym wyznawał błędy swoje, mówił, że często nadużywał pomocy ciotki, lecz że obecnie błaga ją po raz ostatni o pożyczanie piętnastu tysięcy rubli na spłatę najpilniejszych długów. Gdy to załatwi, zmieni całkiem tryb życia i zacznie pracować jak ekonom, pisarz, a następnie gumieny. Ograniczy wydatki i po kilku latach nie tylko zwróci najukochańszej i najczcigodniejszej ciotki pożyczkę, ale nadto zaniedbany majątek podniesie.

Nie bardzo ufając skutkowi własnych zapewnień prosił jeszcze żonę, aby i ona odmalowała ich stan krytyczny i błagała ciotkę o pomoc.

Pani napisała list na dwu arkuszach. Było tam i o chorobie, i o doktorze Chałubińskim, o którym od tylu lat marzy na próżno, i o Józiu cierpiącym na osłabienie, o Raspa-ilu, ekstrakcie słodowym, wyszłych z mody sukniach, odejściu Kiwalskiej i o wszystkich a wszystkich rzeczach mogących, wedle zdania pani, obudzić współczucie ciotki. W końcu, aby dać jej gwarancją zwrotu pożyczki, obiecała oprzeć ją na hipotecę ostatniego folwarku, jaki jej pozostał z posagu. Folwark ten leżał o kilka mil od majątku głównego, posiadał chatę i sto morgów gruntu i znajdował się pod opieką bardzo uczciwego karbowego. Nie zadłużono go ani sprzedano dotychczas, ponieważ na tę część dóbr nie można było znaleźć ochotnika.

Ale atak i z tej strony wydawał się dziedzicowi niedostatecznym. Zawołał więc Anielkę i kazał jej znowu list napisać do babki.

— Czy ja potrafię? — spytała zmieszana Anielka. — Nigdy nie widziałam babci i czegoś boję się jej...

Ojciec przypomniał sobie, że źródłem bojaźni są rozmowy, jakie prowadził z żoną o ciotce w obecności Anielki. Powód ten jednak nie wydawał mu się dość ważnym, odparł więc:

— Jak to, ty nie potrafiłabyś listu napisać?...

— Nie wiem o czym...

— No, o wszystkim. Pisz o tym, że mama chora, że tatko smutny, że chciałabyś się uczyć, ale nie ma za co...

Anielka poczęła mrugać powiekami.

— Kiedy ja... nie chciałabym się uczyć!... — szepnęła. — Ja wołałabym, żeby te pieniądze, które bierze panna Walentyna, tatko na dom zostawił!...

Mimo strapienia ojciec wybuchnął śmiechem.

— Wyborna jesteś z twoją otwartością! — zawołał. — Jeżeli jednak nie chcesz się uczyć, aby nie obciążać rodziców, to tym bardziej prosz babcię o fundusz na edukację...

— Kiedy... nie mogę prosić...

Ojciec popatrzył na nią trochę niekontent i trochę zadowolony. Niekontent był z tego, że Anielka nie jest dość zręczna do usłużenia mu w obecnej chwili, cieszył się zaś, że jego nauki nie poszły w las. Ileż bo razy mówił jej, że ludzie ich stanowiska mogą rozkazywać lub żądać i że — tylko biedacy proszą.

— Widzisz, moje dziecko — tłumaczył Anielce — my prosić babci możemy, bo naprzód — jest ona tak jakby moją matką, po wtóre — jest ona równa stanowiskiem, po trzecie — jest osobą w wieku, a po czwarte — że my jej zwrócimy pieniądze. Zresztą, majątek jej jest jakby nasz, i kiedyś będziemy go mieli.

Pomimo wiary w ojca argumenta te nie trafiały jakoś do serca Anielce. Wierzyła, że muszą być rozumne i prawdziwe, niemniej jednak budziły one w niej wstręt, podobnie jak żaba, którą wprawdzie Pan Bóg stworzył, która jest użyteczna, ale pieścić się z nią jak ptakiem nie można.

— Więc napiszesz list do babci? — nalegał ojciec.

— O, mój tatku, ja bym bardzo chciała, ale nie wiem, co pisać...

— Powiesz, że ją kochasz, że ją chcesz poznać... — ciągnął już zniecierpliwiony.

— Boję się jej...

— To bardzo źle, przecież to nasza najbliższa krewna, a krewnych kochać należy...

— Prawda...

— Więc widzisz!... Zresztą mogę ci sam list podyktować.

Anielka znowu uczuła jakiś fałszywy ton w tej mowie. Niezbyt dawno były urodziny ojca, na które miała napisać powinszowanie przy pomocy panny Walentyny. Ale nauczycielka odpowiedziała wprost, że tego nie robi, że nie myśli w sobie budzić fałszywych uczuć, a Anielkę uczyć obłudy. Jeżeli córka kocha ojca, to mu sama potrafi powinszowanie napisać.

Istotnie Anielka napisała sama, co się ojcu i matce bardzo podobało. Pochwalili oni znalezienie się nauczycielki, potwierdzili jej poglądy. Anielka zaś czuła się zadowolona i rozumiała, że wszyscy mają słuszość.

Ale dzisiejsza rozmowa z ojcem zrobiła jej wiele przykrości. Nikt lepiej od niej nie zdawał sobie sprawy ze smutku rodziców, z nieszczęścia, w jakim byli pogrążeni, lecz świadomość o tym kryła gdzieś aż na dnie serca. Myśl o zmanifestowaniu tego robiła

jej wrażenie nieprzyzwoitości. Jak to, ona ma wypowiadać i pisać, że u nich ludzie, woły i ziemia są głodni, że ojciec od Szmula pieniędzy pożyczka, że matka nie ma słodowego ekstraktu?... A może jeszcze każą opisać jej tajemne, pełne łez rozmowy z Bogiem?...

Może miała pisać, że ojciec nie tylko z domu nie wyjeżdża, co zawsze robił dawniej, nie tylko wina przy obiedzie nie pija, ale nawet zachęca ją do obludy, którą sam niegdyś potępiał?....

Ach! widziała ona w domu wielkie zmiany i słyszała rzeczy, o których strach pomyśleć... Co ten Szmul mówił o ożenieniu się ojca?... Ach! dom ich napadł zły duch, zwany nieszczęściem, który jak burza, choć niewidzialny, rozniósł dostatek, rozpędził ludzi, dręczył matkę i wszystko poprzewracał w sercu ojca. Parę lat temu widziała Anielka część lasu zniszczoną przez uragan i litowała się nad drzewami. Jeżeli w duszy ojca są takie ruiny, może je oplakiwać, ale opisywać nigdy!...

Wszystkie te rzeczy przyszyły jej na myśl, gdy ojciec wyprawiał ją z pokoju i zapowiedział, że po południu podyktuje jej list do babki. Nie wiedziała, co pocnie ze sobą.

Około drugiej, gdy już do stołu nakryto, a rodzice, Józio i Anielka siedzieli w szklanej altanie, przed dom zajechał waszątek i wysiadła z niego niska, pulchna i żwawa kobiecina. Wnet potem służący zawiadomił państwa, że przybyła chce się z nimi widzieć.

— Co to za jedna? — spytał pan.

— Jakaś taka, z waszecia, niby klucznica.

— Czym przyjechała?

— Gajda ją przywiózł... Ją, kufer, pościel...

— Ten łotr?... — mruknął pan. — Powiedz jej, niech wejdzie...

Służący wyszedł. W sieni rozległ się dźwięczny głos kobiety mówiącej prędko:

— Złóż tymczasem, mój przyjacielu, rzeczy w sieni na podłodze, a ja poproszę państwa, żeby ci dwadzieścia groszy wysłali, bo już sama nic nie mam. O, patrz! jaka pusta sakiewka. Wszystkie pieniądze wydałam w drodze do miasteczka...

Oboje państwo spojrzeli po sobie jakby na znak, że głos ten jest im obcy. Pani trochę zarumieniła się, pan brwi zmarszczył.

W tej chwili kobieta wbiegła do altany. Była ubrana po miejsku w burnus i kapelusz, wcale nie najświeższej mody, i już na progu rozkrzyżowała ręce wołając:

— Jakże się miewacie!... jak się masz, Meci!... A to wasze dziatki?... Chwała Bogu...

I posunęła się naprzód, chcąc rzucić się na szyję pani.

Ale pan zabiegł jej drogę.

— Za pozwoleniem! — rzekł. — Z kim mamy przyjemność?...

Kobieta osłupiała.

— Jak to, nie poznajecie mnie, panie Janie?... Przecież ja jestem cioteczno-rodzona siostra Matyldy, Anna Stokowska... Prawda! — dodała po chwili z uśmiechem — już piętnaście lat, jakeśmy się nie widzieli... Od tego czasu zbiedniałam, zmizerowałam się w pracy, a pewnie i zestarzałam.

— To Andzia, Jasiu! — rzekła pani.

— Niechże pani spocznie... — odezwał się z bardzo wyraźnym tonem niezadowolenia i wskazał jej krzesło.

— Z największą chęcią! — odparła — ale pierwej muszę się przywitać... Meci!...

Pani, bardzo zakłopotana, wyciągnęła do niej lewą rękę.

— Chora jestem... Oto krzesło...

— A to twoja córeczka ta śliczna dziewczynka?... Uściskajże mnie, dziecino, ja twoja ciotka...

Na Anielce miłe wrażenie zrobiła gadatliwa kobiecina. Wstała z krzeselka i pobiegła z uśmiechem, aby ją ucałować.

— Anielciu! ukłoń się pani — rzekł surowo ojciec zatrzymując ją w połowie drogi.

Anielka dygnęła patrząc zdziwiona to na ojca, to na ciotkę, na której ruchliwej twarzy zarysowało się pomieszanie i zmartwienie.

— Widzę ja — rzekła ciotka — że zrobiła państwu kłopot. Ale Bóg świadek, nie z mojej winy. Przyjechałam do miasteczka dowiedziawszy się, że księdzu dziekanowi gospodyni umarła. Ja o tym tylko marzę, od czasu jak straciłam majątek, żeby choć na stare lata nie ślipiać nad igłą. U jakiego poczciwego księdza (a dziekan podobno jest bardzo uczciwy) miałabym i wygodę, i powietrze świeże, i pracę lekką. Kiedy usłyszałam,

że jest miejsce (ale może ja państwa nudzę?...), wyprzedalam się z maszyny, z żelazka do prasowania i przyjechałam.

Już w ganku na probostwie wydałam ostatni grosz Żydowi, który mnie przywiózł. Pytam służącą: „Jest ksiądz dziekan?” — Ona mówi: „Jest” i pokazuje na siwego staruszka. Ja go cmok w rękę: „Dobrodzieju — mówię — weź mnie za gospodynią! Ja pochodzę z porządnej rodziny, pracować będę, nadużycia nie zrobię”. — „Ach! moja imość: — mówi ksiądz dziekan — wziąłbym cię, bo mi wyglądasz na dobrą kobietę. Ale nie mogę, bom już tydzień temu dał słowo kapłańskie jednej tu klucznicy, która upadła mi do nóg i mówiła, że jeżeli nie przyjmę jej, to zginie z głodu...”

— Kiwalska! nasza klucznica — szepnęła pani.

— Łotr baba!... — mruknął dziedzic.

Oczy ciotki zajaśniały radością.

— A, moi braterstwo kochani — zawołała — jeżeli klucznica od was odchodzi, to ja zostanę na jej miejscu. Będę wam służyła wiernie, nie jak krewna, ale jak pies, byle kąt i łyżkę strawy zapracować... Bo po cóż ja do miasta wrócę, nieszczęśliwa?... Ani ja mieszkania, ani maszyny, ani żelazka, no, słowem nic...

I złożyła ręce błagalnie, patrząc na dziedzica, który odparł cierpko:

— Klucznicy już trzymać nie będziemy; prosta baba nam wystarczy...

— A jaż nie jestem baba? — spytała ciotka. — O cóż wam chodzi?... Mogę zamiatać, łózka słać, świniom jeść dawać.

— Wierzę w to wszystko, ale ja także mam kogo innego na myśli — przerwał dziedzic. Powiedział to stanowczym tonem i w taki sposób zaczesał ręką brodę, że ciotka nie śmiała już nalegać.

— Ha! wola boska — rzekła. — Zróbcieź mi przynajmniej łaskę i odstawcie mnie do miasta, a także oddajcie gospodarzowi, który mnie przywiózł, dwadzieścia groszy, bo już nic nie mam...

Pan skrzywił się, dał pieniądze służącemu i obiecał, że ją dziś na noc odeszle.

— Obiad na stole! — zameldował służący.

— Powiedz guwernantce — rzekł pan.

— Mówiłem już, ale ona chce jeść u siebie.

— Prosimy do stołu — rzekł dziedzic zwracając się do ciotki.

— Nie będę państwu robiła subiekcji — odparła nieśmiało — jeżeli więc pozwolicie, to zjem obiad z guwernantką, bo zdaje mi się, że panna Walentyna jest tutaj, a ją znam...

— Jak pani woli... Grzegorz! — zwrócił się do służącego — zaprowadzisz panią do pokoju guwernantki.

Gdy ciotka wyszła, pani rzekła do męża:

— Czy nie zbyt cierpko, Jasiu, przyjęliśmy Andzię? To uczciwa kobieta...

Pan machnął ręką.

— A cóż mnie obchodzi jej uczciwość!... Ubodzy krewni, moja droga, są zawsze plagą w domu, a tym bardziej ta, która nas ciągle kompromituje...

— Czym?

— Wyborna jesteście!... Czy nie ona chciała zostać gospodynią dziekana? Czy nie ona nie mając grosza wynajęła sobie Gajdę, którego ja muszę teraz opłacać?... Czy sądzisz, że już cała wieś nie wie o tym, że ona jest naszą krewną, czym zapewne przed wszystkimi się chwaliła?

— A cóż nam to szkodzi?...

— Naturalnie, że szkodzi, i bardzo — mówił z uniesieniem. — Jej przyjazd może o naszym losie zdecydować. Gdyby tu przyjechała ciotka prezesowa, wuj generał albo mój brat cioteczny Alfons, karetami, elegancko, chłopci mówiliby: „Oto pan z panów, nie targujmy się z nim o serwituty, bo źle na tym wyjdziemy”. Lecz jeżeli ją zobaczą, obdartą, w gnojownicach, to cóż powiedzą? „On taki sam jak i my, targujmy się więc, a ustąpi...”

— Egzagerujesz, Jasiu! — reflektowała go żona.

— Wcale nie! — zawołał niecierpliwie — i przekonasz się, że wizyta tej awanturnicy może nas dużo kosztować.. Także wybrała sobie porę. Ubodzy krewni mojej żony odwiedzają mnie i nie płacą za furmanki w tej właśnie chwili, kiedy powinienem stać wobec chłopów jak ryccerz: *sans peur et sans reproche*... Fatalność!

Po takim przedstawieniu kwestii państwo wraz z dziećmi udali się na obiad, który zeszedł dość smutno. Po obiedzie dopiero ojciec wypogodził się nieco, wziął Anielkę do swego gabinetu i powiedział, że podyktuje jej list do babki. Potem zapalił cygaro, rozłożył się wygodnie na szezlongu i utonął w marzeniach.

Przez pewien czas Anielka siedziała cicho. Nagle odezwała się:

— Tatku...

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Dlaczego tatuś nie pozwolił mi pocałować cioci?...

Ojciec zamyślił się.

— Nigdy nie widziałaś jej, nie znasz się z nią...

I znowu marzył.

Anielka usiadła bliżej ojca i pytała dalej:

— Dlaczego tatko nie chce, ażeby ciocia została u nas?

— Nudzisz mnie, dziecko. Mój dom nie jest szpitalem, ażeby w nim osiadali ubodzy z całego świata.

Zmarszczył brwi, jakby usiłując przypomnieć sobie wątek przerwanych marzeń, a trafwszy widać nań, skierował oczy ku sufitowi i palił cygaro, głęboko zamyślony.

— Mnie się zdaje — rzekła po upływie kilku minut Anielka — że ciocia musi być bardzo biedna...

Ojciec ruszył ramionami.

— Bieda nie upoważnia nikogo do napastowania innych — odparł sucho. — Niech pracuje...

Nagle zerwał się, jakby przebudzony. Siadł na kozetce, potarł czoło i bystro spojrział córce w oczy.

I ona patrzyła na ojca wzrokiem osoby dojrzałej, jak gdyby miała zamiar spytać go o wyjaśnienie ważnej kwestii.

— Czego znowu chcesz? — spytał ją.

— Mieliśmy list pisać do babci...

Ojciec niechętnie ruszył ręką.

— Idź sobie — rzekł. — Nie będziesz pisać listu...

I odwrócił od niej twarz czując, że się wstydzi. Szczególna rzecz! do tej pory nie zastanawiał się ani razu, że dzieci jego mogą kiedyś przestać być dziećmi i zacząć sądzić zdania i czyny ojca.

Do cierpień dręczących go od kilku dni przybyło nowe: co Anielka myśli o jego postępowaniu? — w tej chwili bowiem odgadł, że już myśli. O żonę nie dbał przyzwyczajony sobie do mistyfikowania jej, a ją do biernej uległości. Lecz dziś nagle wystąpiła osobistość nowa, kochająca i ukochana, której jasny i naiwny umysł wbrew woli domagał się odpowiedzi na pytanie: dlaczego ojciec posługuje się tak rozmaitymi zasadami w życiu? Dlaczego sam prosi o pomoc, a nie udziela jej innym? Dlaczego ubogim zaleca pracę, a pomimo to sam nie pracuje?...

W przypuszczeniach swoich mylił się trochę. Anielka nie rozumiała jeszcze, co to są zasady, i nie krytykowała sprzeczności tkwiących w jej ojcu. Czuli tylko, że wobec niej wygląda on jak człowiek, który nosi dwie maski, lecz nie ukazuje właściwego oblicza. Ten ojciec, którego znała od pierwszego brzasku świadomości nieomal do ostatniego dnia, to była pierwsza maska. Drugą zobaczyła dziś i oczy otworzyły się jej na obie.

Gdzie jest ojciec? kim jest ojciec? Czy tym, który kocha ciotkę prezesową, czy tym, który wypędza z domu ubogą krewną; czy tym, który brzydzi się nieplacącymi dwudziestu groszy za furmankę, czy tym, który wesoło zaciąga wielkie długi; czy tym, który gniewa się na Gajdę za to, że mu robi uszczerbek w polu, czy tym, u którego służba, woły i ziemia są głodni; czy tym, który całuje matkę, czy tym, przy którym Szmul odważa się mówić o jej śmierci?...

Któż więc jest jej ojcem i który z tych dwu ludzi kocha ją i Józia? Czy ten, który co dzień wysyła pół rubla na cygara dla siebie, czy też ten, który nie ma pieniędzy na ekstrakt słodowy dla matki?

A nareszcie ta pani Weiss tak dziwnie w jej myśli splątana z ojcem!...

Przyjazd ubogiej krewnej i projekt listu do babki były prawdziwym nieszczęściem dla dziedzica. Oba te wypadki w duszy jego dziecka otworzyły szufladę ciężkich wątpliwości,

z której powiało coś jak mroźny wicher. Anielka wszystkich w domu rozumiała: i uczoną guwernantkę, i chorą matkę, i przewrotną Kiwalską, i wiernego Karusia, tylko — straciła możliwość rozumienia ojca, który zdwoił się w jej oczach, ale ani razu nie ukazał w rzeczywistej postaci.

Tymczasem ciotka Anna odświeżyła znajomość z Walentyną, zapomniała o chłodnym przyjęciu w domu krewnych i ani myśląc o tym, że przyjazd jej połączono z kwestią nieuregulowania serwitutów, rozmawiała wesoło. Smutek i zawiść nie leżały w naturze tej kobiety.

— Ach! pani — mówiła ciotka — trzeba wierzyć w przecucia... Ja, na przykład, w jednym tygodniu miałam dwa ostrzeżenia. Raz — śniło mi się, że mnie (z przeproszeniem pani) oblało robactwo. Oho! myślę, to już wybije godzina mego losu (choć powiem pani, że w sny nie wierzę). Robactwo — znaczy pomyślność, a że ja zawsze modliłam się tylko o to, ażeby na stare lata zostać gospodynią u jakiego uczciwego proboszcza, więc zaraz zgadłam, że się w tych dniach taka posada dla mnie otworzy. Nawet, powiem pani, żem zaraz o tym wspomniała panu Saturninowi i już zaczęłam się starać o kupców na moją maszynę do szycia, stół, żelazko i takie tam graty...

— Ale nie wyszło się pani, że to miejsce kto inny zabierze? — spytała z ironicznym uśmiechem nauczycielka.

— Zaraz dokończę!... Więc, jak powiedziałam panu Saturninowi, że lada dzień wyjadę na probostwo, bom miała sen, tak on (taki sam trochę niedowiarek jak pani) mówi do mnie na śmiech: „Sen może czasem zwieść, niech pani zatem poradzi się jeszcze kabały”. A ja mu na to: „Niech pan żartuje, ale ja swoją drogą poradzę się kabały...” No i prosiłam jednej staruszki o kabałę; ona stawiała do trzech razy i mówię pani, zawsze wypadało: pomyślna wiadomość od blondyna i — żeby się strzec brunetki!

— Któż jest ten blondyn?

— Juźci, że poczywy dziekan, biały jak mleko...

— A brunetka? — spytała panna Walentyna wciąż śmiejąc się.

— Naturalnie, że ta niegodziwa klucznica od was! — odparła ciotka.

— Ona?... brunetka?... ona jest prędzej kasztanowata!

Ciotka pokiwała głową.

— Oj! oj! jakeście się państwo dobrali z panem Saturninem, to tak, jakby z jednego łokcia wykrajani — rzekła.

— Jakże on miewa się? — spytała nauczycielka rumieniąc się w sposób jej tylko właściwy.

— Zdrow, dobrze mu się powodzi i — zawsze panią wspomina.

— On? mnie?... — rzekła panna Walentyna ruszając ramionami.

Ciotka zniżyła głos.

— O! tylko niech się pani nie droży znowu! Człowiek młody, przystojny, ma już czterysta rubli pensji... A jak go wszyscy ludzie szanują!... Bo to, powiem pani, geniusz!... Rozum jak u największego filozofa, przy tym ślicznie tańczy... Kiedy raz, jakem z nim poszła walca...

— Pani jeszcze tańczy?

— Ja? — spytała ciotka wskazując na siebie palcem — przecież ja jeszcze czterdziestu lat nie mam i nie zmizerował mnie wiek, tylko praca. Ale gdybym kiedy była u jakiego uczciwego proboszcza, choć...

— Czy pan Saturnin zawsze tak dużo czytuje? — przerwała nauczycielka.

— Furami! powiem pani. On u mnie bardzo często bywa na herbacie i czyta głośno, ach! jak płynnie! z jakim akcentem!... Nieraz mówię mu: „Niech pan odpocznie, bo już panu gra w gardle”. A on: „Naturalnie, żebym chciał odpocząć, ale... (i w tym miejscu niezmiernie wzdycha) nie ma tu osoby, która by mnie wyręczyła, tak jak dawniej panna Walentyna”.

— Ach! niechże pani da spokój... Nie lubię komplementów, a tym bardziej zaimprovizowanych na poczekaniu — oburzyła się nauczycielka.

Ciotka spojrzała na nią zgorzozona.

— Słowo honoru daję! — rzekła uderzając się w piersi — że nic nie komponuję. On o pani mówi, ile razy mnie spotka...

— Chyba zapomniał, że wcale nie jestem ładna...

— Na co pani piękność?... on pani rozum uwielbia. Ja pani nawet jeszcze powiem, że kiedy raz bardzo zdruzził mnie tymi wspominkami, tak powiedziałam mu: „Ożeń się pan z nią raz do licha, zamiast nam psuć uszy czczym gadaniem!”. A on na to: „Albo ona mnie zechce?” — i zrobił, powiem pani, taką minę, żem i o mało nie zapłakała. W tej chwili zbudziło się w moim sercu jakieś przeczucie, popatrzyłam mu w oczy tak, o — jak pani teraz, poklepałam go po ramieniu i mówię: „Kochanku! choć pan nie wierzysz w przeczucia, zapamiętaj sobie moje słowa: jeszcze ja doczekam, że znajdę miejsce u jakiego uczciwego proboszcza, a wy się pobierzcie!”... Tak mu powiedziałam, moja pani...

— A on co na to? — spytała panna Walentyna.

— On?... Ot, taką miał minę, jak pani teraz...

Uczona osoba porwała się od stołu.

— Ja widzę, że pani zawsze myśli o dwu rzeczach: o tym, żeby zostać księżą gospodynią i żeby ludzi swatać...

Ciotka objęła ją za szyję i spytała zaglądając w spuszczone oczy:

— A czy źle swatam?... Czy nie mam szczęśliwej ręki? Filutka z panny Walentyny!...

Dano ciotce znać, że konie zaszły i rzeczy już są zapakowane.

— Gdzież państwo? — spytała. — Chciałabym się z nimi widzieć i podziękować za łaskę...

— Jaśnie pan śpi, a jaśnie pani chora — odparł służący.

Uboga krewna głęboko uczuła tę nową zniewagę. Usta jej zadrgały...

— Ślicznie panią przyjmuje familia — odezwała się Walentyna.

— I... i... i... ja się o to nie gniewam! Oni panowie, ja szwaczka... Sami są teraz zgryzieni w interesach, to i nie mają ani czasu, ani sposobu, ani nawet głowy radzić innym...

Ucałowała ceglastą pannę Walentynę i wymknęła się na dziedziniec przez boczne drzwi, idąc ku swej furmance.

Wtem zza węgła domu wybiegła naprzeciw niej Anielka. Schwyciła ją za ręce i serdecznie ucałowała szepcząc:

— Ja zawsze będę ciocię kochać!...

Ciotka, nieprzygotowana na taką niespodziankę, załała się łzami.

— Niech cię Bóg błogosławi, pocziwe dziecko! — rzekła. — Tyś prawdziwy aniołek...

Ale dziewczynka już uciekła lękając się, aby jej kto nie spostrzegł.

Tegoż dnia wieczorem panna Walentyna pokruszyła wróblom na daszek podwójną porcję chleba. Potem rozparła się łokciami na krawędzi okna i widząc, że nie ma nikogo w bliskości, zanuciła fałszywie:

Kwiatki, powiedzcie jej

Cel duszy mej...

Czy tej, która swatała uczoną osobę z panem Saturninem? Nie wiadomo.

Śpiew ten, podobny raczej do kaszlu niż do wylewu uczuć miłosnych, dziwnie odbijał się od reszty otoczenia. Wesoly niegdyś pan domu był dziś smutny, najweselsza z wesolych, Anielka, także smutna, śpiewała zaś — osoba, z której ust nie słyszano dotychczas nic więcej oprócz gorzkich upomnień i wymówek.

Sądzić by można, że na tym świecie radość nie ginie nigdy. Tylko gdy w jednym sercu zaćmiewa się, w innym zapala.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. SZMULOWA KARCZMA

Była niedziela. Nad gościńcem, zwykle dość pustym, kłębił się kurz wznoszony mnóstwem wozów i nóg pobożnych, którzy wracali z kościoła. Chwilami było widać tylko szare niebo i płowy tuman ciągnący się jak dym pożaru; chwilami tuman zwracał się nagle w stronę miasteczka, odsłaniając długi szereg furmanek i pieszych. Tu migał biały koń na zielonym tle pola, tam biała płachta między ciemnotabaczkowymi sukmanami lub czerwona chusta obok granatowej kapoty.

Żywy ten łańcuch, który w ciągłym ruchu przerywał się nieustannie lub skupiał, w jednym miejscu biegł jak wąż, w innym jak strzała, a jeszcze w innym przedstawiał kilka bezładnie rozrzuconych ogniwi, wpadał niby strumień do sadzawki w obszerne zbiorowisko ludzi i wozów. W tym miejscu nie było już widać barwy drogi, ale żółtą słomę, szare deski, tabaczkowe sukmany, kanarkowe kapelusze tudzież niewieście chustki i spódnice jaskrawych kolorów.

Gdy wiatr powiał w tę stronę, od zbiegowiska dolatywał turkot kół, wołanie mężczyzn, pisk kobiet i rżenie koni.

Wszystko tłoczyło się około białej, obszernej budowli, której gonciany dach jedną krawędzią opierał się na czterech tęgich słupach, w górze i u dołu zwężających się, a w środku pękatych. Była to karczma, w której szynkował Szmul, gdzie orzeźwiali się ludzie wracający z kościoła.

Przed karczmą między wozami było ciasno. Osie zawadzały jedna o drugą, dyszle przechodziły między drabinki. Koń, któremu torbę z obrokiem zawieszono na głowie, na próżno usiłował schylić kark i chwycić trochę jada. Trzymał tylko głowę w worku o kilka cali od pasy i ruszał niecierpliwie wargami nie przestając być głodnym.

Inny, szczęśliwszy, zanurzył głowę w wozie, który stał przed nim, i z wielką uciechą wyjadał cudze siano. Jakiś łysy na grzbiecie gniadosz chciał naśladować ten przykład, i znęcony zapachem siana nieustannie próbował zwrócić głowę do furmanki stojącej obok. Lecz ponieważ był ślepy na lewe oko, więc zamiast na siano trafiał na pysk małej, złośliwej klaczki, która kwiczała, stulała uszy i ploszyła zębami kalekę.

Na domiar niedoli, na zgłodniałe i zniecierpliwione zwierzęta spadł rój much. Z wielką zaciętością uprzykrzone owady rzucały się do oczu, pysków i nozdrzów pobudzając wielkie, lecz spętane ofiary do podrzucania głowami, bicia kopytami w ziemię i machania ogonami, co się jednak nie na wiele przydało.

Tylko wysunięty naprzód konik siwy, któremu czas wyźłobił nad oczyma głębokie jamy, a praca starła boki i powykęcała nogi przednie, stał spokojnie, przymknawszy oczy, jakby drzemał. Może śnił mu się żłób pełen czystego owsa albo te szczęśliwe, lecz krótkie dnie, kiedy jako żreback biegł swobodny po bujnym pastwisku, zalecając się do młodych klaczek, które niestety! w wieku dojrzałym miały mu całkiem zobojętnieć.

Sień i karczma pełne były ludu. Kilka dziewczuch, wychyliwszy głowy spoza futryny, śmiały się i wdzięczyły do parobków stojących za progiem, którzy chwyтали je za ręce i usiłowali wyciągnąć z izby, spod czujnego oka matek. Na prawo, obok komina i pieca, na ławie i około niej cisnęły się mężatki. Na lewo i wprost drzwi, za wielkimi stołami na krzyżujących się nogach, były długie ławy wypełnione gospodarzami, między którymi, ku zgorszeniu niewiast, siedziała tylko jedna kobieta, żołnierka, rezolutna i krzykliwa.

Środek izby zajęty był przez stojących. W prawym zaś kącie, za barierą, znajdował się szynkwas, a przy nim dziewczka, chrześcijanka, która rozdawała wódkę, i ubrana w czarną atlasową, ale starą suknię, żona Szmula prowadząca rachunki.

Przedmioty i ludzie zebrani tu nosili na sobie cechę epoki przejściowej. Widziałeś młodzież pokorną wobec starszych i parobczaka, który rozparłszy się wdmuchiwał w nos gospodarzowi dym z półgroszowego papierosa. Między rojem słomianych kapeluszy znajdowały się czapki z daszkami. Obok wysokich, zielonych kieliszków bez nóżek, do prostej wódki, były kieliszki szlifowane, z nóżkami, do araku i wódek słodkich. Między beczułkami z piwem i flaszkami z gorzałką stał brudny samowar, a na nim duży imbryk z otłuczonym dziobem.

Mężczyźni odziani byli w dawne sukmany, spięte na haftki i opasane szerokim rzemieniem, albo w kapoty z rogowymi guzami bez pasa, a nawet granatowe kurtki i także spodnie sukienne. Kobiety były w chustkach na głowie lub muślinowych czepkach, w sukmanach granatowych z mosiężnymi guziczkami albo w mieszczkańskich kaftanach; trzymały starodawnym obyczajem po wyjściu z kościoła trzewiki w ręku albo już do samego domu nie zdejmowały ich z nóg.

W zgromadzeniu tym syberyjowe palto rządcy ani burka ekonoma nie robiły żadnego wrażenia. O dworze mówiono mało, więcej o wójcie, sołtysach albo o sobie samych. Można było przecie widzieć jeszcze kumów całujących się ze łzami, które im wycisnęła fałszowana wódka — gospodarza, który wzięwszy się pod bok wyśpiewywał przed kumą:

Kaśka za piec, Maciek za nią...

a nade wszystko i najczęściej — usłyszeć:

— Kumie, do was!...

— Pijta z Bogiem!

Z izby do sieni buchał mocny zapach tytoniu, potu i wódki, razem z nim kurz i hałas, przypominający brzęk pszczół w ulu, nad który od czasu do czasu wzbijał się okrzyk gromadzkiego pijaka, leżącego na oplutej podłodze między ławą i szynkwasem:

— Oj, da! da!...

Widząc takie poniżenie natury ludzkiej, jedna z siedzących pod piecem kobiet w chustce na głowie odezwała się do kobiety ubranej z miejska:

— Świnia trza być, ale nie chłopem, żeby się zaś tak tarzać...

— Abo to raz człowiekowi przyjdzie leżeć na podłodze!... — wtrącił wieśniak z czerwonym nosem, ubrany w siwą kapotę.

— Oto, mój Józik nie leżałby na podłodze — odezwała się prędko baba ubrana z miejska.

— Co tam wasz Józik! — mruknął chłop i machnął ręką. Potem zamglone oczy zwrócił na szynkwasa.

— Czekajta ino, kumie — mówiła udająca mieszczańkę. — Jak mój Józik wrócił jednego roku ze szkoły, więc ino stanął na progu, a ja do niego prosto od garnków i chcę go za szyję objąć. A on tak się zachnął (złotko moje!) i gada: „Nie widzą matula, że mam świeżuteńki mundur?”. A ja mu na to: „Widzę, synku!...” Więc on: „To nie trza go brudnymi rękami łapać, bo na psy pójdzie”. Więc ja gadam: „To skini mundur, żeby cię mogła utulić przecie!” A on: „Kiej ja i koszulę mam taką, że ją matula zababrze...”

— Dałabym ja swojemu, żeby mi tak stawał, ażby mu się mundur zaposoczył! — wtrąciła kobieta z kieliszkiem w ręku.

— I cóż wy na takie onego gadanie, kumo? — spytała inna, zezowata.

— Czekajta ino, kumo, zara wam dokończę — ciągnęła ubrana z miejska. — Więc ja mówię do Józika: „To se ręce umyję!” A on do mnie: „No, to se umyja!” — i dobył z torebki, co ją miał przez ramię, mydło w srebrnym papierze i dał mi. Kiej wam powiadam, że jakem się umyła, to tak ode mnie pachniało, aż wstyd...

Baby słuchając kiwały głowami, a jedna rzekła:

— Widzi mi się, to na nic chłopaka posyłać do szkoły. Inne pańskie dziecko to by tak nie powiedziało parobczysze, jak on własnej matce.

— Co nie warto, to nie! — zawtórowały inne.

— Czekajta ino, kumo! — zaprotestowała ubrana z miejska. — I ja żebym miała drugiego, to bym go nie posyłała, ale Józik to ho! ho!... Jakaśmy poszli z nim do jegomości, to mu jegomość dał książkę drukowaną po łacinie, a on tak z niej czytał i jegomości gadał, co tam stoi, aż jegomość powiedział: „Żebym ja tak umiał, jakim jeszcze nie był wyświęcony, to bym nic nie robił, ino na sufit plu!”

W tej chwili do chłopca z zamglonymi oczyma przystąpiła kobieta, mając zamiast chustki pstry fartuch zawiązany około szyi:

— No, Maciek!... — mówiła — idziesz ty dziś czy nie idziesz?...

— Pójdziesz, psiawiaro! — mruknął chłop potrącając ją łokciem.

— O, że też ty miłosierdzia nie masz nade mną, człowieku! Nic, ino byś cały dzień siedział w karczmie i te wódczysko chla!... Niedługo będziesz tak jak Ignac legiwał pod ławą na śmiech ludziom!... Upamiętaj się ty choć raz...

Chłop podeszedł do kraty i wziął kieliszek.

— Maćku!... Macieju! — błagała go żona — usatkujże się...

— Naści... masz... chla!... — odparł mąż wciskając jej kieliszek w rękę.

— Widzicie wy?... — zwróciła się żona do sąsiadów. — Ja mu gadam, żeby nie pił, a on mnie częstuje!...

— Kiej was częstuje, to pijta! — poradził ktoś.

— Juźci, że wypiję. Cóż, mam wylać, kiej zapłacone?...

W innej gromadce znajdował się chłop kołtuniasty, z czerwonymi jak królik oczyma. Przy nim stała żona, częstuująca go resztą wódki ze swego kieliszka.

— Dawno wam tak na oczy padło? — pytał go sąsiad w wyszywanej kapocie.
 — Będzie chyba piąty dzień — odparł.
 — Nieprawda — wtrąciła żona — będzie w tę środę, co przyjdzie, tydzień.
 — Robicie co?... — rzekł chłop w czapce.
 — I... i... takie to i robienie... — zaczął kołtuniasty.
 — Czego gadasz, kiej nie wiesz? — przerwała żona. — W piątek mu owczarz prochem oczy zasypał, ale ino raz, a znowu w piątek ten, co przyjdzie, ma mu czymś smarować...
 — Pomogło wam co?
 — Paliło mnie jak ogniem i materią pędziło, ale widzi mi się, że jest gorzej...
 — O, głupi, na! — odezwała się żona. — Jak ci tylko wygryzło i materią wypędziło, to już lepiej. Bo żeby materia została ci w oczach, to byś jeszcze oślepnął...
 Przy stole głównym wieśniak w butach z nieuczernionej skóry zalecał się do łysego chłopca z twarzą piękną, ozdobioną długimi, siwymi wąsami.
 — Pożyczcie, Wojciechu, trzy ruble do żniw, dam wam pięć złotych i wódki postawię zaraz — mówił właściciel nieuczernionych butów.
 — Dam wam dwa ruble dziś, a wy mi oddacie trzy po żniwach — odpowiedział łysy zażywając tabakę.
 — Wcale że nie tak. Wy mi dacie dziś trzy ruble, a ja wam po żniwach oddam trzy ruble i pięć złotych.
 — Nie chcę tak.
 — Trzy ruble, pięć złotych i... kurę wam dodam.
 — Nie chcę! — odparł łysy.
 — Trzy ruble, pięć złotych, kurę i... mendel jaj.
 — I pół kopy jaj! — rzekł łysy — ale postawicie wódki.
 Uderzyli się w ręce na znak zgody.
 — Wojciechu! — odezwał się jeden z sąsiadów, gospodarz młody w granatowej kurtce.
 — Piliście wy kiedy za swoje?...
 — A bo ja głupi Żydowi pieniędzy naganiać? — odparł łysy.
 — No, a za cudze pijecie?...
 — Bo on choć i Żyd, to żyć musi, i jego Pan Bóg stworzył.
 — Maćku! — wołała kobieta w fartuchu na szyi — a kińże ty choć raz kieliszek, idź do dom, bo nam się jeszcze dzieciśka popalą...
 — Kaźcie se, kumie, krew puścić, to wam od oczów odciągnie! — radził ktoś kołtuniastemu.
 — Oj, da! da! — wrzeszczał leżący pod ławą.
 — Bywaj zdrowa, Małgoś!... Żeby mi twemu tatułowi chciał dogodzić, to bym musiał chyba konie kraść albo wódkę szwarcować — mówił przystojny parobek do stojącej we drzwiach dziewczuchy.
 — Wojciechu, do was...
 — Pijta z Bogiem...
 — Janie! pocałujwa się. Żeby mi tak ręce i nogi połamało, jeżelibym powiedział taką rzecz na ciebie... Ale jak zaczął mi grozić przysięgą, takem musiał. Pocałujwa się... Odcierpiałeś swoje w kryminale, więc pamiętaj, że i Pan Jezus cierpiał, choć nie kradł... Pocałujwa się, bracie!...
 — A ja wam powiadam, że lepiej pożyczać od Żyda niż od Wojciecha... To majster!...
 — Czekałta ino, kumo! Jak mój Józik przyjedzie ze szkoły, to on wam wyłoży dokumentnie, lepiej niż pisarz. Bo to chłopak ho! ho!...
 — Oj, da! da!...
 Takie bezładne frazesy krzyżowały się w dusznej izbie karczemnej. A dziewczka za kratą wciąż nalewała wódkę w kieliszki, a Szmulowa w czarnej atlasowej sukni pisała liczby na tablicy.
 Wtem na ławę, stojącą wprost drzwi, wlał jeden z gospodarzy, a sąsiedzi jego poczęli wołać:
 — Cicho! Słuchajta!...
 — A co to?... Będzie drugie kazanie?... — odezwał się jeden z parobków.
 — Grzyb chce nogi wyprostować, bo se zasiedzia!...
 — Cicho tam, chłopak! — wołali sąsiedzi Grzyba.

— Moi bracia! — zaczął Grzyb. — Jesteśmy tu swoi i nie swoi, ale to nie szkodzi. Swoi niech se przypomną, że na święty Jan mamy z dziedzicem podpisać układ o las. Więc względem tego podpisywania ludzie sobie rozmaicie myślą: jedni chcą, a drudzy nie. Zatem ja przemawiam do was, moi bracia, ażebyśmy se coś zgodnie postanowili i ażeby między nami była jedność...

— Nie podpisywać! nie podpisywać!... — wykrzyknął Maciek, którego żona gwałtem wyprowadzała za drzwi.

Śmiech rozległ się w izbie.

— Czego się śmiejeta?... — zapytał Maciek. — Przecie my, cośmy ino podpisywali, tośwa za wszystko płacili, a to na szkołę, a to na gminę...

— Gada zwyczajnie jak pijany!... — odezwał się ktoś.

— Ja nie pijany! — oburzył się Maciej potrącając żonę.

Grzyb ciągnął dalej:

— Kum Maciej gada, zwyczajnie jak taki, co se głowę zaćmił, ale powiedział mądre słowo. Ja też radzę wam nie podpisywać, ale czekać, nie śpieszyć się, bo kto czeka, ten bierze więcej. Pamiętajcie, bracia, jakeśwa chcieli robić układ z dziedzicem pięć lat temu? Prosiłiśwa wtedy o morgę na osadę, ale on nie dał. We dwa lata później dawał dwie morgi, a dziś trzy...

— Kto się tam zgodzi za trzy!... — odezwał się głos jeden.

— Niech da cztery, to ustąpimy...

— I pięć mało...

W drugim końcu izby kto inny zabrał głos.

— Moi ludzie! — rzekł — widzi mi się, że Józef nie mają racji...

— Oho!...

— Dlaczego?...

— Eh! dlaczego?... Dlatego, że to, co moje, to moje, a co nie moje, to nie moje. Prawda, że nam co roku więcej dają, ale kto jego wie, czy za rok dadzą i trzy morgi? Dziedzic postąpił, bo chce sprzedać las, ale jakby się las spalił albo on wszystką ziemię sprzedał, to nowy może nic nie da. Józefowi dobrze gadać: „Czekajta” — bo ma trzydzieści morgów ziemi. Ale my, na których przypadło dziesięć mórg gruntu i są jeszcze dzieci dorosłe, nie mamy ich czym obdzielać. Cóż ja chłopca swego do lasu poszlę, żeby liście jadł? Jemu trzeba ziemi i chałupy...

— Ale cztery morgi wolelibyśta niż trzy?... — spytał Grzyb.

— Juźci, żebyś wolał... — odparł jego przeciwnik.

— No, kiej wolicie, to trza czekać...

— Słuchajta mnie, ludzie! — zawołała żona kołtuniastego — nie podpisujta!...

— O!... widzicie ją, babę!...

— Zamknij gębę, wiedzmo, nie twoja rzecz...

— Ino czyja?... — wrzasnęła.

— A cóż to twój już umarł, żebyś ty za niego pyskowała?...

— Co on tam wie! — odparła. — Mnie słuchajta, bo ja mam rozum lepszy niż wy wszyscy...

— Czekajta ino, kumo! spróbujeta się z moim Józikiem, jak ze szkoły wróci! — wołała spod pieca baba ubrana po mieszczańsku.

— Cicho tam, baby!... A to czysta cholera, jak języki rozpuszczą!

Na ławę wlaź lęsy Wojciech.

— Gódźta się, póki czas! — wołał. — Każdy będzie miał swój kawałek ziemi, a tak co wam z tego, że wasze bydłę po cudzym harcuje?... Lepszy swój zagon...

— Ola Boga, Wojciechu! a dyć wy moje buty macie na nogach?... — odezwał się jeden z gromady.

— A to skąd? — zapytano.

— A dałem mu w zastaw za rubla, i on se teraz w nich chodzi!...

— To ci kutwa!...

— Bierze prowizją i jeszcze w cudzych butach chce mu się paradować!...

Skonfundowany Wojciech zlaź z ławy i wygrażając pięścią wyszedł z izby.

Wystąpił Gajda, chłop ogromny, który wszystkich o głowę przerastał.

— Ja wam mówię: czekajta! — rzekł uderzając w stół pięścią. — Wiemy, jak było z tym, żeśmy mieli prawo do lasu, ale nie wiemy, jak będzie, kiedy każdy dostanie parę mórg i już na pańskie nosa nie wścibi...

— Będziemy go wścibiali, choć podpiszemy — mówił stronnik układów — ale jak tu nastanie Niemiec ze swoją służbą, jak zaczną tabelę czytać, pilnować, każą tą drogą jeździć, a tamtą nie, to nam się wszystkim urwie...

— Damy sobie i z nim radę! — odparł Gajda.

— Oj, nie dacie, nie! — odezwał się chłop z innej wsi. — Mamy Niemca pod bokiem, co jak wziął grzebać się w papierach i *omentrów* zwozić, tośwa połowę bydła sprzedać musieli. A kiej Szymona, tego Mazurka, spotkał jego gajowy, też Niemiec, w lesie i pospierały się z sobą, to ci wziął i strzelił ci w chłopca jak w zająca, aż z niego później cały kwartał śrut wylazil.

Na środek izby wyskoczyła baba po miejsku ubrana.

— Ludzie! miejcie miłosierdzie nad sobą i nade mną wdową i nie róbcie nic bez mego Józika. Niech ino on wróci, to tak wam poradzi, że to aż!... Chłopak ho! ho!

— Czy ich bąk pokąsał, te babska, że tak dziś jęzorzyskami machają, kieby koń ogonem?...

— Oj! układajta się lepiej ze swojakiem, żeby wam Szwaba na kark nie sprowadził!... — ostrzegął gospodarz z innej wsi.

— On sam jak Szwab, choć i dziedzic — odparł oburzony Gajda. — I nosi się nie po ludzku, ino biało, albo kraciasto jakości, i jego baba ino po szwabsku szwargocze. Tylo noma z nim, co i bez niego. U innych panów to choć człowiek lekarstwo dostanie, kiej chory, dziecku czasem książkę podaruje inny, a u tego heretyka nawet zarobku nie znajdzie. Mnie nie wołają do dworu, i lepiej mi z tym, bo jeżdżę furmanką i zarabiam, a tym, co ich woła, to nie płaci...

— I... i... nienajgorszy on jeszcze! — mruknął stronnik układów. — Nawet nic złego zrobić nie może, choćby chciał, bo go nigdy w domu nie ma...

— To łgarstwo! — przerwał zaperzony Gajda. — Mnie przecież swinię kazał zastrzelić, taką, żeby jej za trzydzieści rubli nie kupił... A jak, będzie temu z tydzień, jego dziewucha, ta Janielcia, wyszła do mojej przed chatę i dała jej niebieską wstążkę, to ci się tak na nią gniewał, jakby o majątek chodziło... Oj! — zakończył ciszej, siadając. — Żeby mi nie tych jego dzieciaków było żal, a osobliwie dziewuchy, to ja bym mu pokazał...

We drzwiach, obok szynkwasy, stanął Szmul uśmiechnięty, kłaniając się na wszystkie strony.

Grzyb zwrócił się do niego:

— A wy jak myślicie, Szmulu; podpisać układ z dziedzicem czy nie?

— Jak gospodarze chcą... — odparł arendarz dyplomata.

— Ale kto ma racją, czy ja, co mówię — czekać, czy taki, co mówi — podpisywać?

Szmul pogładził brodę i patrząc w sufit odpowiedział:

— Wy, Józefie, macie racją i oni mają racją. Każdy chce tak, jak mu z interesów wypada.

— A wy podpisałibyście?

— Wy, Józefie, myślicie, że dla mnie podpisywać nowina?... Aj! ile razy ja się na dzień podpisuję...

— To wiadomo, ale czybyście się podpisali na to, żeby za trzy morgi...

— Jakie trzy?... cztery!... — przerwało kilka głosów.

— I cztery mało!... — dodali inni.

— Wam wydaje się za mało cztery morgi — rzekł Szmul — a dziedzicowi za wiele... Każdy tak chce, jak jemu z interesów wypada...

— Zatem podpisałibyście? — pytał dalej nieubłagany Grzyb.

Ale Żyd i tym razem nie miał zamiaru dać odpowiedzi stanowczej. Postąpił parę kroków naprzód i włożywszy jedną rękę za pas, a drugą wybijając takt, mówił:

— Jaki wy jesteście człowiek zabawny, Józefie!... Każdy mnie się pyta: co ja bym robił, jakbym tylko ja jeden na całym świecie miał rozum. Dziedzic pyta się swoją drogą, w swoją drogą, a ja mam za wszystkich odpowiadać?...

Żeby ja miał wasz grunt, to ja bym sobie kalkulował: podpisać czy nie podpisać za cztery morgi? A żeby ja miał dziedzica grunt, to bym sobie myślał: dać wam czy nie dać cztery morgi? Potem zrobiłbym tak, jak mi z interesu wypadło. I wy zróbcie tak samo!...

Grzyb znowu wlaź na ławę.

— Moi bracia! — rzekł. — Dla świętej zgody i żeby była jedność między nami, podpiszwa układ, ale za... pięć morgów...

— Dobrze! dobrze!

— Mój nie podpisze! — wrzasnęła żona kołtuniastego.

— A dajtaże jej w łeb, Janie! Co ona za was ma gadać?

— On?... mnie... w łeb?... — krzyczała energicznie kobieta. — A masz!... a masz!... a wynos się od tych pijaków!...

I wołając tak, biła męża po karku, aż w końcu wyciągnęła go za kołtuny do sieni.

— Czekałta ino, moi ludzie, aż Józik przyjedzie. On wam da radę! — wołała baba ubrana po miejsku.

Ale nikt jej nie słuchał. Gospodarze, głodni czy znudzeni, tłumem poczęli wychodzić z karczmy, poprawiać uprząż na koniach, odstawiać wozy i wyjeżdżać. W kwadrans później w obszernej izbie został tylko Maciej z żoną, oboje mocno podchmieleni, pijak śpiący pod ławą, dziewczka, która uprzętała kieliszki, i w czarnej atlasowej sukni Szmulowa, która pisała, wciąż pisała.

Szumł poszedł do alkowy, nakreślił ołówkiem na kartce: „Chcą pięć morgów...” — i posłał ją przez chłopaka do dworu. Sam zaś począł wybierać się w podróż.

— Gdzie jedziesz? — spytała go żona po żydowsku.

— Pojadę do Niemca. On już pewnie kupi wieś. Jak mi się z nim uda, to będę miał młyn.

— Jeżeli tamten nie zbudował, to Niemiec nie zbuduje. Nic z tego nie będzie — odparła Szmulowa.

— To może wcale nie jechać?

— Zawsze spróbuj — rzekła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. PAN JAN JEST ROZMARZONY, A GAJDA ZDUMIONY

Pan Jan odebrawszy kartkę Szmula z napisem: „Chcą pięć morgów...” — natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i uczył, że stoi nad jamą, o której parę dni temu nie chciał myśleć. Gorąco go oblało, na mgnienie oka dech w nim zaparło, ale wnet przekonał się ze zdziwieniem, że utrata wszelkich złudzeń nie jest nieszczęściem największym.

Tylko marzenia jego skrzyły nagle w inną stronę, na jakiś trakt mniej wprawdzie wyraźny, ale długi, obszerny i wygodny.

Przed wszystkim uczył on do Szmula coś jakby żal za złą wiadomość, ale zarazem przekonał się, że Żyd jest mu zawsze wierny. Potem pomyślał o swej służbie i postanowił, że ją spłaci resztką pieniędzy, jaka mu pozostać ma ze sprzedaży majątku. Krzywdzenie służby nigdy nie leżało w jego usposobieniu ani rachunkach.

Przypomnił sobie Anielkę i pominął ją.

Potem żonę i Józia... Nie chciał myśleć o ich chwilowym położeniu. Nie wątpił jednak, że nie zginą i że pomoże im ciotka prezesowa. Byle tylko wróciła...

Przyszedł mu na myśl dom, świeżo wewnątrz wyrestaurowany, w którym tak hucznie gości niegdyś przyjmował... lasy, w których polował... cały obszar ziemi, który nadawał mu tytuł dziedzica... upadek stanowiska między ludźmi... Zresztą, dobra te były posagiem żony i majątkiem dzieci!...

„Ciotka, ciotka wyratuje nas... Ona wszystko odrobi... A i chłopom trzeba dać nowego dziedzica, tym głupim, chciwym, przewrotnym, niemającym poczucia sprawiedliwości. Niech poznają, kogo stracili i co zrobili swym uporem!”

Chęć zemsty i nadzieja na ciotkę były uczuciami o tyle silnymi, że zdołały odciągnąć uwagę pana od myśli o stracie majątku i położeniu rodziny.

Pozostała jednak Anielka, to dziecko tak dobre i dojrzałe. Co ona zrobi bez majątku, bez nauki? co sobie pomyśli o ojcu?... Ona tak lubiła ogród, swój pokój... Tak wierzyła...

Zdawało mu się, że w Anielce skupiona jest świadomość całej rodziny o złem, jakie jej wyrządził... Ona wszystko odczuje, wszystko zrozumie i wypowie w sposób jej tylko właściwy: jednym spojrzeniem, rumieńcem, pytaniem!...

— Zatrzymam dla niej guwernantkę — szepnął pan i ucieszył się jakby najlepszym wynalazkiem. Guwernantka była dla niego panczerem przeciw Anielce.

O rozchwianych widokach i konieczności sprzedania majątku nie wspominał nikomu, owszem — przy kolacji był weselszy niż zwykle, choć unikał spojrzeń Anielki. Ale noc przepędził źle; może nawet miał gorączkę. Zapewne skutkiem rozdrażnienia nerwów zdawało mu się pół we śnie, pół na jawie, że spada z niezmiernej wysokości. Miał przy tym ruchy swobodne, nie doświadczał zawrotu, tylko czuł, że nie ma na czym stopy oprzeć. Tłumione cierpienia lubią niekiedy przywdziewać maskę symbolu.

Ach! gdyby sumienie bolało, gryzło, paliło... Nie, ono tylko wije się jak niedojrzały robak, cieńszy od włosa. Szczypiesz się, tupiesz nogami, przesuwasz sprzęty. Zdaje ci się, że grube te odgłosy spłoszyły widmo. Już wszystko przeszło!... Wpatrujesz się w siebie, a tam, w głębi, znowu coś dolega i ani na chwilę nie przestało dolegać.

Dla dusz oderwanych od ziemi, przywykłych do lubowania się w pojęciach ogólnych, do rozważania mnóstwa zjawisk, utrata zadłużonego majątku wydać się może drobnostką. Ale dla pana Jana było to wielkie nieszczęście. Nieraz wracając z balu czy wizyty, w czasie sloty jesiennej, z przyjemnością myślał, że jest przecie ciepły i wykwinny dom, w którym o chłodzie i utrudzeniu zapomni, i z tęsknotą wyglądał światła w oknach, słuchał naszczekiwania psów. Niekiedy był zmartwiony i jadąc zapytywał, jaką też niespodziankę zrobią mu żona i dzieci?... Chwile podobne trafiały się nader rzadko, gdyż wolał spotykać coraz nowe twarze i rozrywki niż kwasić się w domu. Ale dziś, gdy tracił wszystko, z ogromnym żalem zwracał się do swoich komnat, drzew, ogrodu, sadzawki, Anielki, a nawet do dziwactw żony i choroby Józia.

Takie to widziadła snuły się w duszy bankruta, a było ich jeszcze więcej i gorszych.... Ale pan Jan nie pozwalał im zarysowywać się w pełni, zwracał się do coraz nowych przedmiotów i tym sposobem osiągnąłby nawet względny spokój w swym położeniu, gdyby nie ten robak, tam — na dnie, którego dokuczliwie powolnych i nieujętych ruchów nie podobna było przyspieszyć ani zatrzymać.

Z rana był błądy i znużony. Przy śniadaniu powiedziano mu, że jeden z fernali zajął konie Gajdy w szkodzie. To go nieco orzeźwiło i począł szeroko rozprawiać o braku poczucia sprawiedliwości u chłopów.

W parę godzin później doniesiono mu, że przybył Gajda. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam Anielkę z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotaną niż groźną.

— Cóż? — zaczął pan Jan. — Znowu twoim koniom podobała się moja pszenica?...

— Zара, jaśnie panie, ja powiem od początku prawdę — rzekł chłop pochylając się ku ziemi. — Jak słonko weszło, kazałem mojej dziewczusze popaść koniska nade drogą, tu, gdzie ugór. A te hycle wzięły, zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, kiej przyszedł fernal i zajął ich. Tak było, żebyśm skonania nie doczekał!

Chłop stał trzymając czapkę w obu rękach, ale śmiało patrząc w oczy dziedzicowi, który uśmiechał się drwiąco.

— No — rzekł dziedzic — słyshałem, że już nie będziecie układać się o zniesienie serwitutów.

Gajda podrapał się za ucho.

— Gospodarze mówią, że za taką rzecz warci byśmy od jaśnie dziedzica chociaż po pięć morgów na osadę — odparł.

— Ja myślę, żebyście i wszystko wzięli, gdyby wam tak dać?...

— Jakby jaśnie dziedzic zechciał dać, to byśwa wzięli.

— No, ja będę lepszy i nie chcę od ciebie wszystkiego... Dasz tylko trzy ruble fernalowi, który konie zajął...

— Olaboga! aż trzy ruble?... — krzyknął chłop. — Ady ja tego przez cały tydzień nie zarobię, a tu jaśnie dziedzic za jaki może kwadransik każe se tyle płacić?...

— Więc idź do sądu! — rzekł dziedzic.

— Panie! a jakże mi iść do sądu, kiej mnie Żydy zgodziły do miasta, żebyśm zara jechał. Niech się pan zmiłuje i opuści!

— Słuchaj no, a czy ty, co chcesz pięć morgów za serwituty, opuściłbyś mi co?...
Chłop milczał.
— No, powiedzże, zmiłowałbyś się i opuściłbyś?..
— Ja tam nie chcę nic, ino żeby tak było, jak jest.
— Więc tobie lepiej z tym, jak jest?
— Jużci lepiej. Niewiele nam z tego przychodzi, ale zawdy i opału trochę jest, i bydlę przeżyje latem. No, a przecie nic się z tego nikomu nie płaci, a ze swego, co im by więcej było, tym więcej szłoby pieniędzy do gminy.
— Widzisz, jak ty dobrze rozumiesz swoje interesa! Pozwól mi więc, abym i ja swoje rozumiał, i daj dla fornała trzy ruble, jeżeli ci koni potrzeba.
— To już takie pańskie ostatnie słowo? — pytał Gajda.
— Ostatnie. Kto wie, czy od dziś za rok nie będzie tu gospodarował jaki Niemiec, który was za szkody sfantuje do ostatniej koszuli.
Gajda sięgnął za pazuchę i drżącymi rękoma wydobyl skórzany woreczek.
— Ha! niech se tam będzie i Niemiec. Już mnie i jaśnie dziedzic do ostatniej koszuli rozebrał... Ma pan! — dodał kładąc trzy ruble na ławce. — Przynajmniej za to mojej dziewczusze kości porachuję, żeby pamiętała...
— Oj, to, to!... rachuj, a dobrze, żeby wiedziała, jak cudze szanować trzeba — rzekł dziedzic śmiejąc się. Potem zawołał fornała, który konie zajął, oddał mu trzy ruble, kazał konie wypuścić, a sam wrócił do pokoju.
Kiedy znikł we drzwiach, Gajda pogroził za nim pięścią. Teraz patrząca ciągle Anielka zobaczyła, iż człowiek ten ma twarz straszną.
— „Porachuję kości mojej dziewczusze!...” — powtórzyła Anielka i dreszcz ją przebiegł.
— Biedna Magda!...
Myśląc o losie Magdy nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?..
Pomoc matki nie na wiele się przyda, bo matka w tej chwili nie miała trzech rubli, które by należało zwrócić Gajdzie w celu ułagodzenia go. Może by pójść do ojca?..
Przypomniała sobie przyjęcie ciotki tudzież ostatnie słowa ojca, który zachęcał Gajdę do bicia dziewczyny, i przestała myśleć o tym środku. Instykt ostrzegł ją, że ojciec śmiać się tylko będzie z jej współczucia.
Na prawo od ganku, za inspektami, leżały budowle gospodarskie: stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornałem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.
Co ona myśli w tej chwili? Anielka okrążyła dwór, skręciła na lewo za inspekta i pobięła do płotu ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu zatrzymała się czekając na Gajdę, równie zatrzwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tym, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.
Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopca. I w tej części płotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie. Urodzona do rozkazywania, szła prosić.
Chłop ujrzawszy ją zatrzymał się i patrzył ponuro na zbłądłą twarz i bojaźliwe, szafrowe oczy pańskiego dziecka.
— Gospodarzu!... — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.
— Czego? — spytał krótko.
— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?..
Chłop aż się cofnął.
— Posłuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?..
Ona jest taka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takimi rękami? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może go niła je, ale gdyby ją który uderzył kopytem, pewnie by ją zabił...
Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie graniczące z przestraczeniem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.
— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście widzieli, jak

ona boi się teraz!... Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzą... Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi?... Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?...

— Anielko! Anielko!... — odezwał się z ogrodu wątły głos panny Walentyny.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą nieomal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyla spoza gorsu złoty medalionik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie robili Magdzie!...

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopca do znaczenia księdza trzymającego Hostię. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takimi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko!... — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?...

— Nie.

— Z pewnością nie?...

— Niech mnie Bóg bronil!... — rzekł uderzając się w piersi.

— I nigdy?...

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał...

— Anielko! Anielko!...

— No, to bądźcie zdrowi!... Dziękuję wam!...

I cofając się do płotu przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył za nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku. Dusza ludu jest jak ogień pod granitem.

ROZDZIAŁ ÓSMY. DWIE UCIECZKI

Jak wiadomo, serce panny Walentyny, choć nieco wyschnięte, nie było zupełnie martwe. Zawsze pielęgnowała ona ideał poważnie myślącego człowieka, który kiedyś miał cieplejszym uczuciem wynagrodzić dotychczasowe gorycze w jej życiu.

Prócz tego w wymienionym tyle razy sercu światłej osoby istniała druga jeszcze struna ludzka: niejasne poczucie otaczającej natury. Podziw Anielki, że panna Walentyna nie lubi ani psów, ani kwiatów, ani ptaków, poruszył tę strunę, i odtąd guwernantka karmiła wróble, które do okna jej zbiegały się gromadami.

Piękne te jednak, choć wątłe objawy uczuć zasypane nieomal były mnóstwem zasad, a raczej formuł, dotyczących posłuszeństwa, przyzwoitości, gramatyki, geografii, pogardy dla arystokracji, pełnienia obowiązków i innych tym podobnych rzeczy. Wypadki jednak, które by potrafiły dość głęboko wkopać się w stos umysłowego nawozu, mogły przynajmniej na chwilę wywołać rewolucję w psychicznej istocie panny Walentyny. Właściwie mówiąc, nie byłby to przewrót, głębsza zmiana charakteru, ale pewien rodzaj maceracji uprzyjemniającej życie.

Wypadki takie nadeszły. Pierwszym było lato, które rozmarza, rozleniwia i czyni skłonny do platonicznej miłości osoby pracujące umysłowo. Drugim był powrót dziecka, który, będąc mężczyzną pięknym i sławnym bałamutem, przedstawiał się pannie Walentynie jako demon czyhający na jej niewinność. Ostatnią okoliczność, podniecającą najsilniej, stanowiła rozmowa ciotki Anny o panu Saturninie. Nauczycielka знаła go od dawna, lecz między tłumem mężczyzn nie dość zwracała na niego uwagę. Obecnie jednak w osamotnieniu i rozdrażnieniu wydał się on jej wcielonym ideałem.

Dzięki zbiegowi przyczyn, jak: obawa uwodziciela, miłość oddalonego mężczyzny i — lato, serce panny Walentyny poczęło fermentować.

Od kilku dni użyło ją czytanie i ciężły obowiązek. Wołała karmić ptaki lub bez celu błądzić oczyma po ogrodzie aniżeli wypowiadać Anielce nauki z zakresu obyczajności

i filozofii. Niemalą też podnieętą stanowiła kwestia: co z nią będzie za parę tygodni? przeżuwała bowiem, że interesa majątkowe dziedzica znajdują się w przededniu katastrofy. Chciała gdzieś wyjechać, uciec przed czymś czy też zbliżyć się do czegoś. W każdym razie doświadczyć rzeczy niezwykłych.

W mikroskopijnym chaosie wyblakłych marzeń i ślamazarnych popędów skromny, powiatowy urzędnik, pan Saturnin, stał się punktem środkowym. Panna Walentyna była mu wdzięczna za to, że o niej pamiętał, żałowała go — bo podobno cierpiał, poważała za wierność i gotowa była posunąć się do pokochania go — za to, że był mężczyzną, naturalnie — takim, który lubił czytać. Sądziła, że dla człowieka, co przeszedł tyle prób w miłości (jakich?... nie mogła sobie przypomnieć), kobieta może być skłonną do ustępstw i poświęceń.

Gotując się do przyszłych ofiar poczęła częściej spoglądać w lustro i ozdobiła szyję czarną aksamitką. Przyzwyczajala się też do lekkości, tak słodkiej dla mężczyzny i śpiewała, a nawet, idąc ścieżką ogrodową, próbowała biegać za motylkiem i trzepotać rączkami nad kwiatkiem, rozumie się wówczas, gdy nikt na nią nie patrzył.

Z natury wcale odważna, usiłowała lękać się — przede wszystkim szkaradnego uwoźdźciela pana Jana. Pragnęła otoczyć serce swoje moralną palisadą, a nawet w armaty uzbroić zostawiając między fortyfikacyjnymi przyborami jedne tylko drzwiczki, przez które miał wejść — czuły, wierny i lubiący książki Saturnin.

Niekiedy marzyła, że wsparta na rękawie jego czarnego tużurka i wpatrzona w jego rzadkie faworyty, spotyka na ulicy pana Jana i — odskakuje od niego jak od jadowej gadziny.

Po takim objawie wstrętu uczciwej kobiety na widok rozpustnika nastąpiłby tklivy, jeżeli nie wstrząsający opis walk, jakie z nim staczać musiała, chwil osłabień i triumfu — resztkami sił zdobytego. Marząc tak, pragnęła walczyć, słabnąć i triumfować. Na nieszczęście pan Jan więcej zajmował się obiadem, spaniem i cygarami (nie mówiąc już o majątkowych kłopotach) aniżeli dostarczaniem powodu do walk, słabnięć i triumfów dla kapłanki oświaty.

Pod wpływem tych marzeń panna Walentyna dokazywała dziwnych rzeczy. Czasami nie przychodziła na obiad. Innego dnia, przy kolacji, uparcie kryła wdzięki swoje za dużym, mosiężnym samowarem. Niekiedy przez całą noc paliła w swym pokoju światło albo poważnie zastanawiała się nad tym, czy nie należy wołać o pomoc?... Wszystko robiła w dobrej wierze, sądząc, że chłód i milczenie dziedzica pokrywają jakieś nieczne względem niej zamiary, i usiłując za pomocą swej anemicznej wyobraźni przewidzieć możliwe skutki napaści.

W napaść wierzyła tak silnie, jak ubogi szewc wierzy w główną wygraną sfantowawszy się na kupno loteryjnego biletu.

— Bo i dlaczegoż nie miało być napaści? — pytała.

Pan Jan tymczasem, zrozumiawszy, że majątek wyslizguje mu się z ręki, postanowił bądź co bądź zatrzymać pannę Walentynę przy Anielce. Trzeba tylko wytłomaczyć jej, że pensją za upłyniony kwartał odbierze, że na przyszłość odbierać ją będzie regularnie, i prosić, aby bez względu na wszelkie zmiany położenia a nawet chwilowe przykrości, nie opuszczała Anielki.

W chwili gdy Anielka wybiegła za ogród do Gajdy, panna Walentyna umyśliła zadać jej jakąś nową lekcję i posłała jej szukać. Okrążyła sadzawkę, zajrzała pod kasztan i w końcu zaczęła wołać:

— Anielko! Anielko!

Anielka nie znalazła się, lecz natomiast zdumionemu oku gubernantki ukazał się pan Jan. Szedł on ku niej krokiem pełnym wdzięku, ozdobiwszy usta uśmiechem łagodnym i smutnym, który zwykle poprzedza wiadomość o niezwróceniu pożyczki dawnej lub prośbę o nową.

Ale panna Walentyna inaczej to rozumiała i przelękała się naprawdę. Obejrzała się. Byli sami, w części ogrodu dzikiej, gęstwiną zarosłej, tuż nad brzegiem sadzawki.

Zaczęła się trząść. Na twarzy wyraźniej niż kiedykolwiek zarysowały się wydatne kości policzkowe. Była zdecydowana umrzeć, gdyby się na nią rzucił, nie wiedziała jednak: co pocznie, gdyby jej do nóg upadł?

— Panno Walentyno — zaczął melodyjnym głosem pan Jan — od kilku dni szukam sposobności pomówienia z panią...

— Wiem o tym!... — odparła mocno i chrapliwie, druzgocząc go wzrokiem.

— Wie pani? — spytał, przy czym rzucił na nią spojrzenie, od którego krew krzepła, i — postąpił krok naprzód.

— Nie zbliżaj się pan!... zabraniam panu!...

— Dlaczego?... — rzekł przeciągle.

— Nie zbliżaj się, gdyż jestem zdecydowana na wszystko!...

I spojrzała w błotnistą sadzawkę, do której z wielkim hałasem wskakiwały sploszone żaby.

— Co się z panią dzieje, panno Walentyno?... Ja pani nie rozumiem... — spytał bardzo zdziwiony.

Panna Walentyna przeczuła w pytaniu tym swój triumf, który wydał jej się zbyt przedkim i mało kosztownym. Krew zaszumiła jej w głowie, była natchniona i poczęła mówić, jakby przypuszczając, że słucha ją ukryty za wierzbą Saturnin.

— Pan śmiesz pytać: co mi jest?... Pan nie rozumiesz?... Nie rozumiesz tego, co dla kobiety uczciwej znaczy jej honor? Nie rozumiesz mnie po tylu dowodach wstrętu, jaki okazywałam panu?...

— Ależ pani... zastanów się...

— Zastanawiałam się! — przerwała mu z wybuchem. — Pan sądzisz, że spełnienie obowiązku nawet dla takich dusz, jak moja, przychodzi bez walki?... O, mylisz się!... mówię to panu tym śmielej, że walka zahartowała moje siły. Rozum i poczucie powinności stłumiły głos krwi i nerwów, tak, jak w panu...

— Panno Walentyno, pani się mylisz!...

— Co do pańskich zamiarów?... O, nie...

— Ależ ja chcę...

— Nic mnie nie obchodzą pańskie chęci! Jestem kobietą wolną, która ceni swój...

— Pozwólże mi pani przyjść do słowa... Błagam panią...

— Znam i ten podstęp! Używacie go zawsze tam, gdzie was mija łatwe zwycięstwo...

— Co pani myślisz, u licha?...

— Myślę, że przyszedłeś pan do mnie z niegodziwymi propozycjami, które wyгнаły stąd biedną Zofią...

— Ależ, moja pani! — przerwał już zniecierpliwiony — Zofia, której los tak cię wzburzył, była przede wszystkim młodszą...

— Cha! cha! — zaśmiała się tragicznie. — W oczach ludzi pańskiej sfery guwernantka mało co więcej znaczy niż młodszą. Wy na wszystkie patrzycie...

Pan Jan zakipiał z gniewu.

— Za pozwoleniem! — rzekł. — Mówię, że Zofia była młodszą, to jest młodą i — ładną, z panią zaś nie miałem bynajmniej zamiaru konferować ani o młodości, ani o piękności, lecz — o mojej córce.

Panna Walentyna chwyciła się obu rękoma za głowę i zachwiała jak pijana. Po chwili, rzuciwszy na dziedzica spojrzenie ranionej jaszczurki, syknęła:

— Proszę o konie!... Wyjeżdżam natychmiast z tego domu...

— A jedźże sobie pani na koniec świata!... — krzyknął pan Jan, którego jedną z ostatnich nadziei obalono w tak szczególnie śmieszny sposób.

Bywają chwile, w których szkodzi człowiekowi nawet opinia zdobywcy serc.

Panna Walentyna biegła przez ogród tak szybko, że o jeden z krzaków rozdarła sobie falbankę u sukni. Wpadła do swego pokoju na górę i oparłszy twarz na rękach zaniosła się od płaczu.

Położenie jej było fatalne. Miała ona wprawdzie zamiar zwyciężyć napastnika, ocalić swój honor, ale w sposób szlachetny. Odsłoniwszy przed uwodzicielem nieuczciwość jego postępków, wskazawszy mu przepaść, w jaką chciał ją zepchnąć, dowiódłszy mu, że jest kobietą, którą zasady utrzymały na drodze obowiązku, miała zamiar ostatecznie — przebaczyć mu.

— Pańską kochanką nie zostanie nigdy! — chciała powiedzieć w końcu — ale mogę być przyjaciółką i siostrą.

Po tym frazesie, który powinien był przyjąć z pokorą i wstydem, zostałyby w jego domu, jeszcze gorliwiej zajęłyby się Anielką, a nawet chorą jego żoną, przychodami, wydatkami, spiżarnią i kuchnią. Naturalnie dopóty, dopóki stęskniony Saturnin za poradą ciotki Anny nie oświadczy się jej listownie.

Ale w taki sposób można było wyjść tylko z człowiekiem szlachetnym. Dziedzic zaś okazał się skończonym niegodziwcem i wysłuchawszy jej najtajemniejszych myśli, wyparł się zamiarów, które je wywołały.

Jakże żałowała swego uniesienia, jakże źle wyszła na wybuchu otwartości z szczerego serca płynącej. Czy nie lepiej było, zamiast nawracać go, słuchać, co też on powie? Czy nie lepiej było (z lodowatym uśmiechem na twarzy) siec ironią jego prawdopodobne zachwyty?

Nie obchodziło jej, że ją nazwał niemłodą i nieładną, ponieważ nie miała do tego pretensji. Ale szła ją ogarniał, gdy pomyślała, że dziedzic złapał ją w sidła, które sama na siebie zastawiła. Kobieta może w kimś upatrywać niebezpiecznego uwodziciela, ale przykro jej, gdy uwodziciel dowie się o tym, a jeszcze bardziej, gdy udając zdziwienie wyprze się niecnym swych zamiarów.

Umyła sobie twarz, przyczesła włosy, skropiła się wodą kolońską i całą siłą woli powściągnąjąc dreszcze wewnętrzne poszła do pani Janowej.

Chora dama, spokojniejsza dziś niż zwykle, czytała jakiś romans. Obok niej siedział na wysokim stołku Józio bawiąc się pudełkiem od pigulek.

Panna Walentyna oparła się ręką o stół i spuściwszy oczy rzekła:

— Przyszłam panią pożegnać... Dziś, natychmiast, opuszczam dom państwa.

Chora otworzyła usta patrząc na nią ze zdumieniem. Potem włożyła w książkę zakładkę, a nareszcie zdjęła z rąk jedną z rękawiczek, w których miała zwyczaj siedzieć.

— *Que dites-vous, mademoiselle?* — spytała pani głosem zmienionym.

— Dziś wyjeżdżam od państwa...

— Co to jest?... co się stało?... Pani mnie przeraża.... Czy odebrała pani wiadomość o chorobie albo śmierci czyjej?... Może pani kto ze służących uchybił?...

W tej chwili weszła Anielka.

— *Angelique! as-tu offensé mademoiselle Valentine?* — spytała ją matka.

— Ja, proszę mamy, zaraz przyszłam, jak tylko zawołała mnie pani... — odparła zakłopotana Anielka.

— O, niegrzeczne dziecko! — wybuchnęła matka. — *Demande pardon à mademoiselle Valentine!*

— Ona nic niewinna! — odezwała się nauczycielka. — Kto inny wypędził mnie z domu...

— Mój mąż?... Jaś?...

— Pani! — zawołała Walentyna z uniesieniem — nie pytaj mnie o nic, błagam cię!... Ostatnią łaską, jaką mi wyświadczyć możesz, jest ta, abys kazała jak najprędzej po mnie zajechać. Żegnam panią...

I wyszła, a za nią Anielka.

— Jak to, więc pani chce odjechać? — spytała zdziwiona Anielka zabiegając jej drogę.

Panna Walentyna stanęła.

— Moje biedne dziecko — rzekła po namyśle — czuję, że nie wypełniałam względem ciebie wszystkich obowiązków, ale... nie z własnej winy!... Jestem niespokojna o twoją przyszłość... Zresztą — chcę ci zostawić pamiątkę po sobie. Na odjeźdźnym dam ci małą książeczkę, w której wynotowałam najgłówniejsze zasady życia... Przyrzeknij mi, że jej nie pokażesz nikomu...

— Przyrzekam...

— Jak matkę swoją kochasz, jak pragniesz jej zdrowia?...

— Tak.

— Więc pójdz ze mną.

Poszły na górę. Tam panna Walentyna wydobyla ze swej toaletki pąsowy, dość brudny kajecik i oddała go Anielce.

— Ucz się... czytaj to... pamiętaj o moich ptaszkach, które tu przychodzą do okna, a nade wszystko... ucz się...

Tak mówiąc całowała jej usta i czoło.

— Niekiedy robiłaś mi przykrości, ale mniejsze niż inne dzieci, o! bez porównania mniejsze... Lubiłam cię, choć wychowanie twoje jest bardzo zaniedbane... No — bądź zdrowa i idź już sobie!...

Książeczki mojej nie czytaj po zabawie, gdy będziesz wesoła, ale tylko wówczas, gdy cię smutek przytłoczy... i ucz się!...

Anielka wyszła przyciskając do piersi książeczkę jak talizman. Każde słowo wyjeżdżającej nauczycielki miało dla niej znaczenie religijnego przepisu. Nie łkała, nie szlochała, tylko z oczu płynęły jej ciche łzy. Serce jej ścisnęły żelazne kleszcze smutku.

Chcąc schować książeczkę w najbezpieczniejszym miejscu, wydobyla ze stolika przy łóżku białe tekturowe pudełko, w którym leżał już srebrny galon z trumny babki, piórko kanarka, którego kot zjadł, i kilka zeschniętych liści, nie wiadomo skąd wziętych. Tam postanowiła schronić pamiętkę po pannie Walentynie.

Machinalnie podniosła okładkę obdartego kajecika i zaraz na stronie odwrotnej znalazła zapisane ołówkiem, już wyblakłe następne słowa: „Zawsze myśl pierwszej o spełnieniu obowiązków, a później o własnych wygodach”.

Nieco zaś niżej:

We środę dałam do prania:
Koszul dziennych 4,
—, — nocnych 2,

I tak dalej.

W godzinę później panny Walentyny już w domu nie było. Wyjechała ze wszystkimi rzeczami i kwitem na rubli pięćdziesiąt, które jej pan Jan miał wypłacić w ciągu tygodnia.

Matka Anielki rozchorowała się i leżała w łóżku. Ojciec nie jadł obiadu i kazał Jędrzejowi do powozika założyć konie.

Około czwartej wszedł do pokoju matki i zawiadomił ją, że musi koniecznie wyjechać do miasta.

— Miejże litość, Jasiu — rzekła pani słabym głosem. — Jakże można odjeżdżać nas w takiej chwili?... W całym domu nie będę miała ust do kogo otworzyć... Służba jest jakaś dziwna i chciałam cię właśnie prosić, abys innych ludzi przyjął od świętego Jana.

— Zrobi się to — odparł mąż patrząc w ziemię.

— No dobrze, ale tymczasem zostawiasz mnie samą. Trzeba by ugodzić jaką panną służącą, osobę starszą i uczciwą... O guwernantce dla Anielki nie wspominam nawet, gdyż zapewne przywieziesz ją...

— Dobrze! dobrze! — mówił pan kręcąc się niespokojnie.

— *Malheureuse que je suis!*... — Nie pojmuję, jakie interesa tak często wyganiają cię z domu, i jeszcze w tej chwili?... Już mi leż nie staje... Przywieźże mi dla Józia pudełko pigulek, a dla mnie ekstraktu słodowego... Rada bym też dowiedzieć się, czy mam liczyć co na Chałubińskiego, który, czuję to...

— Do widzenia, Meciui! — przerwał mąż. — Przede wszystkim muszę załatwić najpilniejsze interesa, a później — pogadamy o wyjeździe do Warszawy.

Wyszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i począł z biurka wydobywać różne papiery. Był tak zdenerwowany, że lękał się najmniejszego hałasu.

Mówił sobie wprawdzie, że jeszcze wróci do domu, ale inny głos, cichszy i głębiej ukryty aniżeli sama myśl, szeptał mu, że wyjeżdża stąd na zawsze. Tłomaczył sobie, że wywołują go interesa, ale ucho wewnętrzne twierdziło, iż ucieka przed piorunem, który ściągnął na głowę rodziny. Pocieszał się, że oszczędzi żonie przykrości nie mówiąc jej o natychmiastowej sprzedaży majątku, lecz sumienie ostrzegało, że ją zwodzi.

Szmul wiedział na pewno, cała służba domyślała się, włościanie przewidywali, że pan Jan musi pozbyć się majątku. Sama tylko żona, której dobra te były własnością, nawet nie przeczuwała katastrofy. Był to rezultat nieograniczonej plenipotencji, jaką dała mu w dzień ślubu. Kobiecie jej stanowiska, wieku i piękności nie wypadało zajmować się interesami, nawet znać się na nich! A cóż dopiero podejrzewać męża o to, że kiedyś strwoni wszystko...

Jaki to dziwny musiał być grunt, na którym ziarno nieograniczonej ufności zrodziło nędzę.

Pan Jan, mimo wszelkich towarzyskich zalet, modnych ubiorów, elegancji, łatwości w prowadzeniu rozmowy, dowcipu, taktu i tysiąca innych przymiotów był jak dziecko. Igrał z ogniem nie myśląc o niebezpieczeństwie, a gdy podpalił dom — uciekał.

Uciekał nie dlatego, aby opuścić dzieci, żonę wepchnąć w rozpacz, a wszystkich zostawić bez chleba, ale — aby uniknąć przykrego dla siebie położenia. Pocieszać i uspokajać rodzinę, wytrzymywać spojrzenia służby, towarzyszyć nowonabywcy przy obejmowaniu majątku, a wszystko w roli bankruta, były to rzeczy budzące w nim niesmak.

„Na miejscu nic im nie pomogę — myślał — a sam stracę zimną krew, której mi dziś najbardziej potrzeba. Czy nie lepiej, unikając scen, załatwić interes poza domem, obmyśleć żonie pomieszczenie i o wszystkim zawiadomić ją listownie? Tym sposobem wiadomość zła zejdzie się z dobrą, i biedna kobieta nie będzie potrzebowała truć się pytaniem: gdzie pójdzie, gdy dwór zajmie kto inny?”

Bez względu na całą praktyczność tych poglądów pan Jan był rozdrażniony. Jednakże w całej sprawie jest jakiś fałszywy ton?... Może by wypadło zostać przy żonie i dzieciach, gdyż samej kobiecie, i do tego chorej, trudno będzie obejść się bez rady i pomocy?... A co powie Anielka?...

Zresztą — ten własny kąt jest tak miły, taki pewny, tak przypada do smaku!... Ileż razy, przed piętnastoma laty, w gabinecie tym przepędzał całe godziny z żoną. Ta lipa za oknem była wówczas cieńsza i mniej gałęzista. Błyszcząca powierzchnią sadzawki, którą dziś krzaki zasłoniły, widać było z okna. Tam, pod kasztanem, mniej niż dziś spróchniałym, bawiła się co dzień Anielka na rękach niańki. Była mała jak lalka, ubrana w długą suknię szafirową, biały śliniaczek i czepek. Nieraz gdy ojciec stanął w oknie, wyciągała do niego rączki...

A po tych ścieżkach ile się tu gości snuło! Kto wie, czy wpatrzywszy się lepiej, nie dojrzałby w powietrzu śladów powiewnych sukien kobiecych? Gdyby się wśluchał, czy nie odczytyby jeszcze śmiechy, dowcipy, półsłówka i urywane westchnienia zakochanych?

Ach! jak tu dobrze, tu, gdzie każda piędź ziemi jest księgą wspomnień, zmartwychwstających na jej widok. I on stąd wyjeżdża na zawsze!... Odtąd miłe duchy, błąkające się po domu i po ogrodzie, staną się upiorami straszącymi ludzi obcych.

A co z nim będzie? Czy istota ludzka nie składa się z dwu połów, z których jedna jest domem, polem, ogrodem, a druga dopiero samym człowiekiem? Jeżeli drzewo usycha, gdy się je wyrwie z gruntu, cóż dopiero stanie się z nim? Jego najpiękniejsza przeszłość jest tu, uwięziona na wieki. On — pójdzie gdzieś w świat, zrobi się człowiekiem nowym, ślimakiem, z którego skorupę zdarto i który wśród boleści wylepiać sobie musi nową. Czy będzie wygodniejsza, a choćby taka sama?...

Nikt nie wie, ile jest serca w drzewach, duszy w murach i jakie głosy wydają rzeczy martwe, gdy się z nimi żegnamy na zawsze.

Turkot powozika otrzeźwił pana Jana. Dziedzic schwycił walizkę z papierami i wyszedł machinalnie, nie patrząc za siebie.

Na ganku spotkał Anielkę.

— Tatko wyjeżdża?...

— Na kil... na kilkanaście godzin — rzekł całując ją.

Usta dziecka były chłodne.

Siadł do powozu. Zdawało mu się, że za chwilę runie dom i pozostałych w nim zażrzebie.

— Jedź!...

— Do widzenia, tatku!

— Andrzej... jedź!...

Konie ruszyły, aż dziedzic uderzył głową o tył powozu. Dwór znikł. Już mijają budynki. Już są w alejach. Oto jego pola, chude i nieobsiane. Znowu ogród, dach dworu i okno na facjatce, w którym stoi teraz Anielka...

Już wszystko minęło. Pan Jan odetchnął.

— Mój kochany — rzekł do furmana — zdzieraj lepiej cugle, ażeby konie tak łbów nie zwieszały. Wyglądają jak fornalskie!...

Potem zapalił cygaro i — uczył się zupełnie zadowolonym. Żona, Anielka i duchy domowe zostały tam... tam już daleko. O!... tylko nie odwracajmy głowy w ich stronę...

Przechodnie kłaniali mu się. Przed chatą, obok drogi stojącą, jakaś matka bawiła drobnego syna. Ujrzawszy powóz posadziła dziecko na kolanie jak na koniku i przytupując mówiła:

— Jak pan jedzie po obiedzie, sługa za nim ze śniadaniem... Tak chłop! tak chłop!

Na widok zabawy rodzinnej pan Jan uśmiechnął się szczerze, z głębi piersi. Nad nim świeciło słońce i trzepotał się skowronek; wkoło pola dyszały życiem. Tylko tam daleko, za wzgórzem, za ogrodem, został dom bez opieki, a w oknie facjatki Anielka wpatrująca się w ojcowski powóz, który wydawał się w tej chwili nie większy od chrabąszcza.

Ząb wyrwany nie boli. Ten, który ucieka, nie czuje smutku opuszczonych.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. TRWOGA WE WSI, SKUTKIEM CZEGO GAJDA PŁOSZY WRÓBLE

Na drugi dzień po wyjeździe pana Jana gospodarz Józef Grzyb wstąpił do karczmy po wódkę. Zastał Szmulową bardziej niż kiedy zamyśloną i Szmula, który ze złości krzyczał na dziewczkę za to, że kieliszek w zeszłym tygodniu stłukli goście.

Ledwie Grzyb stanął w izbie, odezwał się do niego Szmul z ironicznym uśmiechem:

— No, ciesza się, gospodarze! będzie nowy dziedzic...

— Może i tak? — odparł Grzyb i zadumał się.

— Będziecie mieli we wsi gorzelnię, młyn...

— Nam z tego nic, ale wy, Szmulu, wygracie, bo ten młyn, któregoście tak pożąдали, weźmiecie warendę...

Żyd wybuchnął.

— Taki to będzie mój młyn, jak wasz las! — zawołał. — Aj! głupie ludzie, co wyśta sobie narobili...

— Abo co? — spytał zaniepokojony Grzyb.

— Jak to co? Pan dobra sprzedaje Niemcowi, a on zapowiedział, że mnie wygna zaraz z pachtu, a za rok z karczmy...

— No to was, a nom co do tego?...

— To do tego, że już się Niemiec dowiedział, jako wy i połowy tego nie mata prawa użytkować, z czego użytkujecie...

— Ale!

— Jakie *ale*?... Tu nie ma żadnego *ale*, tu są tabele... Dziedzic was rozpuścił, bo mu brakło pieniędzy na gajowych i polowych. Robiliście, co wam się ino podobało, i chcieliście jeszcze po pięć mórg. A teraz — niech ja diabła zjem, jeżeli wy choć po dwa dostaniecie.

— To się zobaczy! — mruknął Grzyb. — Jak nas Szwab zacznie krzywdzić, to się nie damy.

— Kiej on was nie skrzywdzi, ino wy krzywdziliście starego dziedzica. Nowy weźmie tylko swoje, sprowadzi komisarza, naczelnika, a jak który z was złamie mu jedną gałązkę nadto — wpakuje go do kryminału. Aleśta sami tego chcieli — kończył Żyd.

— Bo to prawda?

— Co ma być nieprawda? Przecie w tę niedzielę wyśta najwięcej gadali, żeby się nie godzić albo godzić się na pięć morgów, choć was mitygował Olejarz. Aj! to chłop mądry, ale wy nic a nic rozumu nie mata...

Grzybowi zrobiło się niedobrze. Miał kupić cztery fiasze wódki, ale po tych wiadomościach wziął tylko trzy, a wróciwszy do domu począł chodzić od chaty do chaty i powtarzać, co słyszał.

Inni gospodarze martwili się, kłęli lub odgrażali. Byli jednak i tacy, którzy w wieści tej widzieli intrygę Szmula wymyśloną w celu skłonienia ich do łatwiejszej zgody z dziedzicem.

Ale już nazajutrz najwytrwalsi optymiści stracili nadzieję. Od samego bowiem rana przyjechało z miasta gubernialnego aż trzech Niemców i ci zaczęli wieś oglądać. Do dworu nie wstępowali, natomiast obeszlą las, rzeczkę i pola chłopskie.

Gdy ich we wsi ujrzano, cały tłum gospodarzy, kobiet i dzieci począł za nimi chodzić. Oni nawet nie zważali na to.

Takie postępowanie zatrwożyło gospodarzy.

— Oj, coś idzie na złe — mówił jeden. — Nasz dziedzic, jakeśwa mu drogę zachodzili, to się czasem złościł, a te pludrzyśka chichoczą ino między sobą. Widać kpią se z nas...

— A może by którego kłonicą przeżegnać?...

— Ale!... Nie widzisz to, głupi, jakie rury przy sobie noszą? Jeszcze by cię zabił, nim byś się zamierzył!

Gdy Niemcy odjechali, nie wstępując nawet do karczmy, gromada po krótkiej naradzie postanowiła wysłać deputacją do dworu. Wybrano trzech najzacniejszych: Grzyba, który w niedzielę odradzał układy, a dziś się nawrócił, Szymona Olejarza, który od początku radził zgodę ze dworem, i Jana Samca, owego kołtuniastego, co nad nim żona przewodziła, ale który miał we wsi najwięcej gruntu.

Grzyb i Olejarz byli na miejscu, ale Samiec siedział w chałupie i kołysał dziecko, wedle rozkazu żony. Poszli więc do niego dwaj deputaci i jeszcze kilku, a za nimi sporo bab.

Olejarz opowiedział kołtuniastemu, że idą do dworu godzić się, że gromada i jego, niby Samca, także wybrała na ten cel, jako człeka statecznego. Skończywszy mowę swoją Olejarz spytał:

— Cóż, pójdzieta, kumie?

Samiec wstał od kołyski, poszedł do komory i wyciągnął stamtąd nowiusienką sukmanę. Ledwie ją wciągnął na jeden rękaw, a żona w krzyk:

— Co ty, kaprawcze jakiś (Samca oczy wciąż bolały), będziesz się tu wybierał?... Ja ci dam podpisy! Ja ci dam zgody!... Siadaj zara i kołysz Zośkę...

Gromada milczała, a baby ciekawie zaglądały przez okna i drzwi. I Samiec jakoś stał nie mogąc zdecydować się ani na wciągnięcie drugiego rękawa, ani zdjęcie sukmany.

Żona widząc to chwyciła kijankę i dalej prac nią Samca:

— A ty kaprawcze! a ty kołtuniarzu!... Ty stary dziadzie!... To ty myślisz, żeś se wziął młodą żonę ino na zabawę!... A siadaj do kołyski, kiej ci się dzieci chciało!...

I znowu go to z przodu, to z tyłu, aż mu kołtuny zasłoniły twarz i czerwone oczy.

Chłop w milczeniu sukmanę na drugą rękę wciągnął, kołtuny odgarnął i — jak plunie w garść, jak złapie babę za łeb, jak zacznie obracać!... Chryste ratuj!... Chustka z niej poszła w ką, kijanka na półkę, aż dwa garnki spadły na ziemię.

— Dajcież spokój, Janie! — wołały baby.

— Walcie, kumie, póki nie zacznie prosić — radzili chłopci.

Ale Samiec niczyjej rady nie słuchał, tylko wedle własnego rozumienia rzeczy, wyturbowawszy kobiecinę, kopnął ją w udo i cisnął pod żarna. Potem zapiął się, pasem opasał, włożył nowy kapeluszek na głowę i rzekł bez śladu gniewu:

— Idźwa do dworu, kumowie, jeżeli taka wola wasza.

Chłopci kręcili głowami i szeptali między sobą:

— Chwat stary!...

— Jaki to u niego obrót w garści!...

— On by jeszcze korzec pszenicy pod pachę wziął.

Delegaci poszli, baby zostały, a Samcowa zawodziła pod żarnami śpiewającym głosem:

— O, Matko Przenajświętsza Częstochowska, co się to dzieje?... Widzieliśta, moje kumy? A dyć w tego dziada złe wstąpiło!... Bez cztery roki biłam go i ani pisnął, ino słuchał mię, a dziś mi takiego wstydu narobił!... O, po cóżem ja na ten świat przyszła, nieboga!....

— Jużci ma racją — rzekła jedna z bab. — Mnie samej, żeby mnie dopiero mój w piątym roku bić zaczął, byłoby markotno.

— Oj! biednaście wy, Janowo! — pocieszała inna baba penitentkę. — Chłop pokorny to jak wilk, póty grzeczny, póki człowiekowego mięsa nie spróbuje. Ale jak się już raz porwał, to będzie was bijał co dnia.

Ponieważ było po drodze, trzech więc deputaci wstąpili do Gajdy, który niedawno z furmanką wrócił, i znowu opowiedzieli mu rzecz całą, od początku do końca. Gajda przeraził się, aż w ręce uderzył.

— O, psiawiara! O, heretyk!... — zawołał. — Dwa dni temu zdarł ze mnie trzy ruble, tak żem nie miał za co dziecku chleba kupić i siedziało o zimnych kartoflach. A dziś na całą wieś takie nieszczęście sprowadza.

— Komu, jak komu — wtrącił Olejarz — ale wam, kumie, to się urwie.

Gajda sposępniał.

— Ja tam z moich koni żyję, a nie z jego szkody! — mruknął.
— Może się to na dobre obróci — rzekł Grzyb. — Poprosimy dziedziczki, żeby po swego posłała, i podpiszemy układ. Jużci lepiej choćby i trzy morgi aniżeli nic — i jeszcze prześladowanie.

— Co prawda, to prawda! — dorzucił Gajda. — Mam pięć morgów, jakby mi trzy dołożył, miałbym osiem i już by człowieka nie tak w szkodę ciągnęło.

— A co, nie gadałem woma w niedzielę, żeby podpisać?... Potrzebny to nam dziś strach i bałamuctwo?... Aleśta wszyscy woleli ciągnąć, aż się urwało — mówił Olejarz.

Gajda wpadł w gniew.

— Urwało się nam, urwie się i jemu, bo jak sprzeda, to nie będzie miał nic! — zawołał. — Wy, Szymonie, gadacie ino, że myśmy ciągnęli. A on to nie ciągnął?... Rozmówił on się kiedy z człowiekiem po bożemu?... Wytłomaczył nam kiedy, zapytał o co?... Nie!... Ino się rozpierał, kpinkował, a teraz ni z tego, ni z owego poleciał do miasta i biedę nam na kark zwozi. Przeklątnik!...

Gospodarze pożegnali Gajdę i pociągnęli z wolna ku dworowi. Chłop stał w sieni, zwyczajem swoim trzymając ręce za pazuchą, i patrzył to na ogród, to na długi szereg budowli dworskich ciągnących się z prawej strony.

— No! — mruknął — będzie nam, będzie i tobie, kiedyś taki pogan.

Niedługo potem Anielka dała znać matce, że trzech chłopci chcą się z nią rozmówić. Matka z trudnością podniosła się z fotelu i wyszła na ganek.

Przybysze uklonili się do ziemi, ucałowali pani ręce, a Olejarz przemówił:

— Nie róbcież nam państwo takiej suplikacji, wielmożna dziedziczko, i nie sprzedawajcie Niemcowi waszego i naszego mienia. Przecie my od zgody niedalecy i za cztery morgi na osadę podpiszemy układ...

— Co wy mówicie? — spytała zdziwiona pani.

— Jużci to, co cała wieś gada i własnymi oczami widziała. Były tu dzisiaj jakieś trzy pludry, objeżdżały pola...

— Chyba wam się śniło?...

— Ale!... — mówił dalej Olejarz. — Widzieliśmy ich wszyscy, jak szwargotały...

— To może jacy przejezdni?

— Bogać tam przejezdni! Oglądały wszystko, las i rzekę, i miały ze sobą jeszcze takie patrzydła do patrzenia, co aż nas mrowie przechodziło...

Ochłonawszy nieco ze zdziwienia, pani zamyśliła się.

— Ja nic o sprzedaży nie wiem — rzekła. — Wróci tu jednak za parę dni mąż, to z nim rozmówicie się. Szkoda jednak, żeście się tak ociągali z podpisaniem układów...

— My sami mówimy, że szkoda — odezwał się Grzyb — ale cóż, kiej z nami dziedzic nic nie gadał, nawet pary nie puścił. My dla świętej zgody, już byśmy i półczwartej morgi wzięli...

— I... i... nawet trzy! — wtrącił milczący dotąd Samiec, który wstydził się swoich kołtunów i krył je za słupem.

— Zatem, wielmożna dziedziczko, wstawicie się za nami do dziedzica? — spytał Olejarz.

— Ale owszem! Jak tylko wróci, rozmówię się z nim i powiem, że już chcecie podpisać układy...

— Chcemy! chcemy! — zawołali chórem, a Samiec dodał:

— Na grób to im damy ziemi, pludrzyskom, nawet darmo... Ale po co ony mają tu, między nas, włazić... ze swoim szwabskim gospodarstwem!...

Delegaci znowu uklonili się i ucałowali ręce pani. Po drodze powtórnie wstąpili do Gajdy, i tym razem Samiec pierwszy zabrał głos mówiąc:

— Widzi mi się, moi ludzie, że dziedzic coś kręci, kiej nawet żonie nie powiedział nic o tym, że grunta sprzedaje. A to przecie jej wiano i jak najstarsi ludzie mogą zapamiętać, nie jego, ale onej ojcowie tu siedzieli...

— Na złe idzie! — mruknął Olejarz.

— Jużci, że tak — ciągnął Samiec. — Jeżeli on rodzonej żonie nic nie gada, tylo ze Szwabami rajcuje, to już złe. Szwabska go okpią i choćby chciał się zrzucić ze sprzedaży, to mu nie dadzą.

— Cholera!... — zaklął Gajda.

— Ażebyśwa tak sami do niego pojechali? — spytał Grzyb.

— Na nic! — przerwał popędliwie Gajda. — Już on jak se postanowił sprzedać, to sprzedaje, a nie sprzedalby ino wtedy, żeby same Niemcy kupić nie chciały. Ja go znam! On mnie przecie dwanaście lat do roboty nie wołał, choć nieraz i jak było pilno!...

Odeszli zafrasowani gospodarze, a Gajda wystawał przed chatą. Potem, gdy już znikli we wsi, powlókł się ku budynkom dworskim.

Za płotem ogrodowym, naprzeciw tych budynków, na krzakach, aż szaro było od wróbli. Gajda obejrzał się, a widząc, że nikt nie patrzy, rzucił w krzaki kawał drewna.

Chmura wróbli zerwała się z wielkim szelestem, przeleciała mu nad głową i usiadła na dachach stodoły, stajni lub obory.

Chłop roześmiał się głucho. Podeszedł kilkanaście kroków naprzód i znowu spłoszył ptaki. Te, równie jak pierwsze, całym rojem poleciały na budynki.

— Nie sprzedasz ty! — mruknął Gajda wygrażając pięścią ku dworowi.

Przeszedł wzdłuż całego ogrodu, wszędzie rzucając na wróble; a ile razy widział, że lecą ku budynkom, śmiał się, wyszczerzał zęby i mruczał:

— Oj, nie sprzedasz ty, nie!...

Wróciwszy do chaty wyszukał w komorze spory kawał hubki i położył ją na ciepłym miejscu, aby przeschła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. DOMYSŁY MATKI. ZNOWU WRÓBLE

Od wyjazdu ojca i guwernantki dwór jeszcze bardziej sposepniał. Ekonom, człowiek niezonaty, zabrał w nocy swój tłomoczek i umknął, nawet nie pożegnawszy się z nikim. Lokaj, który już dawniej podziękował za służbę, zaczął przesiadywać w szynku i pił za zastawione rzeczy. Parobcy po całych dniach nie robili nic, tylko utyskiwali nad tym, że pan nie zaspokoił ich za ostatni kwartał. Ledwie który litościwszy rzucił niemym bydlętom garstkę sieczeni i do studni je wyгнаł; inaczej pozdychałyby z głodu i pragnienia.

Parę razy na dzień wchodziła do pokoju dziewczucha kredensowa, zamiotła komnatę pani, przyniosła obiad, samowar, wody do mycia i tyle ją widziano. Ani Anielka, ani matka nie śmiały upominać się o lepszą usługę czując, że ludzie nieplaceni i źle karmieni pracować nie mogą.

Anielka prawie po całych dniach pilnowała matki i Józia, nawet sypiała w ich pokoju.

Matka leżąc w łóżku albo siedząc w fotelu czytała najczęściej książkę, a małomówny i nieruchawy Józio bawił się tym, co znalazł na stoliku. Wówczas Anielka przypominała sobie radę guwernantki: „Ucz się!... ucz się!...” — i pilnując się dawnego rozkładu sama zadawała sobie lekcje: „Stąd — dotąd”, wyuczała się ich na pamięć i wydawała przed — krzeselkiem guwernantki. To historią powszechną, to jeografią, to znowu jaką gramatykę przechodziła w ten sposób. Ale nauki bez upomnień, pochwał i stopni w dzienniczku straciły dla niej znaczenie.

W czasie podobnych zajęć Anielki nieraz w drugim pokoju rozlegał się głos dzwonka. Dziewczynka wybiegała mówiąc:

— Jestem! słucham mamy!...

— Ja na lokaja dzwoniłam, *ma chère*, żeby mleka przyniosł...

— Lokaja, proszę mamy, nie ma...

— Ach, prawda. Podobno siedzi w karczmie!

— I mleka nie ma, bo krowy dziś nie dały.

Pani zalewała się łzami.

— Boże! Boże! co ten Jasieczek zrobił ze mną... Jak on miał serce wyjechać w takiej chwili... Służba rozpuszczona, w domu głód i gdyby gospodyni z litości nie ugotowała nam obiadu, pomarlibyśmy wszyscy...

I znowu zatapiała się w czytaniu, a Anielka wracała do nauki. Ale w kwadrans później dzwonek dźwięczał, dziewczynka wbiegała do pokoju matki i musiała wysłuchać takiej samej jak poprzednio sceny z małymi odmianami.

Najmilszą jej rozrywką było karmić wróble albo bawić się z Karuskiem.

Do okna, na fatjacie, ptaki przylatywały trzy razy na dzień całą gromadą. Już daszek był im za mały, więc śmielszy ptak wpadał do izdebki, złośliwszy kąsał sąsiada, mocniejszy

spychał słabszego. A co tam było pisku, świergotu!... jak prędko wydziobywały jedzenie, jak kręciły główkami, skakały, trzepotały się... Trudno było nawet zauważyć wszystkie ich ruchy, jeden od drugiego prędszy i wdzięczniejszy.

Karusia znowu uczyła Anielka służyć. Stawiała go pod ścianą z kijem pod pachą. Pies z początku wypręzał się, ale później podwijał zad pod siebie i z wolna zsuwał się po ścianie na ziemię. Co go Anielka nie naprosiła, ażeby wstał!... Gdzie tam! Podnosił do góry wszystkie cztery łapy i leżał jak kłoda. Nieraz gniewała się, ale spojrzawszy w jego pocziwy pysk i figlarne oczy, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

W końcu Karusek zaczął zaniedbywać się w nauce i wybiegać na długie wędrówki. Jednego dnia wrócił ze skaleczonym uchem, z najeżoną sierścią, kulawy i bardzo piszczał. Anielka wykąpała go w sadzawce, owinęła w płachtę i położyła w szklanej altance. Pies spał całą noc jak martwy. Rano zjadł misę barszczu z zimnymi kartoflami, zakąsił herbatą ze śmietanką, potem dostał sucharek, dwie suszone śliwki i znowu na cały dzień poleciał.

Anielka ze smutkiem myślała, że już i pies nie dba o nich, kiedy są w kłopotcie!

Po wizycie owych wiejskich delegatów stał się fakt dziwny. Matka, zamiast martwić się tak stanowczą wiadomością o sprzedaży majątku, nabrała, przeciwnie, doskonałego humoru.

— Wiesz co? ojciec na wyborny wziął się sposób — mówiła do Anielki. — Ja już byłam pewna, że on nigdy nie skończy z serwitutami i nie wyjdzie z długów. Ale dziś widzę, że to człowiek dzielny i praktyczny. Cóż to za pomysły w tej głowie!...

— Co się stało, proszę mamy? — zapytała Anielka, której na myśl o sprzedaży dworu w głowie się kręciło.

— Więc ty się niczego nie domyślasz?... Prawda, jesteś zbyt młoda i nie rozumiesz interesów. Cóż to za polityk!... Jaki genialny plan ułożył!... Wyobraź sobie, że ojciec, aby chłopów zachęcić do układów, ogłosił, widać przez Szmula, że sprzedaje majątek Niemcom. Chłopi zlekli się i dziś już godzą się na wszystko.

— Czy mamie tatko mówił o tym?

— Wcale nie. Ani on, ani Szmul, ale ja się domyślam wszystkiego. Jacy oni paradni obaj!... O, powinszuję Jasiowi szczęśliwego pomysłu.

Anielce, nie wiadomo dlaczego, było przykro. Gdyby teraz przyszli chłopci, zapewniłyby ich najuroczyściej, że tatko nie sprzedaje majątku i tylko zażartował sobie z nich. W każdym razie nie śmiałyby spojrzeć im w oczy. Zwyczajnie jak dziecko, które nie zna się na robieniu interesów.

Matka tymczasem marzyła głośno:

— Już wiem, jaką nam ojciec zrobi niespodziankę. Odbierze dziesięć tysięcy rubli za ten las, a może i drugi sprzeda?... Przywiezie mnie pokojówkę, a tobie guwernantkę. Tamta, panna Walentyna, była może mądra, ale nieznośna. Dlaczego ona, na przykład, wyjechała od nas?... doprawdy że nie rozumiem!...

Gdy się ojca zapytam: czy przywiózł ekstrakt słodowy? powie: „Zapomniałem na śmierć!... Tyle miałem interesów!... Dopiero, gdy się wygniewam na niego, odezwie się triumfując: „Jutro jedziemy do Chałubińskiego, który, czuję to, że i ciebie, i Józia wyleczy”.

Matka mówiła to z uśmiechem patrząc gdzieś daleko, zapewne w stronę Warszawy. Potem opuściła głowę na piersi i szepcząc:

— *Mon cher Jean!*... Ja wszystko odgadłam, mnie nigdy przecucie nie myli!... — usnęła jak dziecko.

O ile matka była zachwycona i szczęśliwa ze swych marzeń, o tyle Anielka cierpiała.

„Co będzie — myślała sobie — jeżeli ojciec, który tak zażartował z chłopów, zażartuje z mamy? Chłopi są pewni, że tatko sprzedaje majątek, a mama śmieje się z nich... Mama jest pewna, że tatko pojedzie z nią do Chałubińskiego, a tatko?...”

Nieograniczona wiara w ojca była już w niej bardzo zachwiana.

— Anielciu! — rzekła ocknąwszy się matka — czy nie jedzie ojciec?... Zdaje mi się, że słyszałam turkot!...

— Nie.

— Gdybym wiedziała, że jest w domu krochmal i mydło, kazałabym bieliznę poprać... Nie należy ani jednego dnia zwłóczyć z wyjazdem do Warszawy, bo ja czuję się coraz słabszą...

Czego ty tak na mnie patrzysz, *Angelique*? Szczęście wróci mi prędko siły i jeszcze zobaczysz, jak mama twoja będzie tańczyć w karnawale... cha! cha! cha!... Ja, tańczyć!...

Anielka z trudnością hamowała łzy. Matka, płacząca, znękana, skarżąca się, była dla niej osobą zwyczajną, odpowiadającą temu, co się około nich działo. Ale matka uśmiechnięta i pełna nadziei, w tych pustkach, w nędzy, wśród takich pogłosek, zrobiła na niej wrażenie straszne. Chciała biec, wołać kogoś... Żeby choć Karusek przyszedł...

Nikt nie przyjdzie.

Z wolna i cicho zsunęła się noc na ziemię. Dziewucha posłała łóżka w pokojach, zamknęła okiennice i zostawiła troje sierot na bożej łasce.

Na drugi dzień rano matka była jeszcze weselsza niż wczoraj.

— Wyobraź sobie — mówiła do Anielki — śnił mi się dziś Chałubiński, jak żywy. Proszę cię, zapamiętaj wszystko, bo ja mu dzisiejszy sen opowiem, ażeby wiedział, że mnie przecucia nigdy nie mylą. Ach! jaki to piękny człowiek. Czarna, długa broda, czarne oczy... skoro tylko spojrział na mnie, uczułam, że mi jest lepiej. Potem zapisał mi jeden proszek, zdaje mi się, że receptę pamiętałam nawet, i — tym uleczył mnie do reszty. O! ja muszę do niego pojechać...

— I ja — wtrącił Józio monotonnym głosem — bo ja jestem osłabiony...

— *Naturellement, mon fils!*... Anielciu, wyjrzyj, czy ojciec nie wraca. Nie uspokoję się aż do jego przyjazdu.

Anielka wzięwszy ze sobą kilka kawałków chleba pobiegła na facjatkę.

Spojrzała — na gościńcu nie było nikogo.

Natomiast zleciały się wróble pod okno, ze zwykłym hałasem. Było między nimi parę młodych, które dopiero próbowały skrzydeł, i jeden starszy bez ogona. Taki gość zjawiał się tu pierwszy raz, choć całe zachowanie wskazywało, że nie czuł się obcym w towarzystwie.

„Pewnie mu kot ogon urwał” — pomyślała Anielka.

Zdziwiła się jednak zobaczywszy, że wróbel ma ogon upalony.

„Czyżby wpadł w ogień, czy może niegodziwi chłopcy męczyli go w taki sposób?”

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, lecz wróciła do matki z wiadomością, że ojciec jeszcze nie wraca.

Po obiedzie, gdy matka zdrzemnęła się na fotelu, Anielka wybiegła z Karusem na ogród. Zdawało się jej, że drzewa urosły i przybyło więcej kwiatów. Było jej tu swobodniej niż w pokoju. Wesoły pies skakał jej do ust i szczekał. Pobudzona przez niego, zaczęła biegać, aż jej rumieńce na twarz wystąpiły.

Wtem między krzakami, około płotu, usłyszała niespokojne świergotanie wróbli. Zajrzawszy tam, zobaczyła kilka cegieł ułożonych w formie zamkniętego pudła. Spod powierzchni cegły wysuwało się drżące skrzydełko ptaka. Anielka wydobyła go szybko. Uwolniony wróbel uszczypał ją w palec i skoczył na gałązkę powłócząc skrzydłem, zwichniętym czy złamanym.

Potem dziewczynka obejrzała cegły. Było ich pięć, a między nimi przestrzeń pusta, czworoboczna, w której znajdowało się trochę kaszy i dwa patyczki.

„Widocznie ktoś łapie wróble — pomyślała Anielka. — Może parobcy jedzą z głodu?”

Na dalszym krzaku wisiała pętelka z włosienia, a jeszcze na innym znowu podobna pętelka, obie puste.

„Biedne wróble” — pomyślała dziewczynka. W tej chwili postanowiła co dzień przegłądać krzaki i uwalniać małych więźniów, gdyby kto na nie znowu siadła zastawiał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY. W JAKI SPOSÓB BÓG CZUWA NAD SIEROTAMI

Skwarny dzień zeszedł bez osobliwych przygód. Szmul rankiem wyjechał do pana Jana, a wiejscy ludzie gromadzili się między chatami, niespokojnie dowiadując się o nowiny z miasta.

— Będą czy nie będą układy z dziedzicem? Sprzeda czy nie sprzeda majątku? — tak mówiono.

Niektóre kobiety litowały się nad dziedziczką.

— Biedna ona, choć bogata! — mówiła jakaś starsza. — Mąż wyjechał, słudzy ją ponoć odbieźali, i siedzi se sama jak ten bocian na gnieździe, co mu samicę tamtego tygodnia zabili.

— Może byśwa poszli do niej na pocieszenie? — spytała inna ze śmiechem.

— Czego kpita? — dorzuciła trzecia. — Przecie sam Pan Bóg nakazuje smutnego pocieszyć, nagiego przyodzić i umarłego pogrzebać.

— Widzita, kumy! — odezwała się poprzednia niemniej wesoło. — Ostaszskiej wydaje się, że do dziedziczki to można tak chodźć jak do położnicy... Przecie to pani całą gębą, co wy se myślita? Jakby do was zaczęła gadać po francusku, to byście ino oczy wytrzeszczyły...

— Ej!... w takiej samotności i opuszczeniu to by se przypomniała po polsku. A zawdy co pociecha, to pociecha.

— A jakżebyśta ją cieszyły? — mówiła śmieszka. — Ona bawi się inaczej i smuci inaczej niż my, ludzie proste. U nich jest myślenie nawet inaksze. Toteż jak z tobą zacnie która gadać nie o gospodarstwie, nic jej nie rozumiesz ani ona ciebie. Rychtyczek, jakby se świnia z pastuchem rozmawiała. Ja bym ta do niej pójść nie śmiała!

Tak więc opuszczona dziedziczka nie mogła nawet liczyć na pomoc ze strony pocziwych kobiet wiejskich. Między chatą i dworem stał mur przesądów, w którym państwo Janowie przez cały czas swego pobytu na wsi nie chcieli czy nie umieli zrobić wyłomu.

Okolo dziesiątej w nocy, kiedy rosa spadła na ziemię, ponad wołanie żab wybił się jakiś odległy łoskot. Anielka wbiegła na facjatkę i stanęła w oknie. Rzeczywiście, ktoś jechał gościńcem, ale nie do nich. Oparła się na oknie i załala łzami.

— Boże! Boże! sprowadź też ojca do nas — szeptała.

Gdyby cud skrócił odległość między nią i ojcem, może zobaczyłaby go w towarzystwie ludzi wesołych, pijącego na próbę nowo wynaleziony trunk, który składał się z porteru i szampana.

Jak w podobnej mieszaninie smakują lzy opuszczonego dziecka? — o tym chyba nikt nie wie, a najmniej pan Jan, który czuł się w złotym humorze.

Noc była gwiazdzista, spokojna i na pół jasna. Powietrze nasycala wilgoć. We wsi już światła pogasły. Słychać było krzyk żab i szczekanie psów. Może tam i Karusek jest między nimi, bo od południa nie ma go w domu?... Niedobry pies, nie lepszy od ludzi!...

Czasami spomiędzy drzew ogrodu wyrwał się duży ptak i leciał z szumem. Niekiedy z pół płynęły nieznanne we dnie szmery — może bieg spłoszonego zwierzęcia?... I znowu cicho, tylko w dolnym pokoju niestrudzony zegar w szafce klekocze.

Liczne jak piasek gwiazdy drżały niby dogasające iskry. Tu i owdzie, między nimi, widać było punkciki zielonawe, błękitne lub czerwone jak drogie kamienie. Spomiędzy nieruchomych światel konstelacji wyrwała się niekiedy gwiazdka błędna i zakreśliwszy luk na niebie, gdzieś niktęła.

„Może to anioł z pociechą od Boga?” — pomyślała Anielka.

I spoglądała za siebie spodziewając się ujrzeć kogo. Ale pokój był pusty. Duchy niebieskie lękają się wchodzić między tryby maszyny wszechświata.

Wtem od gościńca ukazała się błędna gwiazda szczególnych własności. Biegła nie z nieba ku ziemi, ale od ziemi ku niebu, a potem nagle zwróciła się w stronę budowli dworskich.

W kilka minut później Anielka zobaczyła drugą podobną. Ta zakreśliwszy parę bardzo nieregularnych linii, spadła na drzewo i niedługo zgasła.

Były to iskry tak niewyraźne, że ledwie rozeznac je mógł niesłychanie ostry wzrok Anielki. Dziewczynę przestraszyły te światła, przypomniała sobie bowiem o duchach pokutujących. Ale wnet przyszło jej na myśl, że może to są robaczki świętojańskie?

Postała jeszcze chwilę w oknie, na próżno słuchając turkotu, i zesła do pokoju matki.

„Może ojciec przyjedzie w nocy?” — rzekła do siebie.

Postanowiła czuwać jeszcze, lecz nie chcąc budzić matki zgasła lampę i usiadła na fotelu.

Zdawało jej się, że ojciec jedzie i że ona otwiera mu drzwi. To znowu, że chodzi po pokoju jakiś pan obcy albo że słyszy czyjś głos wołający ją po imieniu.

— Czy mama do mnie mówi? — spytała.

Odpowiedział jej ciężki oddech matki i szybkie chrapanie Józia. W kącie nad piecem słychać było brzęk muchy, a w drugim pokoju łoskot zegara.

Oparła głowę na poduszce fotelu i twardo zasnęła.

Od wieczora w chacie Gajdy było ciemno. Ale gospodarz czuwał. Chwilami można było widzieć jego głowę kudłatą w szybach małego okna. Niekiedy uchylał drzwi od gościńca i wysunąwszy się do połowy patrzył w stronę budynków dworskich.

Około północy między ogrodowymi drzewami błysnął płomyk i zgasł. Gajda wybiegł przed chatę, pilnie wpatrzył się w tamtą stronę i zobaczył parę cienkich, ognistych języków wydobywających się z dworskiego dachu tuż około okna, z którego panna Walentyna i Anielka co dzień karmiły wróble.

Chłop schwycił się za głowę.

— Psiakrew! — zaklął. — A dyć to dwór się pali...

Wbiegł do chaty i silnie szarpnął śpiącą na ławie Magdę.

— Wstawaj! — zawołał. — Chodź do okna! — i przeniósł ją jedną ręką jak psiaka pod okno.

Dziewczynka zaczęła krzyczeć ze strachu.

— Cicho, ty!... Patrzaj, co się pali... dwór czy stodoła?... o tam, o... Jużci dwór...

Trząsł się cały.

— Magda! — mówił stłumionym głosem. — Leć do dworu, obudź ludzi i wołaj, że się pali. No, idźże, ty bękarcie!... bo się tam panienka spali, ta, co ci wstążkę dała... Jezu mój... Ocknijże się, nie trząś się ty... Ona przecie nie kazała cię bić i spali się...

— Boję się, tatułu! — wrzasnęła dziewczyna i upadła na ziemię.

Na dworskim dachu ukazało się już kilkanaście pochodni gorejących. Chłop wybiegł z chaty i począł pędzić ku budynkom nie spuszczać oka ze dworu.

Dopadł do stajni.

— Bywaj! — krzyczał. — Dwór się pali!... wstawajta, parobcy!

Pognał do obory i począł pięściami bić w ścianę.

— Wstawajta, ludzie!... Ogień we dworze... Panienka się spali...

Usłyszał około uchylonej bramy jakiś szmer i zobaczywszy rozwalonego na barłogu skotopasa od razu postawił go na nogi.

— Dwór się pali! — krzyknął mu w ucho.

Parobek ziewnął, przetarł oczy, zaczął przestępować z nogi na nogę i mruczeć:

— Trza bydło wygnąć.

— Budź parobków!... ja polecę do dworu — rzekł Gajda i pocałował naprzód.

Na dachu pojedyncze płomyki zaczęły się już zlewać ze sobą. Podwórze i ogród przybrały barwę czerwoną, ptaki zaczęły świergotać. Tylko we dworze było cicho.

Chłop wpadł na ganek i przycisnął ramieniem mocne drzwi, które przeciągle zgrzytneły i pękły z łoskotem. Różowy blask oświetlił ciemną sień.

— Panienko!... Janielciu! — krzyczał chłop. — Uciekajta! dwór gore!...

— Co tam?... — odpowiedział mu strwożony głos.

Gajda wywalił drugie drzwi i dostał się do pokoju zupełnie ciemnego. Potrącił stół, potknął się o krzesło i nadeptał jakąś suknią, w której nogi mu się zaplątały. Dopiero po chwili, zobaczywszy blask przez serce wykrojone w okiennicy, wybił okno i powyrywał deski z zawiasów.

Pokój został oświetlony. Jednocześnie słychać było trzask płonącego dachu. Dym gryzł oczy, ze wszystkich stron grzało.

Anielka stała obok fotelu zupełnie ubrana, bez ruchu. Chłop wziął ją na ręce i wyniósł przed ganek.

— Mamę!... mamę i Józia ratujcie!...

Chłop wrócił do pokoju, a za nim Anielka.

— Uciekaj, panienko!...

— Mama!... mama!...

Gajda zobaczył na łóżku postać skurczoną, całkiem zawiniętą w kołdrę. Była to matka. Poruszył ją, ale ona ze strasznym krzykiem chwyciła się oburącz krawędzi łóżka, jakby broniąc się. Ledwie oderwał ją i wyniósł na dziedziniec.

Tymczasem Anielka dźwigała Józia, lecz była tak zmieszana, dym tak ją otoczył, że nie trafiła do drzwi. Potknęła się o coś i upadła.

Szczęściem wyprowadził ją Gajda unosząc zarazem Józia. Potem usadziwszy ich obok matki wrócił do pokoju już gorącego jak piec i zaczął wyrzucać na ogród wszystko bez różnicy: odzież, pościel, biurko i krzesła.

Cały dach ogarnęły płomienie, szyby pękały, ze szczelin sufitu wydobywał się ogień. Gałązki i liście drzew, stojących przy dworze, poczęły się tlić. Dokoła domu było jasno jak w dzień, dym bijący w górę zasłaniał chwilami gwiazdy półprzezroczystą gazą. Koguty we wsi myśląc, że już świta, zaczęły pisać. W miasteczku dzwonek kościelny uderzał na trwogę.

Na dziedzińcu, wprost ganku zebrali się ludzie folwarczni. Na pół nagie dziewczki zawodziły płaczem, parobcy kręcili się nieprzytomni.

— Wyprowadźcie Gajdę!... on tam jest w pokoju — zawołała Anielka otulając matkę koldrą.

— Gajdo!... Gajdo!... — krzyčeli parobcy. Ale żaden nie ruszył się, bo już było gorąco i niebezpiecznie.

Wtem na prawym skrzydle domu zatrzeszczały krokwie i facjatka zapadła się na sufit. W chwilę później zegar w żółtej szafce wydzwonił cienko i prędko trzy kwadranse, przypominając, że i jego trzeba ratować.

Jeszcze chwila i rozległ się ogromny huk. Sufit spadł na podłogę, wypychając uragan płomieni. Niestrudzony zegar skończył swoją wędrówkę.

Teraz dopiero wyszedł Gajda z pokoju matki. Odzież i włosy tliły się na nim, był skrwawiony i okopcony.

Tymczasem poczęli nadbiegać ludzie ze wsi z drabinami, siekierami, bosakami i wiadrami. Jeden z parobczaków wylał na Gajdę konewkę wody i stłumił ogień, który już całego chłopca ogarniał.

O ratunku domu mowy być nawet nie mogło. Płomienie wydobywały się wszystkimi oknami, w pokojach gorzały meble i tliły się tapety. Piec pękał, sufit za sufitem upadał wśród wybuchów iskier i dymu.

W kilka minut później ogień nurtujący wewnątrz domu zniżył się do wysokości murów. Paliły się już tylko podłogi.

Wieśniacy ochłoniwszy z przerażenia poczęli rozmawiać między sobą.

— Skąd się ogień wziął, patrzta ino?...

— Może kto podpalił?...

— Zwyczajnie, kara boska na dziedzica.

— Widzicie, jak się zestrachala pani.

— Nie gada nic, ino patrzy przed siebie...

— Wszystko im się spaliło.

— Nie wszystko — wtrącił Gajda. — Pójdźta ze mną na ogród, to przyniesiemy im resztę szmat, żeby się mieli w co odziać.

Paru gospodarzy poszło i poczęli znosić poduszki, prześcieradła, odzienie i ułamki sprzętów, które Gajda ocalił.

Dziewki folwarczne przeprowadziły tymczasem panią i dzieci do kuchni.

Dziedziczka ubierając się zaczęła płakać.

— Jak też nas Bóg ciężko doświadcza! — mówiła. — Ledwie mąż pokończył interes, a tu dom spłonął. Gdy wróci, nie będzie miał gdzie spocząć. Okropność! To, co wydaliłyśmy na podróż do Warszawy, pójdzie na restaurację domu... Już chyba nigdy nie będziemy mieli takich sprzętów ani ja sukien, choć wyszły z mody. *Joseph, mon enfant, n'as-tu pas peur?*

Gdzie jest ten dobry człowiek, który nas ocalił?... Zdaje mi się, że to Gajda. Mój mąż zawsze uważał go za łotra: pokazuje się jednak, że w najgorszym sercu tleje iskra uczciwości. Powiedzcie mu, że będzie hojnie wynagrodzony...

— Ja tam nic nie chcę od państwa! — odezwał się ponuro Gajda stojący z kilkoma innymi gospodarzami we drzwiach kuchni.

A potem szepnął patrząc w ziemię:

— Żeby mi o panienkę nie szło, nawet bym się z chałupy nie ruszył.

Tym sposobem za niebieską wstążkę i kilka pocziwych słówek kupiła Anielka życie trzech osób.

W tej chwili przygalopował biedką Szmul z karczmy i wszedł do kuchni.

— Co się tu dzieje? — zawołał siny z trwogi. — Jak się jaśnie pani ma?... Czy nic nie wyratowali?... Ach! takiego ognia jeszcze w naszej wsi nie było. Jakim się to sposobem mogło zrobić?...

Ludzie opowiedzieli mu naprędce o nagłym wybuchu pożaru pod dachem i o poświęceniu Gajdy.

Żyd kiwał głową i mruknął:

— Prędzej bym się spodziewał, że Gajda podpali dwór, aniżeli że wszystkim życie uratuje! Jaśnie pan powinien mu bardzo podziękować.

— Czy od męża nie masz jakiej wiadomości, Szmulu? — zapytała pani.

— Mam i wiadomość, i pieniądze — odparł arendarz.

— Pan przysłał sto rubli. Z tego ma być zapłacone siedemdziesiąt parobkom za kwartał, a trzydzieści dla jaśnie pani.

— Kiedyż pan wraca?...

— Tego nie wiem, ino wiem, że dziś ma jechać do Warszawy naprzeciw jaśnie prezowej.

— Beze mnie? — przerwała pani zalewając się łzami.

Na twarzy służby dworskiej widać było radość z powodu nadesłanych pieniędzy. Gospodarze natomiast patrzyli na Szmula niespokojnie. Wreszcie jeden zapytał:

— A jakże będzie z nami?...

— Majątek już sprzedany — odparł Szmul — a dziś zjeżdża Niemiec objąć go. Co prawda nieładnie trafił na początek!...

Przez chwilę panowało przykre milczenie.

— Żartujesz chyba, Szmulu — wtrąciła pani. — Majątek nie mógł być sprzedany...

— Wczoraj podpisali kontrakt i wypłacili wierzycielom pieniądze. Sam byłem przy tym. Jeszcze pan kazał prosić, ażeby jaśnie pani wyjechała na tamten drugi folwark, co w nim karbowy rządzi... I to trzeba jechać dziś, bo Niemców ino co nie widać.

— Nieszczęśliwa ja jestem z tym człowiekiem! — lamentowała pani, bez względu na obecność ludzi obcych. — Nigdy w domu nie siedział, tracił majątek i teraz zostawia nas pod gołym niebem.

— Z nami się pan układać nie chciał!... Wolał wszystkich skrzywdzić... — odezwał się jeden z gospodarzy.

— A ja taka chora — jęczała pani. — Nie mam nawet ubrać się w co z dziećmi, nie mam łyżki stawy za mój posag...

— Ja już o sobie nawet nie mówię — wtrącił Żyd. — Tyle lat prosiłem pana, żeby mi młyn wystawił, wszystko na nic!...

— Za to też go Bóg pokarał i jeszcze skarże! — mruknął któryś z chłopów.

Słuchając tych uwag i narzekań Anielka siedziała na ławce, ze splecionymi rękoma, mocno oparta o ścianę. Postać jej zaniepokoiła widać Żyda, który zbliżył się do niej i ostrożnie dotknął jej ramienia. Wtedy Anielka osunęła się na ławkę, bez ruchu i przytomności.

Poczęto ją rozcierać i kropić wodą. Ocknęła się, otworzyła oczy i znowu zemdląła.

Uprzątnięto naprędce tapczan, położono na nim parę garści siana, materac, poduszkę. Dziewuchy folwarczne zasłoniły chustkami i płachtami okna, a potem ułożyły razem spać: matkę, Anielkę i Józia. Biedacy potrzebowali spoczynku.

Słońce weszło i pogorzeliśko już gasło. Z niedopalonych belek sączyły się w górę strumienie białego dymu. Wiatr rozrzucał szary popiół i podsyczał dogorywające iskry. Nad dziedzińcem unosił się odurzający swąd.

Oparty o płot stał Gajda i bezmyślnie patrząc na zgliszcza mruknął:

— Na nic się nie zdało!...

— Co na nic?... — spytał Szmul obserwujący go z boku.

W pierwszej chwili chłop zdawał się być zmieszany. Wnet jednak zapanował nad sobą i odparł spokojnie:

— Juźci na nic zdało się to, że gospodarze chodzili do pani i chcieli układać się za trzy morgi.

— Aha!... wy o tym mówicie?... Ja myślałem, że o tym... — odpowiedział Szmul wskazując na ruinę domu.

Chłop znowu zmieszał się.

— A co mnie to obchodzi!... Ja zrobiłem, com mógł...

— Ja wiem — odparł Żyd patrząc mu w oczy — że wyście *zrobili*, coście ino *mogli*... Ani wam, ani mnie nic z tej wiadomości. Tu sam diabeł ładu nie dojdzie!... A swoją drogą Niemcy się sprowadzą i będą stawiali młyn, gorzelnię, mnie wyrzucą z arendy, was pewno ze wsi...

Ale chłop nie słuchał go. Machnął ręką i powłókł się do swej chaty.

W tej chwili wjechał na dziedziniec dworu burmistrz z sąsiedniego miasteczka z sikawką i dwiema beczkami. Dużo krzyczał, ludziom wymyślał i w końcu pochwalił się, że gdyby nie on i jego trajkocząca sikawka, to spłonąłby nie tylko dwór, ale budynek, ogród, płoty, a nawet woda w sadzawce. Wytłumaczył też zebranym, że na strychu dworu musiały być tłuste pakuły, mokre siano i jeszcze coś i że skutkiem tego a także operacji słonecznej — dom zapalił się sam.

Wszyscy jednoznacznie pochwalili naprzód burmistrza, później jego czujność i energię, potem jego sikawkę, a nareszcie domyślność. Przyczyna pożaru pozostała tajemnicą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY. SPRAWIEDLIWY LITUJE SIĘ NAD WSZELKIM BYDLĄTKIEM, ALE SERCE BEZBOŻNYCH JEST OKRUTNE

Nie trzeba było głębokiej znajomości ani psychologii, ani zwyczajów towarzyskich, aby odgadnąć, że powodem częstych ucieczek Karuska z domu była — miłość.

Karusek, jak wszyscy z jego rodu, był prostakiem. Człowiek ucywilizowany i dobrze wychowany umie rozdzielać swoje uczucia, pragnienia i przyjemności w sposób ekonomiczny i rozsądny. Przeznacza on dwadzieścia procent sił na godność osobistą, piętnaście procent na miłość, dziesięć procent na uprzejme stosunki towarzyskie, pięć procent na sztuki piękne, dwa procent na przyjaźń, a resztę na jedzenie i spanie. Tym sposobem w każdej chwili ma poczucie swoich praw, może się trochę kochać, trochę być uprzejmym, trochę marzyć, trochę być przyjacielem, a w końcu — jeść i spać na każde zawołanie.

Natury zaś pierwotne, mniej skombinowane, do jakich i Karuś należał, żyją w ciągłych ostatecznościach. Karusek, kiedy walczył, to już do oberwania ogona i uszów, kiedy czekał — to do ochrypnięcia, gdy jadł — to z nogami włożył w talerz, gdy był przyjacielem, to do śmierci, kiedy się kochał — to bez pamięci.

W dniach miłości Karusek rzeczywiście zapomniał o wszystkim: o domu, jedzeniu, a nawet o Anielce. Biegał jak szalony, przez całą dobę cierpliwie wystawał pode drzwiami swojej kochanki, odpędzony wracał, do kijów, którymi go hojnie częstowano, nie miał pretensji, wreszcie walczył jak bohater. W ogóle postępowanie jego było wyższe nad wszelkie pochwały, o co zresztą nie dbał.

Ale i na niego przyszła godzina upamiętania. Przespał się gdzieś na łące, ziewnął wyciągając łapy, uczył, że go kości boją, i — z niesmakiem obejrzał się na swoją przeszłość. „Miałem też za co tak schudnąć!” — pomyślał, machnął pogardliwie ogonem i ruszył do domu.

Już za ogrodem uczył swąd. Przyśpieszył kroku, wbiegł na dziedziniec, stanął, spuścił ogon i nastawił uszy. Nie mógł poznać dworu.

Począł biegać i wachać ziemię. Znalazł ślady obcych nóg, kopyt końskich, wody, spaleniźny. W jednym miejscu pokręcił ogonem: tu stała Anielka. Ze spuszczoną głową pobiegł do kuchni. Znowu wrócił i obleciał całe podwórze.

Ślady Anielki, wyraźne w kilku miejscach, nagle urywały się. Stał w tym punkcie jakiś wóz. Pies pobiegł do bramy za jego koleją, lecz dalej ani kroku. Koleje krzyżowały się, tyle tędy wóz przejechało, że Karusek nie mógł się zorientować żadną miarą.

Począł szczekać, wyć i biegać cwałem. Obleciał ogród, sadzawkę, zajrzał pod kasztan, przegalopował pod płotem. Wszędzie były ślady Anielki dawniejsze, ale każdy kończył się pod spalonym domem.

Wpadł na zgliszcza. Obiegł ciepłe jeszcze gruzy, poparzył się o tlejące główne, pokaleczył o gwoździe. Ale oprócz spaleniźny najrozmaitszej woni nie znalazł nic więcej.

Znowu pędził, czekał i wył takimi głosami, że aż się serce krajało. Wskakiwał przednimi łapami na okna, zaglądał za drzwi — na próżno.

Począł go dławić straszny żal. Żeby choć znalazł sukienkę Anielki, jaki szmatek z jej odzienia!... Żeby choć spojrzeć na nią, uczuć jej rękę na głowie, usłyszeć dźwięk głosu!...

Ach! jakże byłby chętnie uczył się służyć teraz, jakby się nie przewracał, jakby jej nigdy nie opuszczał!

Wszystkie te myśli nie były w nim sformułowane, nie umiałby ich wyrazić. Ale za to jak on czuł!... Język ludzki nie ma słów do określenia ani serce strun do odczucia psiej przyjaźni. Człowiek zawsze znajdzie pociechę po stracie drogich osób, pies prawie nigdy. Wierzyć należy we wszystko, nawet w opinią, jaką ludzie mają sami o sobie, lecz ufać można tylko — psom.

Gdyby Karusek wiedział, że jest coś, co się nazywa śmiercią, i potrafił ją zadać sobie, niezawodnie w tej chwili popełniłby samobójstwo. Ale on, nieszczęśliwszy od rodu ludzkiego, nie znał tego środka. Oddychać prawie nie mógł, łzy zasłaniały mu oczy, cierpiał niezmiernie, ale pozbyć się udęczeń nie umiał.

Wówczas w jego drobnej, na pół świadomej duszy błysnęła myśl genialna. Zatrzymawszy się na ostatnim śladzie Anielki, postanowił biegać wkoło dworu, stopniowo oddalając się od środka. W taki sposób, choćby przyszło oblecieć cały świat, trafi w końcu na jakąś wskazówkę, która doprowadzi do Anielki.

Co postanowił, wykonał natychmiast. Spuścił ogon, zwiesił łeb i pędził galopem po linii spiralnej. Przecinał w poprzek gościńce, drogi boczne, wszystkie ścieżki i miedze i — szukał.

Ku wieczorowi był już za wsią, zrobiwszy w kilkunastowym promieniu około sześciu mil drogi. Ale śladu Anielki jeszcze nie znalazł.

Całą noc nie spał, tylko pędził wciąż. Gdy ludzie szli na robotę z rana, spotkali go już o milę od spalonego dworu. Miał boki zapadłe, piana toczyła mu się z pyska. Niekiedy stawał, podnosił głowę do góry i wył — strasznie zmienionym głosem.

To jego zachowywanie się zwróciło w końcu publiczną uwagę. Zaczęto opowiadać, że jakiś biały pies z łatą na oku pędzi na oslepe przez pola, czasami wstępuje do wsi nie zatrzymując się, na wołania nie zważa i tylko odzywa się niekiedy ochrypłym głosem.

Zdecydowano, że pies wściekł się.

Karusz nic naturalnie nie wiedział o opiniach ludzkich, skutki ich przecie odczuł niebawem. Mijając jakąś wieś zobaczył studnię i wsparłszy się łapami na korycie, chciał w nim zeszkły język umoczyć. Ledwie jednak pochylił się nad wodą, usłyszał krzyk. Gromada dzieci rozbiegła się po ulicy, a paru większych chłopców poczęli rzucać na niego kamieniami. Uderzony w głowę psina uciekł z niegościnniej wsi i biegł dalej.

Na łące musiał zboczyć nieco z kierunku, zobaczyli go bowiem skotopasy, zaczęli wołać, szczuć i wygrażać mu kijami.

Głód strasznie mu dokuczał. Przypomniawszy sobie, że dawniej ludzie wiejscy wyrzucali mu chleb, gdy zbliżył się pod chatę. W tej chwili wchodził do wsi, i ledwie mogąc nogami powłóczyć, stanął pod najbliższym domem trzęsąc się z utrudzenia i patrząc pokornie na drzwi. Wnet uchyliły się one i Karusz ujrzał w nich dużego chłopca z widłami. Chłop zaczął go pędzić, nawoływać innych. Ulica wypełniła się ludźmi uzbrojonymi w drągi i siekiery, a wszyscy oni gonili albo zastępowali drogę biednemu psu, tak że ledwie z życiem uciekł.

Był już o dwie mile od domu ciągle kołując i szukając śladów. Wsie omijał, widok człowieka napęlał go obawą. Pił wodę z kałuż i ledwie w trzeciej dobie udało mu się znaleźć w polu zdechłą, już psującą się wronę, którą mimo odrazy w oka mgnieniu rozszarpał.

Czwartego dnia ujrzał w polu jakiegoś człowieka, który usiłował mu zająć drogę.

Zląkł się go bardzo i pragnął go czym prędzej ominąć. Podwoił nawet kroku, i gdy sądził, że już niebezpieczeństwo przeszło, usłyszał za sobą dwa wystrzały i uczył jakiegoś szarpnięcia. Lewa noga tylna zdrętwiała mu tak, że się na niej oprzeć nie mógł. Włókł ją więc za sobą uciekając na trzech innych.

W końcu już mu sił zaczęło braknąć. Wtedy kładł się w bruzdach i wypoczywał. Na jednej z podobnych stacji zobaczył, że ścierpnięta noga jest mocno skrwawiona i że ją muchy obsiadły. Odegnął muchy, oblizal krew i powłókł się dalej.

W godzinę później (było już samo południe) ujrzał daleko wśród pól kilka budynków. Skwar go bardzo męczył. Dokoła nie było lasu, tylko bagna. Umyślił podkraść się i ugasiwszy pragnienie odpocząć przy budowlach.

Ale ponieważ bał się pójść wprost, więc zaczął kołować i — zbił się z drogi. Nie mógł już zmiarkować, skąd wyszedł, w którą stronę szedł... węch go prawie opuścił, a z nim siły. Co kilkanaście kroków potykał się i upadał.

Wtedy czując, że dzieje się z nim coś niezwykłego, ostatkiem tchu zawył patrząc w stronę budynków.

Obok jednego z nich ukazała się jakaś postać, której pies z powodu odległości poznać nie mógł. Zdjęty trwogą, chciał uciekać, ale przewrócił się. Zamroczyło go, tchu nie miał, ale obawa przemogła. Zerwał się jeszcze raz, podniósł głowę i zobaczył nad sobą — Anielkę.

— Karuś! Karusek!... piesuniu mój! — zawołała dziewczynka klękając nad nim i usiłując go podnieść.

Na głos ten pies zapomniał o wszystkim. Nieskończona wędrówka wydała mu się krótką, nieopisane trudy, ból, głód i pragnienie znikły. Przebaczył tym, którzy go bili, gonili, a nawet temu, który go postrzelił. Słońce go już nie piekło, zeschnięty język nie bolał.

Widział sukienkę i — patrzył w oczy swojej pani; drobne jej rączki dotykały jego głowy gorącej. Czuł pieszczoty i słyszał imię swoje wymawiane przez nią.

Był zupełnie zadowolony i na znak tego chciał wesoło zaszczekać, ale tylko żałośnie zaskomlał. Pragnął przeprosić ją za samowolną ucieczkę z domu, więc wyciągnął się pokornie jak psy warujące i oparł pysk na jej kolanach.

Ach! jak mu było dobrze...

Uczuł senność. Nic dziwnego: przez tyle dni nie spał; podniósł więc oczy na twarz swojej przyjaciółki i delikatnie otulony przez nią — zasnął. Oddychał lekko, ale już coraz rzadziej, serce uderzało w nim coraz wolniej, z jakimś szczególnym dźwiękiem niby pękniętej struny.

Wreszcie — umilkło.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. FOLWARK

Miejsce, do którego przywłókł się Karusek, aby w nim spocząć na zawsze, stanowiło resztę dziedzictwa pani Janowej.

Była to okolica zaklęśnięta. Ze wszech stron spływały do niej wody. Jej niewielkie i płaskie wzgórki można było obsiewać żytem albo zasadzać kartoflami. Doły niziny tworzyły bagno. Im rok był wilgotniejszy, tym mniej siano i zbierano, ale za to głośniej odzywały się żaby i ptaki wodne.

Widnokraj szczytu, ciemne zwierciadła wody oprawne w zielony tatarak, kilka płątów zboża i ziemniaków, gdzieniegdzie kępa karłowatej wierzbiny, w jednej stronie czarny las — oto widoki tutejsze. Od lasu ciągnęła się wąska droga, której doły zasypywano niekiedy faszyną i po której nikt prawie nie jeździł.

W środku tego krajobrazu widać było dużą chatę mieszkalną z bocianim gniazdem. Obok niej pod kątem prostym ciągnęła się obora i stodoła, tworząc jeden budynek także z bocianim gniazdem. Nieruchomości te zamykały z dwu stron prostokątny dziedziniec, którego dwa inne boki tworzył płot z żerdzi.

Na środku dziedzińca stała studnia z żurawiem i korytem, otoczona kałużą.

Anielka nie mogła sobie wyraźnie przypomnieć, w jaki sposób dostała się tutaj. Wiózł ich Szmul, zdaje się, że dość długo. Ona przez drogę trzymała głowę na kolanach matki i czasem nie słyszała nic, a czasem narzekanie matki lub Józia:

— Ach, jak trzęsie...

Szmul wtedy odwracał się do nich i odpowiadał:

— Przepraszam jaśnie panią, ale ja nie mam innej bryczki.

Znowu nic nie słysząc, oprócz trzęsienia i turkotu, i znowu po chwili mówi mama:

— O, jakież ten Jaś niedobry! Czy on mógł nas tak porzucić?... Głowa mi chyba pęknie!...

A Szmul odpowiadał:

— Żeby był jaśnie pan wybudował młyn dla mnie, to bym ja teraz miał najtyczankę na resorach.

Anielka nie była pewna, o ile posiadanie przez Szmula najtyczanki ulżyłoby obecnemu zmartwieniu matki. Jej samej było zupełnie obojętne, czy Szmul jeździ najtyczanką czy wózkiem. Może to skutkiem osłabienia.

Kiedy ocknęła się, uczuła, że wózek stoi, a ją samą podnosi ktoś i okrywa pocałunkami mówiąc:

— Dzieci są, dzieci!... Moje wszystkie poumieraly, ale dobrze choć na jaśnie panią popatrzeć...

Potem jakaś kobieta (była to karbowa) z twarzą poźółkłą i zmarszczoną, w czerwonej chustce na głowie, wzięła ją na ręce i zaniósła do izby, w której panował wielki zaduch.

Położyła ją na szerokim tapczanie, gdzie było twardo i dużo pcheł, i much.

Anielka otworzyła oczy.

Znajdowała się w izbie obszernej, do której dwa niewielkie, czteroszybne okienka puszczały trochę światła. Z sufitu i ścian już poodpadało wapno; szczęściem, gruba warstwa kurzu robiła to mniej widocznym. Podłogi nie było, tylko klepisko z gliny, jak w stodole.

Ściany dokoła zawieszono obrazami świętych, których rysów trudno było poznać. Pod sufitem ciągnął się długi drąg, a na nim sukmany, kozuchy, buty i bielizna ze zgrzebnego płótna.

Resztę miejsca w izbie zajmował stół bardzo prostej roboty, ławy, skrzynia na kółkach, a wreszcie półka z garnkami i miskami.

Na kominie palił się ogień, drzwi do sieni były otwarte. Naprzeciw widać było inne drzwi i izbę większą i widniejszą od tej, w której leżała Anielka.

Stamtąd dolatywał ją głos matki.

— Więc nie ma u was dziewuchy?

— Nie.

— Ani parobka?...

— A za co by ich utrzymać, proszę jaśnie pani?... Zresztą, stąd każdy ucieka, bo tu śmierć. Tu noma troje dzieci umarło. Boże mój! jaki był gwar przy nich!... Mógł se być mój choćby i tydzień w domu nie siedzieć i nawet nie zmiarkowałabym tego. A dziś, jak wyjdzie w pole na pół dnia, to aż mnie cosik rozbiera...

Mówiła to kobieta, która zniosła Anielkę z bryczki. Pani tymczasem lamentowała:

— Ja tu ani tygodnia nie wytrzymam. Ani sprzętów, ani podłogi, ani nawet okien tu nie ma. Na czym my będziemy spali?... O, gdybym przewidziała nieszczęście, jakie nas spotkało, byłabym kazała ten dom wyporządkować, przysłałabym tu parę łóżek, stół, umywalnię... O! niepoczciwie Jaś postąpił z nami, że nic mi nie wspomniał o projekcie sprzedaży... Nawet nie wiem, co my tu będziemy jedli?...

— Jest trochę mąki na chleb i na kluski, kartofle też. Jest groch, kasza i czasem może być mleko — mówiła kobieta.

— Szmulu! — odezwała się pani do arendarza — dam ci dwanaście rubli, a ty za to kup, co uważasz dla nas za potrzebne. Trzeba by herbaty, choć... samowara nie ma... Ja już zupełnie straciłam głowę!

Skargi matki, jednostajnym wypowiedane głosem, odurzyły Anielkę. Gdy się znowu ocknęła, zobaczyła wielki ruch w izbie naprzeciw. Zamiatano ją, wynoszono jakieś koła, pękniętą stępe, złamany stołek od żarn. Potem znana jej kobiecina z nieznanym człowiekiem przynieśli tam dużo tataraku i siana.

— A widzisz, nie mówiłem ci?... Zawdy na moim stanie! — mruzczał chłop.

— O czym on mówi? — zapytała pani siedząca przed domem.

— I... i... i... abo on wie, proszę jaśnie pani! — odparła kobieta. — On zawdy gada, że nie ma kiej wypocząć, bo i prawda. To w polu trza robić, to bydłu dać jeść i koniowi, to znowu poić, w piątek czy świętek — jednakowo. Więc on se wyrzeka, że inny chłop to choć raz na tydzień może posiedzieć, pomyśleć...

— To wasz mąż tak lubi myśleć?

— A ino... on jak rabin: gęby nie otwiera, ino myśli. Aż mu dziś powiadam: „Nie robisz, Kuba, w polu, to już ja dziś bydło obrządę, a ty się rozwal, żebyś nie gadał, że nie masz wypoczynku”. On się też rozwalil, o tu, gdzie panicz siedzi, i mówi: „Zobaczysz, że dziś tak coś wypadnie, że ja nie wypocznę do wieczora”. A ja do niego: „At, głupiś...”.

Ale że zaraz jaśnie pani przyjechała, i musieliśwa oboje wziąć się do roboty, to on teraz wymawia mi, że: „zawdy na jego słowie stanie”...

Gdy zapadł wieczór, przeniesiono Anielkę do izby umiecionej i położono na sianie przykrytym grubą płachtą; Józio pacierz mówił. Matka pochyliła się nad nią i spytała:

— *Angelique, ma pauvre fille... as-tu faim?*...

— Nie, mam.

— Jesteś jeszcze osłabiona?... Jakaś ty szczęśliwa, że możesz tak ciągle spać i nie czujesz tego, co się z nami dzieje. Ile ja już łez wylałam!... O, ten Jaś, jakże on niegodnie z nami postąpił!... Powiadam ci, żem ci zazdrościła zemdlenia. Ja tylko siłą woli powstrzymałam się... Wiesz, że tu nie ma nic: ani mięsa, ani masła, ani mebli, ani samowaru...

Anielka nie odpowiedziała nic. Ją nurtował ból, którego ani wyrazy, ani łzy nie były w stanie określić.

W taki sposób odbyła się instalacja wyгнаńców w nowym mieszkaniu.

Anielka przeleżała jeszcze dzień, przysłuchując się narzekaniom matki i Józia.

Na śniadanie kobieta przyniosła im mleko i czarny, ościsty chleb.

Józio rozplakał się.

— Ja nie mogę tego chleba jeść, bo przecie ja jestem osłabiony... — rzekł.

— Cóż będziesz jadł, biedne dziecko, kiedy nie ma nic innego?... O, ten Jaś!... ten Jaś!... sam pewno łakotki zajada, a my umieramy z głodu!... — odpowiedziała mama.

Trzeba było jednak zjeść czarny chleb, co też Józio zrobił nie bez wstrętu.

— Mam!... — rzekł niebawem — ja nie mam na czym siedzieć...

— To pochodź sobie, moje dziecko... wyjdź przed dom...

— Ja nie mogę chodzić, bo ja przecie jestem chory...

— Józiu! — odezwała się Anielka — naprawdę, pochodź sobie, będziesz zdrowszy...

— Nie będę zdrowszy — przerwał Józio gniewnie. — Prawda, proszę mamy, że ja nie będę zdrowszy?...

Pani westchnęła.

— Moje dziecko, czy ja wiem?... A może tobie istotnie spacer posłuży?...

— A dlaczego mama mówiła w domu, żebym nigdy nie chodził?...

— Widzisz, w domu co innego, a tu co innego... Pobiegnij sobie trochę — odparła matka.

Józio nie od razu usłuchał, lecz widząc, że od stania nogi bołą, przeszedł ostrożnie próg. Wydostawszy się do sieni zobaczył tam króliki, które przed nim uciekły. Zaciekawiony go, więc poszedł za nimi aż na dziedziniec, a nawet okrążył dom.

Była to pierwsza jego samowolna wycieczka, po której, bardzo zaszępioty, położył się spać obok Anielki. Po obiedzie jednak, złożonym z zacierki i ziemniaków, wyszedł z matką już na dłuższy spacer.

Chodzili ze trzy kwadransy. Gdy wrócili, Józio był ciągle zachmurzony i nieco rzeźwiejszy, ale matka zmęczona. Jemu zmiana życia posłużyła, matce widać koniecznie były potrzebne łóżko i lekarstwa.

Na drugi dzień dopiero wstała Anielka, może trochę spokojniejsza, lecz nie zdrowsza. Nie bolało ją nic, czuła tylko znużenie i brak sił. Po gwałtownych przejściach powinna była odpocząć jakiś czas w miejscu zdrowym, wśród wesołego towarzystwa. Tu brakowało jednego i drugiego.

Cała okolica przesiąknięta była wilgocią. Noce odznaczały się surowym chłodem, dni parnością. Przy tym widok był ponury. Dokoła domu drzewa ani śladu, ani krzaków. Woda brzydka, z czarnym dnem, popstrzona kępami, zasypana tatarakiem. Czarny las o wiorstę stąd szumiał dziko i wyglądał nie weselej. Głosy ptaków były dziwne. Bąk nawet przestraszył Anielkę. Wzgórza otaczające ze wszech stron folwark zaślaniały wsie sąsiednie, w ogóle dość odległe.

Bliżej otaczało ją wielkie ubóstwo. Na domu strzecha już pozieleniała, mocniejszy wiatr przedmuchiwał ściany, stodoła obdarta chyliła się do upadku. Dwa woły, para krów i koń były chude i posępne.

Z ludźmi było jeszcze gorzej. Matka narzekała, Józio bał się swojej choroby, żona karbowego wspominała zmarłe dzieci, karbowy zwykle siedział za domem, a gdy wrócił — milczał.

Był to człowiek niski i krępy. Nosił zgrzebną koszulę wyłożoną na takie majtki, słomiany kapelus z obdartym rondem i łapcie z łyka. Twarz pomimo to miał uczciwą i spojrzenie rozumne, choć smutne. Rozgadywał się tylko wówczas, gdy mu się w nocy nad bagnem ukazywały ogniste duchy.

Nazywał się Zając.

Trzeciego dnia przyjechał Szmul i przywiózł chleba, bułek, masła, szmalcu, mąki, cukru, herbaty i parę krzesel. Witano go jak Mesjasza.

— Co tam słyhać! — zawołała pani — mówże nam...

— Aj! dużo słyhać... Niemcy już są we wsi i będą spalony dwór przerabiać na gorzelnię. Wszyscy ogromnie żałują jaśnie pani, a ksiądz dziekan ma tu przysłać kur i kaczek...

— Czy mąż nie pisał do mnie?...

— Byłem na poczcie, ale listu nie ma. Za to pani Weiss kazała się jaśnie pani kłaniać...

Anielka zbladła.

— Co to za pani Weiss?

— To jest jedna wdowa po naczelniku od liwerunku, bardzo porządna osoba. A jaka bogata!... Więc ona powiedziała do mnie, żebym się delikatnie zapytał, czy jaśnie pani nie zechce mieszkać u niej z dziećmi. Ona za to nic nie weźmie... A jak jaśnie pani zgodzi się, to ona tu przyjedzie karetą na znajomość i sama jaśnie panią zaprosi...

— Ja nie znam tej kobiety — przerwała pani.

— To nic!... Ale ona zna jaśnie pana... i bardzo go lubi...

Pani coś przypomniała sobie.

— Nie myślę robić znajomości z takimi kobietami — odparła. — Wolałabym umrzeć z głodu...

Anielkę ostry ból przeszył. Ona wciąż pamiętała rozmowę, w której Szmul zachęcał ojca do żenienia się z tą panią po śmierci matki. Nie widząc zniechęciła ją.

— Ach, ta pani Weiss!...

Dzień zeszedł im nieco weselej. Wprawdzie Szmul wkrótce wyjechał obiecując, że wróci z listem od ojca, ale za to karbową ugotowała im herbaty w garnuszku. Józio, skosztowawszy herbaty, aż w ręce klasnął i obiecywał, że pójdzie kiedy do lasu na jagody. Matka parę razy uśmiechnęła się. Anielce trochę sił przybyło, choć na krótko.

Następnego dnia Anielka czuła się jeszcze rzeświejszą, a dowiedziawszy się, że z niedalekiego wzgórką widać jakąś wioskę, poszła tam, aby choć dachy mieszkań ludzkich zobaczyć. Tu znalazła wiernego Karuska, który zdechł w jej rękach.

Z początku próbowała go cucić, podnosiła, trzęsła nim. Ale pies był ciężki, łamał się i głowa mu opadała. Był tak schudzony i pokaleczony, iż dziewczynka odgadła, że nie ma już dla niego ratunku, że go nic nie wskrzesi.

Gorzko zapłakała nad biednym psem i — co chwilę oglądając się — powoli wracała do domu. O spotkaniu z Karuskim nie wspomniała przed matką lękając się jej żalu.

Odtąd poczęła ją dręczyć tęsknota, nieznaną jej dotychczas.

Nieraz marzyła na jawie. Zdawało jej się, że jest w dawnym mieszkaniu, że wyszła z niego na spacer. Karusek biegł za nią, ale gdzieś się schował. W domu czeka na nią panna Walentyna z lekcjami, matka siedzi na fotelu, a Józio na swoim wysokim stołku.

Wszystko jest tak, jak było dawniej: dom, ogród, sadzawka. Potrzebuje się tylko odwrócić, aby zobaczyć; potrzebuje tylko zawołać, aby przybiegł Karusek.

Spoglądała i — widziała na czarnej wodzie wyblakłe zielone kępy albo tatarak smutnie szumiący.

Wówczas z nieprzepartą siłą stawał jej na oczach spalony dom bez dachu. Okna były u góry okopcone, okiennice zwieszały się, dzikie wino około ganku wyglądało jak sploty czarnych węzów. Szklana altanka była zdruzgotana, pokoje przepalone i zarzucone stosem główni osobliwych form. Drzewa przytykające do domu w połowie były okryte liśćmi, a w połowie — obnażone z nich — straszły spieczonymi gałęziami.

Oprzytomniała znowu zbudzona krzykiem ptaka nocnego. W przerwach — jaka tu cisza... Przez lekką sukienkę wpijała w nią kły wilgoć bagnisk. Czuła chłód i dreszcze. Jak tu pusto, nie ma drzew, jaka wierzba drobna... Nie jestże to ziemia umarła i już gnijąca?... Czy nie głodzi ona roślin i zwierząt, czy nie zabiła trojga dzieci karbowych, czy nie zabije ich wszystkich?... Karusek, ledwie tu stąpił, zdechł!...

Słońce, które niegdyś tak ożywiało Anielkę, rzuca światło blade; niebo też nie jest równie błękitne, jak było tam nad ogrodem, jakie przeglądało się w sadzawce. Pierwszy raz uczuła Anielka nieokreślone pragnienie oderwania się od ziemi ponad surowe mgły, do słońca jasnego i nieba tak czystego, jak nad ich domem.

Chwilami przychodziło jej na myśl, że gdyby tu drzewa posadzić, byłoby może choć trochę weselej. Ale drzewo nie wyrasta od razu wysokie. Trzeba czekać całe lata, dziesiątki lat...

Tu czekać dziesiątki lat?...

Wieczorem pomogła karbowej obierać ziemniaki. To ją rozerwało nieco, choć miała lekką gorączkę.

I matka była słabsza.

— Ja muszę napisać list do ciotki — mówiła. — Jeżeli Jaś stracił mój posag, a jego ciotka ma pieniądze, toż powinna się ulitować nad nami. My tu zginiemy.

Karbowy Zajac wrócił już od roboty i siedział na progu jak na koniu, podparłszy rękoma brodę. Patrzył on uważnie na Anielkę i rzekł:

— A jużci! dla państwa tu jest bardzo złe powietrze...

— I dla was złe, dla wszystkich złe! — odpowiedziała pani.

— My tośwa już przywykli — odparł. — Żeby tak ino miał człowiek kiedy czas odpocząć, jak się patrzy...

I westchnął.

— Ale — wtrąciła Zajacowa — jemu tylko o odpocznienie idzie. Jużci i nam tu niezdrowo... Troje dzieci noma umarło, a takie były rześkie, takie wesołe...

— Dlaczegoż nie wyprowadziliście się stąd? — zapytała pani.

Chłop posępnie rzucił głową.

— Nasze dzieci umiłowały sobie te strony i latają nad nimi, to i nam nieładnie stąd odejść...

— Co wy mówicie, człowieku? Gdzie wasze dzieci latają?... — odezwała się niespokojnie pani.

Chłop milcząc wyciągnął rękę w kierunku bagien.

Wszyscy stanęli na progu i patrzyli.

Niebo było zamglone, ledwie świeciła gdzie jaka gwiazda. Powietrze ciepłe, ale tym ciepłem zgniłym, wilgotnym. Na dziedziniec padała czerwonawa smuga ognia, palącego się na kominie. Żuraw studni czarno prostował się na niebie.

Za żerdziami okalającymi dziedziniec, może o paręset kroków od domu, tliło się kilka bladych płomyków. Niekiedy drżały, przygasały, czasem zbliżały się do siebie podnosząc się i zniżając.

Józio zaczął krzyżeć. Wylękniona matka wzięła go za rękę i pociągnęła do izby. Karbowa płakała i modliła się, a chłop siedział z głową podpartą na rękach i patrzył.

— Kiej lubią tu być, kiej im tu dobrze, to niech se skaczą! — rzekł chłop. Wprawdzie dawniej widząc błędne ogniki twierdził, że to są dusze poprzednich mieszkańców folwarku.

— Czy każda dusza chodzi po tych miejscach, które lubiła?... — spytała go cicho Anielka.

— Jużci tak! — odparł. — Ony się tu kąpały za życia, łapały se pijawki, więc i teraz zaglądną czasem...

Anielce jakoś lżej się zrobiło, gdy pomyślała, że i jej dusza będzie mogła zaglądnąć czasem do ogrodu, tam...

Od tego dnia polubiła bardzo Zajacę i z tęsknym uczuciem patrzyła na bagna, które tak pokochały jego dzieci, że aż do nich z nieba wracają.

Natomiast pani nabrała jeszcze większego wstrętu do tej okolicy, która sama straszna, była jeszcze siedliskiem jakichś widziadeł.

Wprawdzie mówiła dzieciom:

— Co wy słuchacie Zajacę?... on wam brednie plecie. Duchy nie chodzą po ziemi. To były błędne ognie albo świętojańskie robaczki.

Ale sama bała się i za żadne skarby nie wyszłaby w nocy z izby.

W taki sposób dnie im upływały. Józio coraz śmielej jadał czarny chleb, groch i ziemniaki, często bez okras, i coraz dalej wybiegał na folwark. Pewnego dnia przejechał się

nawet na zbiedzonym koniku. Ale matka była słabsza niż w domu, a Anielka miewała gorączkę, dreszcze i czuła upadek sił.

Zając pilnie przypatrywał się im obu i kiwał głową.

— Musi to dziedzic nieporządnie robi, że tak ich opuścił?... — spytała go raz karbowa.

— Aa! — odparł karbowy machając ręką. — Albo on kiedy zrobił co porządnie?

Znam go przecie dwanaście lat!...

A potem dodał:

— I ten folwark byłby inakszy, żeby tu choć ze dwa rowy wykopać. Ludzie by na nim nie chorowali.

Po upływie dwu tygodni przyjechał znowu Szmul. Przywiózł od proboszcza drób w kojcu, sery i masło, chleba i bułek z miasta, i dwa listy:

Jeden był od pana Jana. Żona otworzyła go najpierw i czytała:

„Kochana Meciui!

Ciężki krzyż zesłał na nas Pan Bóg i pozostaje tylko dźwigać go mężnie.

Szalony upór chłopów...”

— Ależ oni już chcieli się godzić! — przerwała sobie pani.

„...szalony upór chłopów zmusił mnie do sprzedania majątku, ciotki w domu nie zastałem, a na listy moje odpowiedzi nie odbieram. Ma ona wrócić wkrótce, a w takim razie ty udaj się do niej; pewno więcej zrobisz aniżeli ja.

O pogorzeli reszty mienia naszego nie wspominam nawet. Widzisz, jakie to szczęście, że klejnotów twoich w domu nie było! Pomyśleć nawet nie mogę, że już nie zobaczę mego gabinetu, a kiedy wyobrażam sobie wasze przykrości i obawy, formalnie tracę rozum.

Ja bawię u poczciwego Klemensa, ciałem tylko, bo duch mój jest z wami. Piękne salony jego zobojętniały mi, obiadów, które pamiętasz — nie jadam. Powiem ci otwarcie, że wprost lękam się o moje zdrowie.

Zającowi polecam, ażeby wszystkie zapasy, jakie są...”

— O jakich on zapasach mówi? — przerwała sobie pani powtórnie.

„...sprzedał natychmiast, a pieniądze tobie, droga Meciui, doręczył. Ja już nie chcę stamtąd ani grosza, byleście wy mieli dość. Proszę bardzo nie żałować sobie niczego i nie wdawać się w żadne oszczędności. Zdrowie przede wszystkim.

Żyjemy w czasach nadzwyczajnie krytycznych. Nie znam człowieka, który by nie miał zgryzoty. Czy uwierzysz, że pani Gabriela zerwała z poczciwym Władkiem!... Gdy pomyślisz, że ja się i tym martwię, będziesz miała słaby obraz moich cierpień. Ale trudno, mam już taką naturę.

Klemens kazał ci ucałować rączki. Szlachetny ten chłopak od dwu godzin nie ma humoru z tego powodu, że nie może posłać ci do skosztowania poziomek, które sam wyhodował...”

Pani nie kończąc listu zmieniła go i włożyła w kieszeń. Był to z jej strony pierwszy podobnie energiczny objaw.

— Ten człowiek nie ma serca! — szepnęła.

Drugi list pochodził od ciotki Anny, którą tak źle w domu przyjęli. Pani otworzyła go z niechęcią.

— Biedna kobieta — rzekła — pewnie prosi mnie o pomoc, której udzielić nie mogę...

Zaczęła jednak czytać:

„Z duszy i serca kochana siostró!

Zasłyszałam od Szmula o waszych nieszczęściach. Boże mój! co się stało?... Mówi Szmul, że wy teraz mieszkacie w jakiejś chałupie i nie macie ani co jeść, ani w co się odziać?...

Ach! Gdybym ja była otrzymała miejsce u czcigodnego ks. dziekana, pomógłbym wam więcej. Ale teraz sama jestem w kłopotach i ledwie mogę wam posłać trochę gratów do przykrycia...”

- Co ona pisze? — spytała pani głęboko wzruszona.
— Ma rację — odezwał się Szmul — ona mi dała jakieś zawiniątko. Oto tu jest...

„Bóg widzi, jak bym rada was ściągnąć do siebie, ale mam pokoik ciasny i jedno łóżko, co ledwie dla ciebie wystarczy.

Ale ty, kochana siostrze, przyjeżdż natychmiast, ty musisz przyjechać, bo tu jest interes. Ciotka twego męża, jw. prezesowa, ma być w tym tygodniu w domu i po paru dniach pobytu wyjedzie za granicę na pół roku. Trzeba więc, ażebyś się z nią zobaczyła.

Ona powinna was wesprzeć, boby ją Bóg skarał. Przecie to jej siostrzeniec strwonił swój majątek i dziś hula po świecie, jakby nigdy nic.

Przyjeżdżaj więc ze Szmulem, ani dnia nie zwłóczę, a może ciotka weźmie cię nawet do wód zagranicznych. Gdy was przyjmie do domu, ja przyjadę po twoje dzieci.

Ty staniem u mnie, zawczasu wybacząc mi biedę, jaką tu znajdziesz. Ach! gdybym ja kiedy dostała miejsce u jakiego zanego proboszcza, zaraz by ze mną było inaczej...

Dziatek twoje, a szczególnie serdeczną Anielcię, tego prawdziwego aniołka, całuję choć listownie. Niech ją Bóg błogosławi.

Panna Walentyna jest tu u nas. Spotkał ją niebogę duży zawód, bo jej konkurent (niejaki pan Saturnin) żeni się z inną”.

Resztę listu wypełniały całusy, błogosławieństwa i najusilniejsze nalegania, aby siostra przyjechała natychmiast.

Biedna pani Janowa czytając to wylewała obficie zdroje łez. Płakała i Anielka i całowała list zacierając choć tak ubogiej ciotki. Karbowa też widząc, że inni płaczą, połączyła się z nimi i zaraz wspomniała o swoich zmarłych dzieciach.

Nawet Szmul mówił:

— Bardzo dobra kobieta!... Ona warta być Żydówką... Choć u niej wielka bieda!...

Uspokoiwszy się i odczytawszy po raz drugi list ciotki Anny pani zamyśliła się. Czasami spoglądała po nędznej izbie, to patrzyła na dzieci, to znowu gdzieś daleko, jakby chcąc sięgnąć aż do mieszkania jw. prezesowej, a może i do głębi jej serca.

— Co tu robić?... co tu robić?... — szeptała.

Szmul, który obserwował ją milcząc, odezwał się:

— Jaśnie pani musi jechać do miasta, choćby na kilka dni. Ja jaśnie pani radzę!... A kiedy ja radzę, to nie na próżno. Ja znam jaśnie prezesowę. U niej listem nie zrobi się nic, a do tego ona gniewa się jeszcze na dziedzica za to, że ją parę razy zwiódł. Ale jak ona zobaczy, że jaśnie pani taka biedna, taka chora... No, ona nie będzie miała serca nie dać państwu jakiego utrzymania.

Pani złożyła ręce na kolanach i kiwała smutnie głową.

— Nie o mnie tu już chodzi, ale o dzieci, które w tej strasznej nędzy zdziczeją i zginą!... Mnie mało się należy... Zdrowie moje podkopane zupełnie...

— Niech jaśnie pani nie desperuje — mówił Szmul. — Prawda, że jaśnie pani mizerna, ale i panienka jest mizerna, choć dotąd była zdrowa. Tu takie złe powietrze. Gdyby jaśnie pani została tu rok... dwa... Bóg wie, co by z tego wypadło, ale w mieście, gdzie tylu doktorów, aptek... Aj! tam będzie pani zdrowa.

Zresztą — to są rzeczy dalekie, a teraz trzeba jechać do miasta, doczekać się jaśnie prezesowej, złapać ją i wszystko powiedzieć, jak jest. Ona jaśnie pani da choć z parę tysięcy na rok i dzieci weźmie na edukację... Ja dziś wrócę do domu, ale jutro będę tu rano i pojedziemy. Tu się nic dobrego nie wysiedzi ani dla siebie, ani dla dzieci.

Pani była przekonana o potrzebie wyjazdu, choć niezdecydowana. Była chora i lękała się całodziennego podróży. Suknie jej były tak zniszczone, że wstydziła się pokazać w nich znajomym. Nade wszystko jednak trapiła ją myśl rozłączenia się z dziećmi, jeszcze w takich warunkach!...

Lecz znowu dobro dzieci wymagało tej podróży. Gdyby je wziąć ze sobą mogła... Ale gdzież je umieścić? Tu — mają choć dach nad głową i nie pomrą z głodu.

Zresztą wróci do nich za kilka dni, a może, co będzie jeszcze lepiej, zobaczy się z nimi w mieście, już spokojna o ich byt teraźniejszy i los przyszły. Ach! byle wyjść z tej nędzy.

Trzeba jechać!...

Obie z Anielką prawie całą noc nie spały. Matka mówiła jej o bogactwie babki, o szkole dla panienek, na którą pewnie zostanie oddana, o tym, że kilka dni rozłąki upłyną jak mgnienie oka. Polecała opiece jej Józia i zobowiązywała do czuwania nad własnym zdrowiem.

— Nie wychodź wieczorami na spacer, każ palić na kominie, wodę pij ostrożnie. Tu jest dziwny kąt. Ja tu czuję aż w kościach zgnilą wilgoć. Trzeba się strzec.

Anielka ze swej strony prosiła matkę o jak najdłuższe i najczęstsze listy. Zasyłała pocałunki ciotce i pannie Walentynie (ale ciotce więcej) i prosiła, aby matka wracała, jak tylko zobaczy się z babką.

Z rana pani powierzyła swoje dzieci Zającowi i jego żonie, zaklinając ich, aby dbali o nie jak o własne.

— Tak będziemy usługiwali panience i paniczowi jak teraz — rzekł karbowy. — Złego im się przez ten czas nic nie stanie, byle tylko Pan Bóg dał, żebyście państwo wyjechali stąd prędzej, bo tu dla was złe powietrze...

Okolo siódmej przyjechał Szmul i popasał.

Matkę opanowała wielka trwoga. Sprzedaż majątku, choroba, pożar, wyjazd męża, nędza — wszystko to były nieszczęścia, ale mniejsze od tego, jakie ją dziś ma spotkać.

Opuści dzieci swoje!...

Łatwo to mówić: wyjadę na kilka dni, zostawię je... Ale ciężko wyjechać i zostawić! Pani zrosła się z dziećmi. One były niemal organami jej ciała. Zawsze je słyszała, patrzyła na nie, czuła ich obecność. Zapomniała już o tym, że świat istniał niegdyś dla niej bez dzieci. Strata dzieci choćby na kilka dni robiła na niej takie wrażenie, jak na zwykłym człowieku zrobiłoby nagle zniknięcie ziemi, po której stąpa. Dzieci były czymś tak połączonym z nią w jej myślach, jak ciężar i wymiar z przedmiotami materialnymi. Gdyby ogromny kamień stał się lekkim jak piórko i przenikliwym jak dym, zdziwiłaby się niesłychanie. Ale to, że się ma z dziećmi rozstać — dziwiło ją i bolało.

Toteż ta kobieta, zwykle wyrzekająca, płaksywa, rozdrażniona, uspokoila się przynajmniej na pozór. W duszy starała się odpychać myśl o wyjeździe. Mówiła sobie: „wróć za parę dni, jutro...”

„Nie — to za długo. Wróć za parę godzin. Tylko parę godzin nie będę wiedziała, co się z nimi dzieje. O Boże! jak jest ciężko...”

Anielce do żalu za matką przybywało poczucie odpowiedzialności za Józia. Co ona zrobi, gdyby tam w mieście matka potrzebowała jej pomocy?...

Kwestie te rozwijały się na tle przywiązania i przyzwyczajenia. I ona nigdy nie była bez matki, i jej rozstanie z matką wydawało się faktem nie tylko bolesnym, ale nadnaturalnym.

Nie myślała o tym, że ludzie wyjeżdżają i wracają, z czym mógł ją przecie oswoić ojciec. Ale dlatego właśnie, że ją tak przyzwyczał do nieobecności swojej, uważała go za istotę różną od matki. Można się ze wszystkim rozdzielić, byle nie z matką.

Zresztą w innym czasie, w pomyślności, przy zdrowiu, mniej obszedłby ją wyjazd matki. Wesoły duch wesoło patrzy w przyszłość. Ale po tylu klęskach, tylu boleściach, jakie ją dotknęły, czy mogła odegnać przecucie, że wyjazd ten jest nową klęską i boleścią? Dokoła niej wszystko padało albo uciekało bezpowrotnie. Domu już nigdy nie zobaczy, Karuska także, ojca — któż zgadnie? Może i z matką już rozdzieli się na zawsze...

Szmul nie naglił do wyjazdu, ale popasłszy zebrał resztę siana, pochował torby i zaprzął konie. Potem widząc, że i to nie skutkuje, usiadł na przedzie wozu i zajechał pode drzwi chaty.

Karbowy ofarowała pani swoją dużą, kraciastą chustkę i nowe trzewiki. Pani przyjęła chustkę z podziękowaniem, ale trzewików nie chciała.

Wreszcie Zając wyniósł stołek przed dom, aby pani łatwiej było wsiąść.

Józio zaczął płakać.

— *Joseph! ne pleure pas...* Któż znowu widział?... Mama niedługo wróci! — upominała go pani błada jak wosk gromnicy. — Moja Zającowa! — dodała — zostawiam wam trzy ruble... Czuwajcie nad dziećmi... Wynagrodzę was, bardzo wynagrodzę, gdy Bóg odmieni nasz los...

— Mamo! my mamę odprowadzimy do lasu... — szepnęła Anielka.

— *Très-bien, mes enfants!* odprowadźcie mnie. Mogę przejść się z wami... Tak długo będę siedziała... Jedź, Szmulu, naprzód...

Szul zaciął konie i ruszył z wolna. O kilkanaście kroków dalej szła matka trzymając Józia za rękę, a przy niej Anielka. Za nimi wlekli się oboje karbowi.

I matka, i Anielka odsuwały ostatnią chwilę. Ciężko im było żegnać się.

— Prezesowa pewnie już jest w domu — mówiła matka. — Jutro zobaczę się z nią, a pojutrze przyjedzie po was ciocia Andzia. Józio niech będzie grzeczny, to mu kupię kozaka, takiego, jak miał.

Zagadywała tak siebie i dzieci, nie chcąc myśleć o rozstaniu. Patrzyła na drogę. Do lasu było jeszcze daleko. Może ta droga nigdy się nie skończy?... Szli wolno, drobnymi krokami, ociągając się.

— Tu nawet jest ładnie — mówiła matka. — W lesie będziecie mogli zbierać sobie jagody, w domu bawcie się z kurkami i królikami. Poproście kiedy Zająca, ażeby was podwiózł za las, tam zobaczycie wieś, będziecie w kościele...

— Ale mama do nas zaraz napisze? — spytała Anielka.

— Naturalnie! Szmul jutro wróci, wszystko wam opowie... Kupię ci papieru, atramentu i piór i przyszlę, ażebyś i ty do mnie pisała. Szkoda, że tu tak poczta daleko... Przyszlę wam jeszcze książeczek, elementarz dla Józia... Ty, Anielciu, ażebyś miała rozrywkę, ucz go abecadła...

Była bardzo zmęczona. Karbowy więc podsadził ją na furmankę i dzieci obok niej, ażeby odprowadziły ją do lasu.

Na brzegu Szmul stanął i oglądając się rzekł:

— Ho! ho! jak stąd daleko do folwarku... Panienska i panicz muszą się już wrócić.

Anielka nie mogła leż powstrzymać. Klęka w ciasnej bryce i całowała kolana matki.

— Mama wróci do nas?... — szeptała. — Mama nie opuści nas tak, jak...

Nie mogła dokończyć.

Matka tuliła głowy obojga i nagle zawołała:

— Szmulu, nawróć... ja nie pojedę bez nich...

Szul zaczął perswadować.

— Aj! jakie jaśnie państwo grymaśne!... Czy to ja nie odjeżdżam od moich dzieci?... Mnie interesa całym tygodniem trzymają za domem... Nikt takich zbytków nie wyrabia jak jaśnie państwo. To nawet grzech!... Przecie tu chodzi o jaśnie panią i o dzieci, o ich los. Ja dziś odwiozę jaśnie panią, a za tydzień, może pojutrze, odwiozę panienską i panicza. Teraz niech państwo nie myślą o tym, że źle jest żegnać się, ale o tym, że dobrze witać się. Ja wiem, że od tej pory Pan Bóg wszystko odmieni na dobre, bo na świecie nigdy tak nie jest, ażeby jednemu było wcięż źle.

— Nie płacz, Józiu! — rzekła Anielka. — Przecie Szmul często z domu wyjeżdża i zawsze wraca wesoły.

Karbowy zszedł Józia i Anielkę z wozu.

— Za kilka dni będziemy znowu z mamą — mówiła Anielka. — My tu zostajemy z karbowymi, ze swoimi... Mama także nie jest przecie sama, tylko Szmul z nią. Nikomu nie stanie się nic złego. Szmul nam wszystko opowie o mamie, a mamie o nas...

Pani przeżegnała dzieci i karbowych. Szmul zaciął konie. Chwilę jeszcze biegła za wozem Anielka, później stanęli oboje z Józiem, wyciągając ręce do matki.

Droga przez las z początku szła prosto.

Patrzyli oboje na wóz, a matka na nich. Potem Szmul skręcił.

Karbowy już poszła ku domowi, karbowy został.

— Chodźta, panicze! — rzekł. — Pobiegajcie se po lesie i nazbierajcie jagód. Będzie wam weselej...

Dzieci usłuchały go. Karbowy porobił im pudełka z kory i oprowadzał po miejscach, gdzie rosły jagody czarne i poziomki w wielkiej obfitości. Pokazał im też dużego dzięcioła,

który kuł w spróchniałą gałąź, aby wystraszyć robaka, a później wiewiórkę, która siedząc na szczycie sosny obierała młode szyszki.

Oglądali także wielkie mrowiska, paproć, której kwiat daje ludziom wiedzę o ukrytych skarbach, i leżeli na mchu. Anielka mniej tęskniła, a Józio był zupełnie wesoły na tym spacerze. Umówili się z karbowym, że gdy mama będzie wracać, wyjdą naprzeciw niej z jagodami.

O, jakaż to uciecha będzie!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. SMUTNE DNIE

Nazajutrz przed wieczorem wrócił Szmul. Przywiózł papier, atrament i pióro do pisania listów, elementarz dla Józia i jakąś starą książkę z powiastkami i poezjami dla Anielki. Oprócz tego — chleba, ciasteczek i innych drobiazgów.

Mama nie pisała. Kazała tylko zawiadomić dzieci, że jest trochę zmęczona, i upomnieć je, aby cierpliwie oczekiwały na jej powrót.

Szmul od siebie powiedział Anielce na pociechę, że będzie wszystko dobrze. Wyjeżdżając jednak skręcił na pole do karbowego.

— Jakże tam, szczęśliwieście dojechali? — spytał chłop.

— Niech Bóg broni, co ja miałem za hecę! — odparł Szmul. — Pani przez całą drogę śmiała się, płakała i mdlała, a w mieście to ledwieśmy ją z bryki zdjęli. Ja w chałupie nic nie mówiłem, bo pani zaklęła mnie, ażeby się o tym dzieci nie dowiedziały.

Chłop pokiwał głową i obiecał, że milczeć będzie nawet przed żoną.

I znowu płynęły dnie, podobne jedne do drugich. Karbowy kosił trawę, karbową kręciła się około bydła i nosiła mężowi jeść w pole. Dzieci z tego powodu siedziały same prawie po całych dniach.

Anielka chciała z początku uczyć braciszka abecadła. Ale Józio, który coraz bardziej zapominał o swoim osłabieniu, wolał biegać i bawić się niż ślęczyć nad książką.

Dziwna rzecz, dziecku temu lepiej służyło zabójcze powietrze bagnisk przy ruchu i prostych potrawach aniżeli ciągłe siedzenie i lekarstwa w domu. Zaczął nawet nabierać cery zdrowszej.

Anielka jednak była chora. Już same wyziewy tutejsze mogły podkopać jej zdrowie, a cóż dopiero, gdy z wpływem ich połączyła się tęsknota, na którą nie było lekarstwa. Delikatny kwiat w atmosferze nędzy, smutku i ciągłych wstrząśnień poczynił się warzyć.

Choroba jej nie miała żadnych gwałtownych symptomów. Była to bardzo lekka, ale nieustająca gorączka. Czasami miewała Anielka przechodnie dreszcze i ból głowy, czuła upadek sił, ale to jej nie przstraszało, ponieważ niekiedy znowu czuła się silną jak nigdy.

Karbowy i jego żona patrząc na Anielkę widzieli, że prawie co kilka dni staje się mizerniejszą. Była blada jak kreda, niekiedy z odcieniem żółtawym; usta jej robiły się bladoróżowe, a czasem zupełnie traciły barwę. Palce rąk miała półprzeźroczyste, oczy — niebieskie. Chwilami znowu twarz jej oblewał silny rumieniec, oczy stawały się ciemnoszafirowe, usta karminowe. Lubiła wtedy biegać, chciała koniecznie coś robić, była weselsza i mówiła dużo.

W takich chwilach karbową myślała, że to są objawy mocnego zdrowia, które zataiło się w Anielce przed smutkiem. Ale mąż jej więcej obawiał się tych rumieńców niż bledości.

Józio często mówił o matce, niecierpliwił się, że nie wraca, i płakał. Anielka wówczas starała się zwrócić jego uwagę na inny przedmiot, sama zaś nie wspominała przy nim o matce nigdy. Tylko raz, późnym wieczorem, gdy już karbowy ukończywszy roboty siedła na progu mówiąc pacierze, Anielka zajmąwszy miejsce obok niej położyła głowę na jej kolanach i płakała po cichu.

Tymczasem, choć już tydzień upłynął, ani matki, ani wiadomości od niej nie było. Nawet Szmul nie pokazywał się.

Częścią z potrzeby, częścią dla zapelnienia czasu Anielka, o ile sił jej starczyło, wykonywała rozmaite prace. Zapalała ogień w piecu i gotowała w dwu garnkach obiad dla wszystkich, najczęściej kartofle i kaszę. Nosiła wodę ze studni. Karmiła krowy, woły i drób. Usiłowała prać bieliznę Józiovi i sobie, co jej szło najciężej i udawało się najgorzej. Na próżno karbową widząc, że prace podobne męczą Anielkę, nie pozwalała jej na

to. Rzuciwszy jedno zajęcie, brała się do drugiego z jakąś niepokonaną zaciętością, której nic osłabić nie mogło.

Trafiły się jednak dni, w których nie była w stanie nie tylko robić, ale nawet chodzić. Wtedy kładła się na tapczan i czytała przyslaną jej książeczkę albo zamknawszy oczy — marzyła.

Trudno było poznać w niej ową niegdyś wesołą i szczęśliwą Anielkę. Pożółkła i schudła. Włosy, drapane połamanym grzebieniem i źle splatane, jeżyły się i motały. Jedyna, niegdyś różowa sukienka straciła barwę. Pończoszki, które jej ciotka przysłała, były za duże. Buciki darły się. Było to dziecko zawsze piękne, ale bardzo wynędzniałe i obdarte.

Nawet ojciec, gdyby zobaczył ją w tym stanie, zapłakałby nad nią.

Współcześnie z upadkiem sił fizycznych duch jej potężnie się rozwijał. Przybywało jej myśli i uczuć. Widziała jakieś zdarzenia, o których nikt jej nie opowiadał, słyszała muzykę, jakieś głosy. Słowem — ukazywał się jej inny świat, zapewne niebo, o którym myślała najczęściej.

Nieraz pragnęła opowiedzieć komu swoje widzenia, ale wstyd jej było. Z drugiej znowu strony zdawało się, że nadmiar niewypowiedzianych uczuć rozerwie jej serce. Stan taki stał się szczególnie dokuczliwy od czasu, gdy zaczęła czytać poezyjki zawarte w książce, którą jej Szmul przywiózł.

Jednego dnia opanowała ją tęsknota cięższa niż zwykle. Robić nic nie mogła ani w domu usiedzieć. Czuliła potrzebę powietrza i wybiegła na jeden ze wzgórków otaczających w pewnej odległości folwark. Przebyła tam jakiś czas, patrzyła, słuchała, a potem usiadłszy w kąciku zaczęła pisać.

Była to pierwsza poezja dziecka. Oto, co zawierało się w niej:

Żal mi domku mojego,
Co stał nad sadzawką...
Żal ogrodu, altanki
I kasztana z ławką;
Kwiatów, które mnie co dzień
Zapachem witały,
Ptaszków, co się na obiad
Do mnie zlatywały.
Żal mi ich i dlatego
Smutna.
Czasem płacę.
Wysłałam dzisiaj na wzgórek,
Może dom zobaczę?...
Może się choć odległym
Nacieszę widokiem...
Nie ma nic...

Pan Bóg dom nasz

Zaslonił obłokiem.

Innego dnia znowu Józio przypomniał sobie matkę, zaczął płakać i prosił karbowych, ażeby go odwieźli do niej. Na próżno Anielka pocieszała go, pokazywała mu młode króliki. Nic nie pomogło. Dopiero gdy zaczęła czytać głośno wiersze z książki, uspokoił się i usnął.

Wtedy, rozżalona, pisała:

Józio siostry już nie kocha,
Zamiast cieszyć — to ją smuci,
Zamiast bawić się — to płacze...
Nie płacz, Józiu! mama wróci.

Przywiezie ci pudełeczek,
Ażebyś je znowu gubił;
Kupi lalkę z porcelany,
Któraś tak bawić się lubił.

Będziem znowu wszyscy razem,
Tatko już nas nie porzuci.
Będziem mieli dom z ogródkiem...
Nie płacz, Józiu! mama wróci.

Cicho. Posłuchajmy lepiej,
Czy gdzieś Karuś nie zawyje...
Ach! mój Józiu, ty nic nie wiesz,
Że on, biedak, już nie żyje...

Siądź. Będziem pisać wierszyki,
Prędeż nam złe dni przeminą.
Czekaj, niech wprzód lzy obetrę,
Które mi wciąż z oczu płyną.

Gdy mocno osłabiona nie mogła już wychodzić na dalsze spacerzy, siadała przed wrotami i całe godziny patrzyła na drogę biegnącą od lasu. Widziała wówczas żółte bocianki wychylające głowy z gniazd, jakby dla zwabienia rodziców, którzy polowali na bagnach. Słyszała narzekania karbowej za dziećmi, a niekiedy, siedząc tak w milczeniu, bez ruchu, owiewana surowym chłodem, doczekała nocy i wraz z nią błędnych ogni, które płąsały nad bagnem.

Te wrażenia i osobiste uczucia jej odbiły się w następnych strofach:

Wieje wiatr, że aż wzdychają ściany
I tulą się drżące gwiazdy przy gwiazdach,
Szumi las, płaczą młode bociany,
Że im chłodno jest bez matek — choć w gniazdach.

Lzy ich wiatr zaniósł prędko nad wodę,
Między kępy, tam gdzie trzcina zaschnięta,
Szepnął matkom, że już tęsknią ich młode...
Wnet wróciły... O szczęśliwe pisklęta!...

Stojąc sobie koło chaty, u proga,
Płacze matka, wzdycha ojciec stroskany:
«Oj! nie wrócą nasze dzieci od Boga,
Jak wróciły do swych piskląt bociany».

Lecz nim matka bolejąca zadrzemie,
Zlecą duchy, by odwiedzić swą stronę,
Bóg je puści z mocnej ręki na ziemię,
Jak człek dobry puszcza ptaki złęknione.

Tęskni do nas smutna mama tam, w mieście,
I nie słyszy, jak my za nią wzdychamy.
Dobre duchy! zabierzcież nas, zabierzcie,
I do mamy zanieście — do mamy!...

Od wyjazdu matki upłynęło prawie trzy tygodnie. Znikąd żadnej wiadomości. Karbowi nawet byli strwożeni nie tylko nieznanym losem pani, ale nade wszystko dołą powierzonych im dzieci. Fundusze wyczerpały się, zapasy spiżarniane dobiegały kresu, i biedakom na folwarku uwięzionym groził jeżeli nie głód, to przynajmniej wielki niedostatek.

Anielka tak już osłabła, że nie podnosiła się z pościeli. Mało jadła, nie mówiła prawie nic, nie czytała książki, a nawet nie śmiała się z figłów Józia. Chłopiec obdarty biegł w dziurawych butach po całej okolicy i tak go pochłaniały nieznanne mu dotychczas

wrażenia swobody, że zapomniał o chłodzie, spiekocie, wypoczynku, a nawet o siostrze i matce.

Wpadał do izby tylko wówczas, gdy mu się bardzo jeść zachciało. Resztę czasu przepędzał w lesie albo nad wodą.

Wśród takich okoliczności ukazał się pewnego dnia na dworze chłopski jednokonny wózek, a na nim furman i kobieta ciemno ubrana. Karbowy, który zwoził siano w tym czasie, rzucił robotę i wybiegł naprzeciw sądząc, że pani jedzie. Zbliżywszy się jednak, zobaczył osobę nieznaną mu, która go zapytała:

— A cóż dzieci?...

Karbowy popatrzył na nią i odparł:

— Panicz harcuje, ale panienka bardzo chora...

— Chora?... O, nieszczęście!... Cóż jej jest?...

— Albo my wiemy, proszę łaski pani?... Chora tak, że z pościeli nie wstaje, i tyło.

Potem dodał:

— Czy może pani przybywa od naszej dziedziczki?... Jak tam z nią jest, bo panienka okrutnie tęskni i widzi mi się, że z tego nawet chora.

— Biedne dziecko! — szepnęła przyjezdna ocierając oczy. Ale na pytanie karbowego żadnej nie dała odpowiedzi.

Wózek ruszył z miejsca, a karbowy siedł obok. Przyjezdna parę razy zwróciła się do niego, jakby chcąc mu coś zakomunikować czy też o coś spytać. Ale zawsze w porę umilkła.

Usłyszawszy turkot i krzyk karbowej, która myślała, że pani wraca, Anielka zwlekła się z tapczana i wyszła do sieni.

— Ciocia Andzia!... — zawołała dziewczynka spojrzawszy na przybyłą.

Długo całowały się w milczeniu.

— Ciocia po nas od mamy?...

Ciocia zawahała się.

— Nie, moje dziecko, jeszcze nie po was. Dostałam w tej okolicy miejsce gospodyni u jednego zacnego kanonika i jadę je objąć. Ale jak tylko rozmówię się z nim, za parę dni wrócę do was i zabiorę. Ale co tobie?...

— Nic, ciociu... Muszę położyć się... — odparła Anielka. — Co się dzieje z mamą?... Myśmy żadnego listu nie mieli...

Ciotka odprowadzając ją na tapczan drżała. Ułożyła Anielkę i rozejrzała się po izbie.

— Boże! jaka tu nędza... — szepnęła. A potem mówiła głośno, prędko i wesoło, jak to było w jej zwyczaju:

— A cóż mama?... Bo widzisz, babcia nie przyjechała do nas, więc mama napisała do niej list...

Ciotka obtarła nos.

— Otóż widzisz, moje dziecko, co chciałam powiedzieć... babcia wasza, a ciotka twego ojca, kazała mamie natychmiast przyjechać do siebie do Warszawy...

— I mama pojechała?...

— A naturalnie, tego samego dnia. Z waszą babką nie ma żartów. Przy tym widzisz, moje dziecko...

— W Warszawie mieszka Chałubiński — wtrąciła Anielka.

— Tak, właśnie... To samo chciałam ci powiedzieć... W Warszawie mieszka Chałubiński... O! to sławny doktor... Do niego jeżdżą wszyscy, jak do Częstochowy; mówił mi to jeden ksiądz, który chorował na wątrobę...

— Ale mama zdrowa? — spytała Anielka patrząc jej w oczy.

— To jest... powiem nawet, że zdrowsza, aniżeli była wtedy, kiedym to tak do was wpadła...

Anielka objęła ją za szyję i znowu poczęły całować się.

— Moja złota, kochana ciocia! — szepnęła dziewczynka. — Dawno mama wyjechała?

Ciotka lekko drgnęła.

— Będzie... z tydzień. Tak — dziś tydzień.

— Ale dlaczego mama do nas nie pisała?...

— Bo widzisz, nie miała czasu. A zresztą wiedziała, że ja u was będę....

— Ale z Warszawy mama napisze?...

— O, niezawodnie, ale nie zaraz, moje dziecko. Bo widzisz, przy waszej babce to trzeba zawsze... trzeba ciągle kręcić się koło niej. Przy tym — kuracja... Rozumiesz, moje dziecko?...

Przybiegł Józio, obejrzał ciotkę ostrożnie, jakby trzymając się zasad ojca, że z ubogimi krewnymi trzeba być z daleka. Dopiero gdy dostał rogal i usłyszał, że niedługo opuści folwark, ożywił się nieco i pocałował ciotkę w rękę, ale bez nadmiaru czułości.

Anielka także zdawała się być zdrowsza i weselsza. Ubrała się nawet i przeszła parę razy po izbie wypyując o szczegóły dotyczące matki. Ciotka na wszystko odpowiadała w sposób zadawalniający.

Tak upłynęło im kilka godzin. Wreszcie i furka zatoczyła się przed dom.

— Ciotka odjeżdża?... — krzyknęła Anielka.

— Dziecino moja, muszę. Dziś chcę koniecznie stanąć u kanonika i prosić go, aby mi pozwolił wziąć was do siebie. Nie wiem, czy mi się to od razu uda, ale najwyżej za parę dni przyjadę was zabrać.

Anielka położyła się na tapczanie i cicho odparła z płaczem:

— Mama także miała wrócić za parę dni... Tatko też...

Ciotka aż skoczyła.

— Dziecko moje! — zawołała. — Przysięgam ci na zbawienie duszy, że was nie opuszczę! A gdyby ksiądz kanonik nie chciał was przyjąć do domu, co nie podobna, to rzucę u niego miejsce i wrócę tu, choćbym miała razem z wami z głodu umrzeć. Dwa... trzy dni najdłużej nie będziesz mnie widziała. Potem już się nie rozłączymy, przysięgam ci!

— Trzy dni!... — powtórzyła Anielka.

Była już spokojniejsza, a raczej wpadła w poprzednią apatię. Nawet pożegnała się z ciotką obojętniej, choć dobra ta kobieta rzewnie płakała.

Wychodząc z izby zamknęła ciotka za sobą drzwi i zbliżywszy się do karbowej chciała jej coś powiedzieć. Ale powściągnęła się. Gdy wózek ruszył i już był we wrotach, ciotka zatrzymała furmana i skinęła na karbowę. Ta przybiegła pędem.

— Pani chce czego? — spytała.

Ciotka popatrzyła, jej w oczy. Chwilę wahała się, ale wnet usiadła mocniej na siedzeniu i wyprostowała się, jakby robiąc w duszy postanowienie. Potem odparła:

— Nic... uważajcie tylko na dzieci.

— A jakże będzie z panienką?... My na doktora nie mamy, a jej by trzeba...

— Wrócę tu za parę dni, to i doktor znajdzie się — przerwała ciotka. — Dziś nic nie poradzę, bo sama grosza nie mam.

Nagła wizyta ciotki i całe postępowanie jej wydało się obojemu karbowym dosyć dziwne. Ani domyślali się jednak, że oczekują ich jeszcze większe niespodzianki.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. POCZĄTKI CHOROBY

Anielka ocknąwszy się poczęła myśleć.

Więc to już zima?!

Chłodne powietrze mrozi płuca. Dokoła leży gruba warstwa śniegu. Tonie się w nim jak w puchu, do kostek, do kolan, do pasa, do ramion... Już nie widać nic, tylko do nóg, do piersi sunie się przejmujące zimno, powoli, szeroko...

Jakim sposobem wpadła w śnieg?

Nie, ona przecie nie leży w śniegu, tylko w swoim pokoju na łóżku. Jak tu dobrze! Jest wprawdzie zimno, ale — to na dworze zimno. Jej przecie gorąco. Dotyka ręką czoła... Jak pali... Ale co?... czoło czy ręka?

Podczas zimowego poranka doskonale jest leżeć w ciepłej pościeli i przysłuchiwać się skrzypiącemu na dworze śniegowi. Która też godzina?... Anielce nie chce się wstać. Na wspomnienie chłodnej jak lód podłogi przebiega ją dreszcz od stóp do głów, a potem wdziera się do głębi i przeszywa na wskróś. Nie ma w niej ani jednej fibry, która by nie drżała.

Może ją zaraz zbudzą? Która to może być godzina?... Czy ma wysunąć głowę spod koldry i spojrzeć, czy też czekać, aż zegar sam wybije?... Musi być jeszcze rano...

Poczęła myśleć o lekcjach. Co to dziś mamy?... Dziś mamy... dziś mamy...

Dziś mamy...

Świadomość jej nie mogła wyjść poza obręb dwu wyrazów. Jakie to dziwne, ażeby człowiek powtarzał w kółko dwa wyrazy i nie wiedział nic już ani przed, ani za nimi...

Trzeba sobie przepowiedzieć historię. Co to było?... Zaraz.... A!...

„Dzieło zaledwie rozpoczęte przez Karola Martela Pepina rozszerzył i dokończył Karol Wielki. Nie tylko posiadał on więcej geniuszu niżli ojciec i dziad, ale okoliczności...”

Okoliczności... co to dziś mamy?... Mamy zimę. Skądże znowu? W zimie jest mróz, a mnie tak gorąco. Dzień strasznie gorący. Kiedy przyłożę rękę do czoła, to mnie pali... Jaki pot...

„Dzieło zaledwie rozpoczęte przez Karola Martela Pepina...”

— Panno Walentyno!...

Anielka usiadła, odrzuciła koldrę i poczęła na cały głos wołać:

— Panno Walentyno!

Na chwilę otworzyła oczy, ale wnet przymknęła, bo ją raził blask tak silny, że powieki nie stanowiły dostatecznej ochrony od niego. Oparła twarz na rękach i zacisnęła oczy końcami bladych palców.

— Czego ty chcesz, Anielciu? — odezwał się Józio.

Czy nie mogła poznać głosu brata, czy nie obchodziło ją pytanie, dość — że milczała.

Józio targnął ją za rękę.

— Co tobie jest? — pytał. — Co ty mówisz?

— Która godzina? — odparła Anielka nie odsłaniając twarzy.

A potem mówiła jakby do siebie:

— Czy panna Walentyna... Czy panna...

— No, Anielciu — wołał Józio. — Co ty robisz?... Nie figluj tak... Ty przecie wiesz, że ja się boję...

Anielka upadła na poduszkę odwracając się od niego.

— Karbowa! chodźcie no tu — wołał Józio. — Zobaczcie, co Anielci jest...

Anielcia uczuła, że ją ktoś łagodnie unosi na rękach szepcząc:

— Panienko!... paniuńciu!...

Otworzyła oczy.

Izba odrapana. Przez otwarte drzwi widać się i kawałek podwórka. Przez małe okienko zagląda wesoło słońce i rzuca złoty blask na czarne klepisko.

Teraz Anielcia poznała karbową, a za nią — przestraszonego Józia. Przypomniała sobie, że jest na folwarku i że niedawno widziała się z ciotką.

— Czy tu była ciocia?

— Była wczoraj — odpowiedziała karbowa.

— A która godzina?

— Rano jeszcze, niech panienka śpi...

— Co tobie, Anielciu? — pytał Józio.

— Mnie?... Nic... Albo ja wiem!... — odparła z uśmiechem.

Potem dodała:

— Przecież śniegu nie ma na dworze?...

— Dlaczego ty tak mówisz?... Co ty mówisz, Anielciu?... — wołał zatrwożony Józio.

— Gorączkę ma panienka — rzekła karbowa. — Pali paniuńcię we środku?...

— Pali.

— I trzęsie?

— Trzęsie.

— Pić się paniuńci chce?...

— O pić!... pić!... dajcie pić!... Prawda, zapomniałam, że mi się pić chce... — odparła Anielka.

Józio wybiegł do sieni i przyniósł garnuszek wody. Anielka zaczęła ją pić chciwie, lecz wnet odrzącała z obrzydzeniem.

— Gorzka woda! — szepnęła.

— Nie, Anielciu, to dobra woda!... — upewnił Józio.

— Dobra woda?... Tak... Ale ja nie chcę pić, tylko jeść... Zresztą nic nie chcę... Spać pójdę...

Karbowa ułożyła ją ostrożnie, otuliła, a potem wyprowadziła Józia na podwórko.

Chłopcu zbierało się na płacz.

— Anielcia jest chora — mówił. — Trzeba mamie dać znać. Dlaczego mama nie przyjeżdża?...

— Cicho, paniczu!... Anielcia ma gorączkę i wydają się jej różne rzeczy. Ale to minie, żeby tylko pani ciotka szczęśliwie wróciła i zabrała was stąd. Ty, paniczu, biegaj se po dworze i nie wchodź do izby; ja sama Anielci dojrę...

Zostawszy na dziedzińcu, Józio wciąż myślał: co może być Anielce? i machinalnie zbliżył się do studni. Zbutwiała, zieloną pleśnią okryta cembrowina tak niewysoko wznosiła się nad ziemię, że chłopczyk mógł zajrzeć do wnętrza.

Zobaczył tafłę wody podobną do czarnego lustra, a w nim swój wizerunek jakby w ramy ujęty, na tle dogodnego nieba, które w głębi zdawało się być ciemniejsze niż na dworze. Ze starych desek cembrowiny krople niekiedy padały na wodę wydając różnej wysokości tony ciche. Były one podobne do brzęku odległych dzwonek. Niekiedy ptak przelatował nad studnią, a wówczas zdawało się Józiovi, że to tak głęboko coś lata.

„Czy to jest *tamten świat?*” — myślał Józio i w dalszym ciągu wyobrażał sobie srebrne pałace ze złotymi dachami, drzewa rodzące drogie kamienie, i ptaki, które przemawiały ludzkim językiem. Słyszał on niegdyś o tych rzeczach od piastunki, a może i od matki. Pamiętał nawet, że kraje te zwiedził pewnego razu chłopczyk w jego wieku i przyniósł z nich lampę czarodziejską.

Ułożył sobie projekt, że gdy urośnie, to puści się do podziemnej krainy. Dopieroż będzie miał o czym opowiadać!... Tymczasem spojrzął jeszcze raz na chatę, w której leżała chora siostra, a potem — wzięwszy stare sito, poszedł między kępy ryby łapać. Wkrótce zapomniał o chacie, siostrze i *tamtym świecie*, pogrążony w zabawie.

Anielka wciąż bredziła.

Chwilami wiedziała, gdzie jest, patrzyła na karbowę krzątającą się około komina i słyszała żwawe gulgocie gotującego się krupniku.

Potem zdawało się jej, że chodzi po cienistym lesie, po mchu ciemnozielonym i miękkim i że nie wiadomo, skąd dolatuje ją zapach malin. To znowu nie widziała, nie słyszała i nie czuła nic.

Znęcone ciszą, wysunęły się na środek izby dwa białe króliki. Większy znalazł kilka listków zieleniny i jadł ją zwróciwszy na Anielkę czerwone oko. Mniejszy chciał także skosztować, ale ponieważ był nieśmiały, więc ruszał tylko długimi wąsami i co chwilę służył jak piesek.

— Karuś! — zawołała Anielka patrząc na nich.

Króliki nadstawiły długich uszu i zobaczywszy wyciągniętą rękę dziewczynki uciekły do swej nory, mocno rzucając tylnymi nogami.

— Karusek! — powtórzyła Anielka.

Przybiegła karbowa.

— To króliki, panienko!... cicho!... cicho!... Nie boli paniuńcię główienka?...

Anielka patrząc błyszczącymi oczyma w twarz karbowej rzekła z uśmiechem:

— Nie żartujcie!... Przecież tu był Karusek w tej chwili... lizał mnie nawet po rękę...

O! patrzcie jeszcze wilgotna...

I zbliżyła do oczu swoją szczupłą, rozpaloną rączynę.

Kobieta pokiwała głową.

— Czeka, paniuńciu, przyrządę ci lekarstwa. Zaraz złe odejdzie.

Ledwie znikła w sieni, Anielka zapomniała o niej i znowu wpadła w gorączkowe marzenie. Teraz już nie przedstawiał się jej żaden przedmiot wyraźny, tylko jakieś pole równe, gładkie i nieskończenie długie. Ciągnęło się ono za podwórze, za błota, za lasy na widnokręgu i sięgało gdzieś aż za krawędź nieba. Gdy Anielka na równinie tej położyła rękę, ręka sunęła się tak lekko, że pobiegła za podwórze, za błota, za lasy i gdzieś między gwiazdami utonęła.

Potem znowu widziała jakieś ściany gładkie i nieskończenie wysokie, ale wówczas zrobiło się jej tak ciężko, jakby na nią zwałił Bóg ziemię, słońce i wszystkie gwiazdy firmamentu. Pod tym niezmiernym uciskiem dusza dziewczynki kurczyła się, malała, zanurzała się w jakichś gęstych i zbitych przestrzeniach i nikła, nikła, nie mogąc nawet przypomnieć sobie, gdzie zaczął się początek jej istnienia.

Nagle w przestworzach tych uczuła jakiś ruch. Zdawało się, że tuż obok niej drgnął niezmierniej wielkości przedmiot i sunie się od wschodu ku zachodowi słońca ogarniając cały widnokrąg. Otworzyła oczy i zobaczyła, że karbowa odsuwa jej własną rękę i kładzie jej kawałek chleba pod pachę.

Włożywszy chleb i nakrywszy dziewczynkę zniszczoną kołdrą karbowa zapytała:

— Cóż, nie lepiej ci, paniuńciu?

Anielka chciała odpowiedzieć, że jest jej zupełnie dobrze, lecz zamiast tego wyszeptala kilka niewyraźnych dźwięków.

Wówczas karbowa zapaliła gromnicę, nakapała wosku w garnuszek z wodą, a później kazała to wypić Anielce. Chora machinalnie połknęła wodę dziwiąc się jej metalicznemu smakowi.

— Nie lepiej ci, paniuńciu?...

— Och!...

Karbowa postanowiła uciec się do najsilniejszego środka. Ująwszy w obie ręce swój fartuch, zwinęła na nim trzy fałdy, mówiąc powoli i z przerwami:

Miała święta Otałia trzy córki:

Jedna przędła...

Druga motała...

A trzecia urok...

Świętym pańskim odczyniała.

Przy ostatnich słowach rozwinęła z szelestem fartuch przed oczyma Anielki.

— Nie lepiej ci, paniuńciu?...

— Czy ciocia jest jeszcze?... — spytała chora.

Karbowa po raz drugi poczęła zwinąć fałdy na fartuchu:

Miała święta Otałia trzy córki:

Jedna przędła...

Druga motała...

ROZDZIAŁ SZESNASTY. POMOC NADCHODZI

Karbowy szedł na południe od chaty myśląc, że zboże w tym roku obrodzi w słomę, ale nie wyda ziarna, gdy wtem doleciał go z lasu szczególny łoskot. Coś tętniło, toczyło się i kołysało, to znowu milkło, a czasami parskało.

Chłop stanął, obrócił się w stronę lasu i przysłonił oczy ręką. W dali zobaczył dwie pary łbów końskich i świecący kapelusz umieszczony gdzieś bardzo wysoko, a nad nim jeszcze wyżej biały bat.

Poszperawszy we wspomnieniach poczęł domyślać się, że musi to być *karyta*. Właściwie był to odkryty powóz szeroki, głęboki i bardzo wykwinny.

Na szczupłej i nierównej grobelce ekwipaż zwolnił biegu i poczęł się mocno chwiać. Karbowy przypatrzył mu się lepiej i otworzył usta. Na kozle siedział lokaj i furman, ubrani z pańska, w tabaczkowej liberii ze złocistymi guzami. Przed nimi biegło cztery piękne konie w lśniącej uprząży, a na końcu, za końmi, i służbą, widać było pod parasolką damę średnich lat, głęboko osadzoną w powozie.

W pewnej odległości za ekwipażem toczyła się wygodna bryczka, w której siedział tylko furman.

Karbowy przetarł oczy, sądząc, że zaczyna mu się mieszać w głowie. Jak świat światem, nic podobnego nie widziano na tej grobelce.

„Czyżby jaśnie pan z jaśnie panią przyjeżdżali po dzieci? — myślał. — Co prawda, pana nie widać, ale skądby znowu pani miała dziś karete, kiedy niedawno wyjechała stąd z Żydem?

A może jaśnie pan został w lesie, aby porachować, ile mu Zajac sosen wyciął?...”

Tymczasem powóz stanął.

— Tee! Gapiu!... — zawołano z kozła

— Niby ja?... — spytał karbowy zdejmując kapelusz.

- Jużci, że ty, kiedy mówię do ciebie. A nie ma do was lepszej drogi?...
- Skądby zaś!...
- Ale tu powóz może się wywrócić...
- Może i może... — odparł chłop nie wiedząc, co gada.
- To bydlę! — mruknął ubrany z pańska, a potem znowu wrzeszczał:
- Jakże, więc jaśnie pani musi iść do folwarku piechotą?
- Musi chyba, że tak...
- Krzysztofie! ja wysiądę... — odezwała się dama.

Pan zeskoczył z kozła i otworzywszy drzwiczki pomógł pani wysiąść z powozu. Potem cofnął się na bok, a ponieważ droga była pełna wybojów i kijów, idąc za panią podpierał jej łokieć trzema palcami i mówił:

— Jaśnie pani pozwoli na prawo... Jaśnie pani raczy stąpić na tę kępę... Panie Piotrze, zaczekasz, dopóki jaśnie pani nie przejdzie. Potem z wolna zajedziesz na podwórze... Jaśnie pani pozwoli teraz na tę stronę, tu już jest ścieżka...

Karbowy słysząc gadaninę tego pana przypuszczał, że wielka dama musi być ślepa i drogi nie widzi. Potem zastanawiał się, czy wobec tej procesji nie wypada mu uklęknąć na grobli...

Pani tymczasem zbliżyła się do niego i spytała:

— Dzieci są?

— Ha?

— Jaśnie pani pyta się: czy dzieci są? — powtórzył pan ukazując mu nieznacznie tęgą pięść w popielatej rękawicze.

— Niby naszych dziedziców dzieci? — rzekł chłop. — Jużci są.

— Zdrowe? — spytała pani.

— Panienska to musi wcale niezdrowa. Wciąż leży...

— Czy był tu kto?

— Była jakasić ciotka...

— Nie wiesz, czy mówiła co dzieciom o matce?...

— Mówiła, że matka, niby nasza dziedziczka, pojechała do Warszawy.

— A!... I nic więcej?...

— Jeszcze, że się kazała kłaniać i że niedługo zabierze ich od tela...

— A!...

Pani poszła dalej ku folwarkowi, a pan za nią — wciąż mamrocząc. Dama była w czarnej, powłóczystej sukni i aksamitnej narzutce. Gdy suknię uniosła, karbowy zobaczył rurkowaną spódnicę, białą jak śnieg.

„Może to taka koszula u niej?...” — pomyślał, nie rozumiejąc powodu, dla którego wielkie damy miałyby nosić więcej spódnic niż jedną.

Nad zadumany karbowym parsknął koń licowy. Chłop cofnął się i począł z wolna iść za powozem.

„To ci muszą być państwo, kiedy jeżdżą lustrzaną *karytą!* — myślał chłop. — Jak się to jucha błyszczy! Przejrzeć by się można w tym dziwowisku...”

I począł się przegłądać, ale to, co zobaczył, wprawiło go w ostateczne zdumienie. Tylna ściana powozu tworzyła wklęsniętą powierzchnię walcową. Skutkiem tego chłop widział w niej wszystko szerokie, małe i do góry nogami przewrócone. Nad spiczastym niebem leżała droga, w głębi wąska, bliżej rozszerzająca się nagle. On sam miał głowę jak dynię, umieszczoną poniżej nóg krótkich jak palce przy grabiach. Gdy rękę w stronę powozu wyciągnął, ta rosła mu jak ciasto na drożdżach i całą jego figurę zasłoniła.

„Nieczysty interes!” — myślał karbowy przeczuwając nieszczęście. Był to człowiek, który ledwie raz na kilka lat opuszczał swoje pustkowie i równie rzadko widywał karety, jak mało znał prawa optyki.

Tymczasem dama weszła do chaty, a jej kamerdyner zatrzymał się na progu. Właśnie karbowy poczęła trzeci raz zamawiać choroby Anielki, kiedy szelest powłóczystej sukni odwrócił jej uwagę od chorej. Obejrzała się i struchlała zobaczywszy obcą damę, od której aż pachła jaśniepańskość.

Pani nie uważając na zdziwienie karbowej zbliżyła się do Anielki i z wyrazem niekłamnego współczucia na twarzy, przystojnej jeszcze, choć nieco zwiędłej, ujęła dziecko za rękę.

— Anielciu!... — rzekła głosem łagodnym.

Dziewczynka, jak sprężyna rzucona, usiadła na łóżku i błędnymi oczyma przypatrywała się damie. Skupiała rozpieczętowane wspomnienia, lecz osoby tej poznać nie mogła. Nie dziwiła się przecie, może biorąc nieznaną damę za jedno ze swych gorączkowych przewidywań.

— Anielciu! — powtórzyła dama.

Dziewczynka uśmiechnęła się, ale milczała.

— Ma gorączkę... gada od rzeczy... — szepnęła karbowa.

Dama spostrzegłszy w garnuszku wodę, umoczyła w niej batystową chusteczkę i natarła czoło i skronie Anielki. Potem złożyła płatek w kilkoro i okryła wierzch głowy chorej.

Pod wpływem chłodu dziecko oprzytomniało nieco i poczęło mówić:

— Czy pani jest babcia nasza, czy druga ciocia? Czy pani od mamy przychodzi?...

Dama drgnęła.

— Przyjechałam zabrać was. Czy pojedziesz ze mną?...

— A gdzie to?... Do mamy?... Czy może już do naszego domu?... Tak bym chciała być w ogrodzie... Taki chłód...

— Czego ty płaczesz, dziecino? — pytała dama, pochylając się nad nią. Wtem cofnęła się. Zaleciał ją gorączkowy oddech dziecka. Ale gdy spojrzała na twarz Anielki, białą, chorobliwym rumieńcem oblaną, na jej oczy wielkie, dobre i smutne, gdy pomyślała o niezmiernym nieszczęściu dziecka bez winy, odwróciła głowę — nie mogąc lez powstrzymać.

Po chwili Anielka przymknęła powieki. Zdawało się, że wysilona rozmową, drzemie. Pani po raz drugi mazaną chustką owinęła jej główkę, a potem wyszła do sieni.

— Krzysztofie — rzekła do onego, co był z pańska ubrany — jedź natychmiast do domu bryczką.

— Słucham jaśnie pani.

— Każ w salonie od ogrodu ustawić na środku łóżko... Poslij po doktora do miasteczka i telegrafuj do Warszawy po drugiego. Rządca da ci adres.

Kamerdyner uklonił się, ale stał, jakby pragnąc zrobić swoją uwagę.

— Chcesz co powiedzieć?...

— Sądzę — odpadł z deklamacją — że jaśnie pani nie może tu zostać bez usługi.

— Kiedyż my zaraz wszyscy stąd wyjeżdżamy, byle tylko chora uspokoiła się trochę.

— Jaśnie pani nie wypada jeździć z chorymi. To rzecz doktorów i zakonnic.

Dama zarumieniła się i zawahała, jakby uznając biegłość Krzysztofa w sprawach tego rodzaju. Z drugiej przecie strony nie podobały się jej te uwagi, więc odparła sucho:

— Rób, co każe!...

— Skoro jaśnie pani każe, jadę; ale za nic nie odpowiadam! — odezwał się Krzysztof z zimnym ukłonem.

— Zresztą — dodał — muszę pozwolić koniom, aby wytchnęły.

Pani wróciła do Anielki rozmyślając nad niestosownością obsługiwania chorych. Potem usiadła przy tapczanie i z rzewnym uczuciem wpatrywała się w oblicze dziecka.

„Jak ona podobna do niego! — mówiła sobie. — Te same usta... Ta krew... Biedny człowiek! muszę mu wynagrodzić wszystko, co dziś cierpi...”

I w wyobraźni swej zobaczyła piękną postać ojca Anielki. Teraz już nie wahała się obsługiwać chorej. To przecież jego dziecko, to dla niego!...

Stangret przymocowawszy lejce do kozła zstąpił uroczyście z wyżyn powozu na folwarczny padół płaczu i — po stangrecku założył ręce na brzuchu. Podszedł do niego pan Krzysztof gładzący ładnymi palcami angielskie faworyty.

— To ci dziedzictwo! — rzekł stangret pogardliwie, wyrzucając głowę w kierunku odrapanej chaty.

Pan Krzysztof podniósł brwi z politowaniem i patrząc na liberyjny guzik swego towarzysza z kozła odparł:

— Los rozmaicie człowiekiem rzuca. Jestem tu jak w jakim *Himalaju!*

— Musi się panu Krzysztofowi diabło przykrzyć po Warszawie?...

Pan Krzysztof machnął ręką.

— Po Paryżu, Wiedniu i tam dalej!... Ale cóż. Jeden z moich pryncypałów może być w Afryce, to ja mogę być tutaj...

Chwila milczenia.

— Ma też nasza pani za kim się rozbijać, ale za *takim* dziedzicem! — rzekł furman wskazując brodą na oborę.

Krzysztof odparł po namyśle:

— Jest on, co prawda, w złych interesach... no!... Ale nazwisko, stosunki, szyk...

— Może?

— To pan z panów!... Książęce znalezienie się... Gdyby nie wzgląd na niego, rzuciłbym ten obowiązek. Ale przy nim człowiek odżyje... Inne stanowisko, inne uważanie!... A i wy będziecie odtąd nosili na guzikach prawdziwy herb, nie jakiegoś tam lwa z pochodnią. To błazeństwo!...

— O!... — wtrącił stangret.

— Ba!... — zakończył pan Krzysztof.

— No, ale do widzenia! Jadę urządzić dom na przyjęcie dzieci i rozesłać ludzi po doktorów.

To mówiąc dotknął dwoma palcami brzegu okrągłego kapelusza.

— *Adieu!* — rzekł stangret, z szacunkiem kłaniając się starszemu koledze.

Pan Krzysztof pełnym godności krokiem zbliżył się pod chatę, począł powoli naciągać zdjęte przed chwilą rękawiczki i krzyknął na furmana z bryczką:

— Dawaj!...

Bryczka zajechała z wielkim trajkotem.

— Rwij! choćby konie miały paść, a przez groblę ostrożnie.

— A jak naprawdę padną? — spytał frant furman.

— Kiedy ja mówię, że mogą szkapy paść, to już muszę w tym mieć swoje powody — odparł pan Krzysztof dumnie.

Trzymając nogę na stopniu zapiął rękawiczkę, potem ugiął paltota, siadł, poprawił się i głęboko odetchnął.

Stojący przed oborą karbowy zdjął oberwany kapelusz.

— Szczęśliwej drogi wielmożnemu panu! — odezwał się.

Podobało się to Krzysztofowi. Rzekł przyjacielsko: — A! — sięgnął do kieszeni i rzucając chłopu złotówkę mówił:

— Dobrze pilnowałeś dzieci, mój przyjacielu, jesteśmy ci za to wdzięczni. Pilnuj równie dobrze gospodarstwa, postaramy się, ażebyś był wynagrodzony.

Poszo!...

Bryczka ruszyła zostawiając chłopą zgiętego we dwoje.

— A to ci państwo!... — mruczał karbowy, którego pierwszy raz w życiu spotkał tak hojny datek.

Zobaczywszy z daleka powóz i konie Józio zapomniał o rybach, swoim sitku i — popędził na folwark. Był pewny, że oboje rodzice przyjechali, nade wszystko jednak chciał zapoznać się bliżej z powozem.

Wpadł na podwórze, obdarty i zaczerwieniony, i — nie pytając nikogo o pozwolenie — począł wdrapywać się na kozioł.

— A co to, mały?... — krzyknął stangret.

— Ja chcę się przejechać — odpowiedział Józio chwytając za lejce.

Zaczeplone konie ruszyły. Ledwie je wstrzymał stangret; Józio wpadł w gniew.

— Ja chcę jechać!... Ja chcę jechać!... — powtarzał.

Na ten hałas dama, która już zapytywała karbowę o Józia, wyszła przed dom. Chłopiec biegł naprzeciw niej wołając:

— Dlaczego on nie jedzie, kiedy ja mu każę?...

Nagle stanął i zmieszał się — zobaczywszy osobę nieznaną. Na pani jednak hardy chłopiec, który pomimo nędzy dziwił się, że nie spełniają jego rozkazów, zrobił wrażenie przyjemne.

„Istny ojciec!” — pomyślała dama i zbliżywszy się, czule całowała dziecko.

— Gdzie mama?... — spytał onieśmielony Józio.

— Mamy nie ma.

— Czy i tatki nie ma?

— Nie ma, ale wkrótce zobaczysz się z nim.

— A pani?

— Ja?... — odparła dama z uśmiechem i zakłopotaniem. — Ja jestem wasza... krewna. I znowu ucałowała go.

Józiowi podobał się ekwipaż, stangret w liberii i elegancki ubiór pani. Witał ją jak dobrą znajomą, z niewidzianym u niego zapalem.

— Pani jest nasza krewna? — pytał. — To bardzo dobrze. Pani pewnie ciocia?... U nas była tu inna ciocia, ale ją przywiózł chłop i ja jej nie chcę... Pani jest ciocia — prawda?...

— Nazywaj mnie czasem mamą... mamą chrzestną... — odparła dama ledwie mogąc ukryć wzruszenie.

— Mama?... Dobrze!... Pani będzie drugą mamą... Czy można się przejechać?

— Piotrze — rzekła pani do stangreta — przewieź panicza.

Józio wnet znalazł się obok stangreta na koźle i dotykając rękoma lejców objeżdżał w koło podwórze. Wyobrażał sobie, że sam powozi, i był zupełnie kontent.

Dama patrzyła na niego z dumą i zadowoleniem. Była szczęśliwa myśląc, że w jej gnieździe zamieszka odtąd młode lwiątko.

Zimne okłady o tyle ulżyły Anielce, że można było wytłumaczyć jej, iż zaraz stąd wyjadą. Wiadomość tę przyjęła obojętnie i pozwoliła się ubrać.

Dama z pewnym rodzajem wstydu i żalu przypatrywała się jej garderobie, w części składającej się z bielizny źle upranej, w części — z lachmanów.

Gdy dzieci były już gotowe do podróży, bo Józio nic nie potrzebował zmieniać w swej odzieży, pani zawiadomiła karbową, że musi z nimi jechać.

— Przebierz się więc prędko, moja kobiecino, jeżeli masz w co, bo czasu tracić nie możemy — zakończyła pani.

Prerażona karbową wybiegła szukać męża. Stał on pod chatą i ciągle przypatrywał się powozowi.

— Słyszysz, a dyc mi jaśnie pani jechać każą!... — zawołała z płaczem.

— Gdzie?

— A bo ja wiem gdzie?... Z dziećmi, i tyle... O, nieszczęście ty moje!...

Dama usłyszawszy lament karbowej wyszła przed sień, aby uspokoić niebogę. Karbowy chwycił ją za nogi i począł prosić.

— O, jaśnie pani, zmiłuj się nade mną i zostawcie mi kobietę. Ja tu i dnia jednego bez niej nie wytrzymam, a nie dopiero — żeby ona w taką straszną drogę jechała!...

Pani zdziwiła się.

— O jakiej drodze mówisz, człowieku? — spytała. — Mieszkam o milę stąd, w Wólce... Jak tylko panienka przyjdzie do sił, odeszlę ci żonę, ale teraz musi być ktoś znajomy przy chorym dziecku.

— We Wólce?... to tam niby w pałacu?... — spytał chłop.

— Tak, w pałacu.

— No — ale jakże ja tu sam zostanę?... Niech się jaśnie pani zlitują...

Dama wydobyła portmonetę.

— Masz tu, człowieku, pięć rubli. Żonie dam, dwadzieścia... dam i więcej wreszcie, byle troskliwie obsługiwała panienkę... Dziecku w obcym miejscu będzie przykro bez znajomych... A jak pan przyjedzie, każe wam tu lepsze budynki postawić, da wam większą pensję i już będziecie mieli utrzymanie do końca życia.

Karbowy spoglądał to na pięć rubli, to na damę i słuchał. W końcu rzekł do swej kobiety:

— No, ubieraj się, Jagna!... Czy nie słyszysz co ci jaśnie pani gada?

Samej karbowej ów pałac w Wólce i obietnice wydały się tak wspaniałe, że wnet pobiegnęła do izby, przewróciła do góry nogami skrzynię i w kilka minut wyszła ubrana jak na odpust. Nie zapomniała włożyć na szyję paciorków i wziąć w ręce trzewików.

— Dlaczego ich na nogi nie kładziesz? — spytała pani.

— Juźci prawda! — szepnęła karbową i ozdobiła wielkimi trzewikami swoje czerwone nogi.

Powóz zajechał przed sień. Karbowa wzięła Anielkę w objęcia jak małe dziecko i ułożyła ją w rogu siedzenia, sama zajmując miejsce na przodzie. Obok Anielki usiadła dama, a Józio już był na koźle.

Powóz ruszył noga za nogą.

— Bądź zdrow, mój człowieku! — rzekła pani do karbowego, który wyglądał jak skazaniec.

Karbowa nie pożegnała się nawet z mężem. On w ciężkim kłopotcie zapomniał o tej formalności, ona zaś myślała o tym tylko — że jedzie czterokonną karetą. Zhardziła kobicina na dobre i choćby jej mąż kazał wracać do domu, choćby ją miał zbić za powrotem, nie porzuciłaby już swego siedzenia.

Ale chłopu nie przyszło do głowy sprzeciwiać się rozkazowi jaśnie pani, choć okrutnie bolało go serce. Szedł więc biedak o kilkanaście kroków za powozem, patrzył w żonę jak w tęczę i na migi pokazywał jej, że bardzo cierpi. Rozkładał i załamywał ręce, ścisnął pięści, a w końcu zaczął targać długie włosy.

— O, daj mi ta spokój... — wybuchnęła zniecierpliwiona kobieta.

— Co to znaczy?... — spytała ją pani, zdziwiona niespodzianym wykrzyknikiem.

— Abo idzie za *karytą* jak cielę za krową i drze się za leb... Głupi czy co?...

Pani odwróciwszy się do karbowego zobaczyła jakąś cząstkę jego pantomin.

— No, mój człowieku — rzekła — jeżeli masz tak rozpaczać po żonie, to już lepiej nie czekając na nią przyjdź sam do Wólki...

— A kiej przyjąć, jaśnie pani?... — spytał.

— Kiedy zechcesz.

Pozwolenie to tak dalece uspokoiło chłopca, że tylko pogroził żonie pięścią i zawrócił do chaty. Teraz karbowa mogła już bez przeszkody służyć chorej.

Jechali wolno. Owiana świeżym powietrzem, Anielka oprzytomniała nieco, poczęła oglądać się i rozmyślać. Kto jest ta dobra pani?... Dokąd jadą? A może w nowym miejscu czeka na nią mama, która chce im zrobić niespodziankę?...

Patrzyła na schyloną trzcinę i równy, szeroki płat bagien upstrzonych kępami.

Gdy wjechali w las, przysłuchiwała się jego jednostajnemu szumowi. Potem zdawało się jej, że drzewa wyciągają do niej konary i coś szepczą. Lecz nim zdążyła uchwycić pierwszą sylabę tej mowy, powóz minął drzewo.

— Co one chcą powiedzieć?...

Natęzała słuch. Już, już coś rozumie. Jest to jakaś tajemnica, ani smutna, ani wesoła, tylko rozległa, ważna, którą cały las powtarza, lecz której ona dowiedzieć się nie może.

Ciągły, powolny ruch i zmiana widoków poplątanych, nieokreślonych poczęły drażnić Anielkę. Przymknęła oczy, ale wtedy zdawało jej się, że powóz nagle staje. Spojrzała — znowu jadą i tylko ktoś spoza konarów zagląda do niej ciekawie. Kto to?... Co to?... Jakież mnóstwo widziadeł niemających kształtów ani barwy, cichych, rojących się.

Podróż ciągnęła się bez końca. Minęli las. Jakież to niebo ogromne i głębokie, a ona leży nad tym bezmiarem, nieprzywiązana do niczego. Ogarnęła ją obawa przestrzeni. Zdawało jej się, że spadnie gdzieś, to znowu, że pustka jest jakimś zbitym materiałem, który ją przytłacza.

Anielka jęknęła.

— Co tobie, moje dziecko? — zapytała dama.

— Boję się... Ja spadnę tam! — mówiła wskazując ręką na sklepienie niebieskie. — O, trzymajcie mnie!

Pani kazała podnieść budę nad powozem, i to uspokoiło nieco Anielkę. Lecz zaledwie przejechali paręset kroków, dziewczynka zaczęła płakać i prosić:

— O, zostawcie mnie tutaj!... Połóżcie mnie na polu, niech ja już umrę... Tak wszystko we mnie drży... tak się strasznie huśtam... Nie wiem, co mi jest, nie wiem, gdzie mnie wieziecie... Przecie ja nikomu nic złego nie zrobiłam... za cóż mnie tak męczą?... O, mammo!... mammo!...

Do dworu było już niedaleko. Zawołano ludzi i przeniesiono Anielkę na rękach. Józio i karbowa płakali, dama była bardzo niespokojna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. POD TROSKLIWĄ OPIEKĄ

W obszernym pokoju na fotelu skórą obitym siedzi pan Dragonowicz, powiatowy lekarz, a obok na taburecie pani Wichrzycka, poufna tej damy, która zabrała do siebie Anielkę i Józia.

Doktor Dragonowicz jest niski, dobrze zakonserwowany i dokładnie ogolony staruszek, w długim, szaraczkowym surducie.

Pani Wichrzycka jest osobą pobożnie szczupłą, nosi suknię czarną, włosy gładko uczesane i watek w uszach.

Rozmawiają półgłosem.

— Także był sens sprowadzać takiego młokosa z Warszawy, jak gdyby u nas brakowało zarozumiałców! — mówi gniewnie doktor pocierając krótką ręką szpakowate włosy. — Nic to, panie, nie poradzi, chorą zgubi, a policzy sobie z paręset rubli...

— Cóż robić, panie konsyliarzu, kiedy się uparła?... Ona dałaby i parę tysięcy rubli, byle tylko małą wyleczyć. Ma pieniądze, więc dogadza fantazjom — odparła pani Wichrzycka.

— Ja jej wyraźnie mówiłam — ciągnęła dalej — że jeżeli pan konsyliarz nie pomoże, to nikt nie pomoże, bo przecie pamiętam, jak mnie pan dobrodziej na to nieszczęśliwe ucho trafnie leczył. Ale cóż — uparła się!...

— Czy ja mam, panie konsyliarzu, brać dalej te pigułki?

— Trzeba! trzeba! — mruknął doktor. — Od czasu, jak kolej zaprowadzili, wszystkim się przewróciło w głowach z tą Warszawą. Suknie, panie, z Warszawy, cukry z Warszawy, medycy z Warszawy, a ty, biedaku miejscowy, idź w ką!...

Skrzypnęły drzwi i wszedł przez nie młody szatyn niewielkiego wzrostu. Czarno ubrana pani zerwała się z taburetu układając bladą twarz do wdzięcznego uśmiechu.

— Jakże pan konsyliarz znalazł naszą chorą? — spytała. — Biedny aniołek!... Widziałam w życiu moim tysiące chorych, ale żaden jeszcze nie zrobił na mnie tak bolesnego wrażenia...

Młody doktor przerwał potok wynurzeń.

— Właśnie naradzimy się z szanownym kolegą nad stanem chorej — rzekł i uklonił się wdzięcznej damie, która uśmiechnęła się jeszcze piękniej i — ujawszy fałdy sukni w obie ręce, zrobiła pensjonarski dyg.

— Chciałam się jeszcze zapytać pana konsyliarza, co życzy sobie na śniadanie?... Może być polędwica, drób, wędliny, jaja... wino, porter...

— Cokolwiek, proszę pani! — odparł młody doktor i uklonił się po raz drugi, ale tak stanowczo, że dama uznała już za niezbędne wyjść z pokoju.

— Pan dobrodziej przybywa z Warszawy? — spytał Dragonowicz splótłszy palce rąk i patrząc przez ramię na szatyna. — Czy i tam panuje susza jak u nas?...

Wywzajemniając się szatyn spojrział z góry na staruszka i niedbale rzucił się na drugi fotel.

— U nas po suszy trafiają się niekiedy deszcze — odparł. — A jakże szanowny kolega wczoraj znalazł chorą?

Owe: „jakże” — stropiło Dragonowicza.

— Jak zwykle przy początkach zapalenia płuc — odparł niechętnie. — Gorączka, dreszcze, język obłożony, puls prędko... Innych objawów...

— A co kolega ordynował, jeżeli wolno spytać?...

Dragonowiczowi coraz mniej podobał się egzamin.

— Ordynowałem to, co zwykle w podobnych wypadkach — odburknął. — Na nieszczęście, opiekunka chorej nie pozwala stawiać ciętych baniek...

— I słusznie! — wtrącił szatyn półgłosem.

— Hę? — spytał Dragonowicz.

— Chora jest anemiczna; krew musimy bardzo szanować...

— Więc pan dobrodziej nawet przy zapaleniu płuc nie stawiasz baniek?... — zawołał Dragonowicz. — A to coś nowego słyszę!

I począł się śmiać zacierając ręce.

— Tu nie ma zapalenia płuc...

— Jak to nie ma?... A co mówi lewe płuco...

— Lewe nic nie mówi. Prawe jest cokolwiek zajęte...
— Jak to prawe?... — krzyknął Dragonowicz. — Ja mówię, że lewe!...
— A mnie auskultacja mówi, że prawe...
— W jaki sposób pan uważasz prawe płuco? Czy to, które u chorego leży po prawej stronie, czy to, które lekarz znajduje naprzeciw swojej prawej ręki?
— Naturalnie, że u chorego prawe płuco leży po stronie prawej.
Dragonowicz tak się zaperzył, że na chwilę oniemiał. Opanował jednak wzruszenie i zaczął mówić ciszej, siląc się na ironię.
— Dobrze!... prawe!... dobrze... niech i tak będzie... A jakże wedle swojej nomenklatury nazwiesz pan chorobę?
— Malaria! — odparł szatyn krótko, już nie patrząc na Dragonowicza.
— Ma-la-ria?... — powtórzył po sylabie stary doktor wstając z fotelu. — Wiem, jest to, panie, choroba warszawska, wynalazku wielkiego Baranowskiego czy wielkiego Chałubińskiego, co to leczą chorych mlekiem i świeżym powietrzem... Znam tych panów! Posłałem ja raz pacjenta z palpitacjami, a oni powiedzieli, że to katar żołądka, wynaleziony także przez nich. Cha! cha!... katar żołądka... Szkoda, że mu nie zapisali tabaki, ażeby się wykichał!...

Teraz szatyn zerwał się z fotelu.

— Pozwól sobie powiedzieć, szanowny kolego — rzekł rozdrażniony — że jedna diagnoza tych panów więcej znaczy w świecie lekarskim aniżeli wszystkie autorytety pancanowskie... Co zaś do kataru żołądka...

Ale Dragonowicz już nie słuchał. Chwycił czapkę z biurka, włożył ją jeszcze w pokój na głowę i wyszedł trzaskając drzwiami. W kredensie nazwał młodego szatyna elegantem i zażądał koni. Na szczęście dla cierpiącej ludzkości, schwyciła go pani Wichrzycka i w celu ułagodzenia zaprowadziła do dwu chorych parobków, którym zapisał po dwie sążniste recepty i po pół kopy ciętych baniek na chłopa.

Tymczasem młody doktor, zmęczony podróżą z Warszawy, siadł głębiej w fotelu i oparłszy głowę na rękę począł obmyślać sposób leczenia chorej.

— Mamy gorączkę, lekkie zajęcie płuc i mózgu i upadek sił. Pacjentka mieszkała w okolicy bagnistej... Zadawać musimy przede wszystkim chininę, która, naturalnie, będzie fałszowana... Stare wino... Czy aby mają stare wino?... Może arsenik?... Dać spokój!... Jak tu parno w pokoju... *Acidum carbolicum cristalisatum*?... Na nic... Gorączka... *Acidum salicilicum*? Do czego?...

Tak nurzając się w odmętach farmakopei, młody lekarz szukał coraz to nowych środków. Już... już chwycił jakiś oryginalny, a całkiem skuteczny sposób leczenia. Już gorączkę zmniejszył, siły wzmocnił, rozdrażnienie uspokoił...

Wtem zasnął twardo.

Z tej komnaty wysokie podwoje, ozdobione złoceniami, prowadziły do sali, w której leżała Anielka.

Część mebli wyniesiono stąd, resztę ustawiano wzdłuż ścian i zasłonięto pokrowcami. Okna były otwarte, żaluzje zamknięte. Panował mrok.

Na środku stało wielkie rzeźbione łóżko z czarnego dębu, a na nim — Anielka, cała w bieli. Pilnowała jej karbową.

Biedna kobiecina sama siebie poznać nie mogła. Czym ona jest? gdzie ona jest? Wielkość sali, mrok i mnóstwo nieznanych sprzętów przestraszyły ją. Przypomniały się jej legendy o zaklętej królowie i innych rzeczach, które w opowiadaniu są bardzo ciekawe, ale przy zetknięciu się z nimi napędzają dużo kłopotów i trwogi. Czarne łóżko wygląda jak katafalk, sprzęty w pokrowcach jak umarli w całunach, fortepian jak trumna, do której wnet karbowę włożą. A tu nawet, o Jezu! i uciekać nie można, bo podłoga śliska jak lód i nim Zającowa krok zrobi, już ją złapią, naturalnie ci, którzy łapać zechcą.

Anielka po większej części leżała spokojnie z zamkniętymi oczyma, odurzona. Po wielkich wstrząśnieniach opanowała ją teraz sennaść i apatia. Gorączkowe obrazy pierchły, gwałtownie wybuchające uczucia przygasły. Jeżeli mówiła, to powoli, cicho, urywanymi zdaniem.

Gdy wiatr powiał od ogrodu, sala napelniała się wonią kwiatów, świegotaniem ptaków, a niekiedy — dalekimi odgłosami wesołej rozmowy ludzi zdrowych. Zwykle jednak przez

wąskie otwory żaluzji widać tylko było mnogie cienie chwiejących się liści, które wydawały szelest jak woda strumienia prędko uciekającego po kamykach. Istny obraz wieczności!

Czasami znowu stawał kto za oknem i zapuszczał ciekawy wzrok do wytwornej świątyni nieszczęścia. Na widok tych figur tajemniczych, które ukazywały się i znikaly bez szelestu, karbowej przechodziło przez głowę, że może to śmierć do nich zagląda badając, czy już czas?...

— Pić... — szepnęła Anielka.

Karbową zerwała się z fotelu i przyłożyła chorej do ust jakąś miksturę słodką i chłodzącą.

— Czy to już wieczór?

— Nie, paniuńciu, jeszcze nie wołali na południe.

Milczenie.

— Co to tak płynie za oknem?

— To drzewa, paniuńciu, w ogrodzie szelepią.

— A!... Jak tam musi być ładnie... A mnie tak nudno, ja taka chora...

— Niech się panienka nie boi, będzie zdrowa! Już był tu drugi doktor, pono z Warszawy. Obejrzał panienkę (aż koszulę, para, odpinał!) i mnie się o wszystko wypytywał. Jakem mu zaś wzięła gadać (jeszczem niejedno, Boże odpuść! zełgała), to aż ci się za głowę chwycił i poszedł radzić z tamtym.

Ho! ho! oni dopiero coś uradzą. Wykrzykiwały przecie tak, że myślałam: czy się nie biją?...

Gorzej z moim Kubą... Co on se ta chłop robi na folwarku?... — dokończyła karbową myśląc o mężu.

Anielka splotła chude rączki i przymknęła powieki oddychając szybko i krótko. Karbową umilkła i poczęła dopasowywać się do miękkiego fotelu, na którym żadną miarą siedzieć nie umiała. Co siedzie na brzegu, to się zsuwa. Rąk na poręczach oprzeć nie śmie. Posunąć się głębiej nie wypada, bo jeszcze, czego Boże broń! rozwaliby się na nim jak na łóżku...

Gdyby jej dali prosty stołek, zaraz by oprzytomniała, a z tym wygodnym siedzeniem tylko zgryzota kobiecie. Jeszcze jeden dzień taki, a wymknie się przez okno i ucieknie na koniec świata.

Za ogrodem rozległ się powolny turkot bryczki po bitej drodze i — ciężki stęp koni.

— Ktoś jedzie!...

Orzeźwiło to karbową, że w swojej kłopotliwej ciemnicy słyszy przynajmniej jakieś odgłosy, które przypominają jej, iż poza obrębem pałacu istnieje świat, a na nim folwark, za którym tak tęskniła.

Turkot ucichnął.

„To do nas przyjechali! — pomyślała karbową. Lecz kto przyjechał? — odgadnąć nie mogła.

W tym samym czasie pani Wichrzycka wracająca z oficyny do pałacu zobaczyła przed bramą wielką bryczkę, konie spasione jak gałki, a na koźle woźnicę ubranego po chłopsku, lecz wygolonego po księżowsku. Z bryczki tej wysiadła jakaś jejmość i bardzo rezolutnie szła ku drzwiom pałacu.

Była to ciocia Andzia, która poznawszy w Wichrzyckiej osobę swojej kondycji zwróciła się przede wszystkim do niej z rekomendacją i pytaniami.

— Jestem Anna Stokowska — mówiła prędko. — Dowiedziałam się, że tu są dzieci pana Jana: Anielka i Józio. To moi siostrzeńcy.

— A!... — szepnęła pani Wichrzycka robiąc dyg z pochyleniem głowy na bok.

— Właśnie jechałam na folwark, aby dzieci przewieźć do siebie, ale spotkałam w drodze tamtejszego karbowego, który mi powiedział, że one są tutaj. Niech sobie pani wyobrazi, że człowiek ten z całym dobytkiem folwarcznym — jedzie do państwa.

— Wiem... jego żona pilnuje chorą Anielcię — przerwała Wichrzycka — bardzo ordynaryjna kobieta, którą gdyby nie opór pani baronowej...

„Baronowa?” — pomyślała ciotka, a potem rzekła głośno:

— Chciałabym widzieć się z panią baronową. Podziękuję jej za opiekę nad dziećmi i zabiorę do siebie.

Pani Wichrzycka pokręciła trochę głową, ale nie odpowiedziała nic. Wprowadziła ciotkę do pokoju, sama zaś poszła uprzedzić baronową o zamiarach przyjezdnej.

Ciotka Andzia usiadła na aksamitnej kanapie i usiłowała zabić czas przypatrując się cackom na stolikach albo obrazom, między którymi był portret mężczyzny w mundurze intendenckim.

„Bogata bo bogata — myślała. — To on był baronem... Ale czego ona chce od dzieci?... Kto ją o nich zawiadomił?... Ha! widać miłosierna kobieta...”

Wtem cicho otworzyły się drzwi i do salonu weszła właścicielka pałacu. Mogła mieć około lat czterdziestu, była dobrego wzrostu, śniada, z czarnymi, bardzo żywymi oczyma. Rysy jej grube i namiętne zachowały jednak i dziś ślady piękności.

„Żydówka?...” — przemknęło przez głowę cioci Andzi. Podniosła się jednak szybko z kanapy i złożyła wchodzącej głęboki ukłon.

Baronowa serdecznie ścisnęła ją za rękę.

— Pani jest ciotką Anielci i Józia? — spytała.

— Tak — odparła przybyła.

— Siądźmy, proszę... Pani jest bliską krewną biednej?...

Ciocia Andzia nagle posmutniała.

— Podobno w ostatnich czasach — mówiła baronowa — ona mieszkała w domu pani... Tam także...

Biedne dzieci...

— Właśnie chcę pani podziękować za jej zacną opiekę...

— O, to był mój obowiązek — przerwała baronowa prędko.

— Przyjechałam też, aby dzieci zabrać... Bo ja w tych dniach — mówiła ciotka z odzieniem zakłopotania — otrzymałam miejsce u jednego zacnego kanonika...

Baronowa poruszyła się na kanapie.

— Ale że to człowiek dostatni i bardzo dobry, więc pozwolił mi sprowadzić dzieci do siebie. Wypłacił mi nawet pensją za kwartał, aby im kupić, co potrzeba...

— Nie wydaje mi się to miejsce stosownym dla dzieci, nawet tymczasowo — rzekła baronowa.

— Przysięgam Meci, że ich, biedaków, nie opuszczę — przerwała prędko ciocia — i dotrzymam słowa. Majątku nie mam już od dawna, ale praca moja wystarczy nam, a poczciwy kanonik...

— Pani zdaje się nie wiedzieć o tym, że mnie pan Jan upoważnił do przewiezienia dzieci tutaj. Przeczyta pani list. Zresztą on sam za parę dni przyjedzie...

Ale choćby nawet pan Jan nie nadał mi tych praw, to jeszcze nie mogłaby pani tak prędko zabrać dzieci, bo Anielka jest bardzo chora...

Ciotka spuściła głowę.

— Mamy tu dwu lekarzy — mówiła baronowa — w razie potrzeby możemy mieć ich więcej, choćby najznakomitszych w kraju. Anielka znajdzie wszelkie wygody.

— Więc ja — przerwała ciotka nieśmiało — mam już opuścić chore dziecko siostry?...

— Ależ nie!... — pochwyciła baronowa wyciągając rękę do ciotki. — Ja właśnie liczę na to, że pani u nas jakiś czas zabawi.

A widząc wahanie się ciotki poczęła nalegać.

— Bardzo panią proszę!... W domu moim panuje staropolska gościnność, tym bardziej dla osób... życzliwych... Znajdzie tu pani oddzielny apartament dla siebie... Będzie pani czuć nad Anielcią...

Ciotka była zakłopotana.

— Doprawdy, że choć mi żal odmówić, nie śmiem jednak nadużywać uprzejmości pani...

— Niech pani dom ten uważa za własny, a mnie za... za szczerą przyjaciółkę. Zresztą pani wie, że nie ma w kraju dwóch rodzin, które by nie były spowinowaczone ze sobą. My wszyscy jesteśmy krewni...

Ciotka, zdziwiona i wzruszona — uległa. Napisała do kanonika prosząc go o urlop na parę dni, a następnie udała się do pokoju Anielki.

Karbowa poznawszy ciotkę Andzię zawołała: „oo!...” i rzuciła się jej do kolan. Anielka popatrzyła na nią, uśmiechnęła się smutno i znowu przymknęła oczy.

— Jakże się masz, Anielciu? — spytała ją ciotka.

Dziewczynka milczała.

— Niczego! — odparła za nią karbowa. — Są tu przecie dwa doktory. A jak jeść dają!... byle człek przelknął... Ino, że jest ciemno i nie ma na czym siedzieć, więc kuczcy się noma. Ja już nawet zapomniałam w tej ciemnicy, jak świat wygląda. A jeszcze mi mego żal...

— Toteż jedźcie sobie, moja Zającowa, a ja teraz przy Anielci posiedzę. Spotkałam w drodze waszego męża. Jedzie tu z całym gospodarstwem...

— Zdurzał, para, czy co?... — krzyknęła karbowa. — A jakże on dom ostawił?...

— Tego ja nie wiem, ale zdaje się, że jego tylko co nie widać. Wyjdźcie na podwórze, a pewnie się z nim spotkacie...

Kobieta wyszła ślizgając się na posadzce i ledwie trafiła do sieni.

— To ci pałac, o Jezu! i za tydzień by go nie obszedł i po wszystkich kątach... — szeptała.

Gdy zostały obie z ciotką, Anielka otworzyła oczy.

— Ciociu, ja chcę usiąść.

Ciotka uniosła ją i oparła na poduszkach, a widząc, że mimo to dziewczynka siedzieć nie może, objęła ją w pól i rękę jej położyła na swojej szyi.

— Żeby ciocia wiedziała, jaka ja chora...

— To przejdzie, moje dziecko. Jutro już ci będzie lepiej, jak tylko lekarstwa zaczną działać.

— Tak?... — spytała dziewczynka całując ją. — A ja myślałam, że już umrę...

Ciotka oburzyła się.

— Fi! moje dziecko... Któż znowu mówi takie rzeczy?... Przecież niejeden choruje... Ja sama ile razy!...

— Tak mi tu było smutno... Nikogo przy mnie nie ma... Ani mamy... O, żeby się choć mama nie dowiedziała o tym!...

Ale i ta krótka rozmowa wysiliła ją. Dziewczynka położyła się, oblana zimnym potem.

— Ja pewnie umrę... o Boże!...

— Dajże pokój, Anielciu, nie rań mi serca... — przerwała ciotka.

— Kiedy ja się nie boję, tylko... Ja nie wiem, jak się to umiera, i dlatego... tak mi smutno...

Skrzypnęły drzwi i na posadzkę upadła szeroka smuga światła. Weszła pani baronowa trzymając Józia za rękę.

— Patrz, Anielciu! — krzyknął chłopiec — jak ja jestem ubrany... Mam buty i kurtkę aksamitną...

— Cicho, Józiu! Jakże się ma Anielcia? — spytała dama stając nad łóżkiem chorej.

Ciotka Andzia pokiwała głową.

— Jeździłem dziś na koniu — mówił Józio — chodziłem z Krzysztofem po ogrodzie... Mama obiecała mi...

Anielka zerwała się.

— Gdzie mama? — krzyknęła szeroko otwierając oczy.

Józio umilkł, pani baronowa cofnęła się od łóżka.

— Gdzie jest mama?... — powtórzyła Anielka.

— Ja mówię o naszej mamie chrzestnej — odparł Józio wskazując na baronowę.

Anielka upadła na łóżko i zakryła twarz rękoma.

Scena ta zakłopotwała ciotkę Andzię, a jeszcze mocniej baronowę, która zapytawszy, czy chora nie żąda niczego — wnet opuściła salon.

Zając istotnie przyjechał niekutym wozem, zaprzęgniętym we dwa chude woły. Na wozie umieścił skrzynią i przyodziewek, a z tyłu przyczepił konia i krowę.

Osobliwy ten kram parobcy przywitali starodawnym: „Pochwalony!”, dworscy lokaje serdecznymi śmiechami, a karbowa okrzykiem radości. Z rozkrzyżowanymi rękoma wybiegła baba naprzeciw męża, ale Zając przyjął ją cierpkim pytaniem:

— No... po chorobę ja się tu przywlekłem?...

— Ooo!... a toż się przecie sam jaśnie pani napraszał — odparła karbowa zdziwiona krótką pamięcią męża.

— A cóżem miał robić?...

Karbowa obraziła się.

— I, nie wydziwiał, nie wydziwiał!... Nie lepiej ci to posiedzieć kilo czasu między ludźmi, a nie samemu jak wilk pod lasem?

— A króliki noma przez ten czas diabli wezmą.

— Nic im nie będzie.

— No, a co ja tu będę robił?

— Wypoczniesz se. Takeś zawsze żądał wypoczynku.

— Ale! A gdzie ja tu stanę?... Przecie nie pod bramą, żeby się te parchy lokaje ze mnie naśmiewały.

Karbowa złożyła ręce po napoleońsku; pytanie to było najważniejsze ze wszystkich. Gdzie on stanie? Jużci chyba mąż powinien by siedzieć przy żonie. A że żona siedzi w pałacu, więc i on w pałacu. Więc i koń, krowa, dwa woły...

Nie rozwiązałyby tej zagadki karbowe, gdyby nie zjawił się Szmul w biedce. Wychodźcy z folwarku powitali go jak Mesjasza i prosili o radę. Żyd nic im nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się.

Poszedł do pałacu, a w kwadrans wóz odprowadzono do szopy, konia do stajni, bydłatka do obory i karbowego do oficyny.

Tam dano mu obiad i flaszkę piwa. Chłop najadł się, pasa rozpuścił, głowę otarł rękawem, a potem — siadł na ławie — i jak weźmie płakać!... Aż się szyby chwilami trzęsły...

— Po cóżem ja tu nieszczęśliwy na tę pustynię przyjechał!... A bodaj mnie była pierwszej nagła śmierć spotkała!... ani tu pola, ani lasu, ani wody...

Nie powiedział jednak: ani ludzi, ponieważ otaczało go kilkanaścioro służby płci obojej, którzy drwili z rozpaczki biedaka. Jemu też bynajmniej nie o ludzi chodziło, ale o te bagna kochane, czarny las i obdartą chałupę.

Beczał i szlochął z pół godziny, aż przyszła pani Wichrzycka i nawymyślała mu. Wtedy powłókł się ku stajni i oborom obejrzeć swój dobytek i zaznajomić się z parobkami.

Trochę pogadał, potem legł na słomie. Ale spać mu się nie chciało, więc począł chodzić z kąta w kąt, tęsknić za robotą, za żoną i za folwarkiem.

W parę godzin obmierzała mu Wólka razem z pałacem, pięknymi budowlami i wielkim ogrodem, tak że rady sobie dać nie mógł.

„Co tu za życie? — mówił do siebie. — U nas to dopiero raj!...”

Wybrał się do karczmy i tam on, człek od urodzenia trzeźwy, pierwszy raz w życiu poznał wielką prawdę, że często dolewany kieliszek jest pocieszycielem strapionych.

Gdy wrócił z szynku, nie tęsknił już do swego folwarku, bo miał umysł mocno zajęty.

„Co prawda — myślał — to w tej Wólce wesoło. Pałac jak kościół, budynki porządne, murowane. Jest browar, jest gorzelnia, młyn — człowiekowi nie żal na te rzeczy patrzeć. Na obiad dzwonią jak na sumę, a ludzi tyle, co na odpuście. I jeść dają — aż w gardło nie wlezie”.

Szedł drogą i zdawało mu się, że go coś podrywa, tak mu było lekko, a w głowie myśli skaczą coraz osobliwsze. Nie trzymały się one jedna drugiej, ale szły szparko jak wicher. Jeszcze nigdy Zając tyle nie wymyślił, choć całe życie miał ochotę do myślenia. W końcu rozebrała go taka radość, że aż zaśpiewał:

Oj! na zielonym kuble
Skikają se wróble...

Dociągnął do obory i zwałił się na kupę słomy. — „Jakie tu spanie chrześcijańskie...”
We śnie zdawało mu się, że go ktoś targa za ramię.

— Kuba! Kuba!... ocknijże się...

— Byś ksy! ksy!... — odmruknął machinalnie Zając.

— A tożes ty pijany, bestyjo... Kuba!...

— Daj mi spokój!... Nie widzisz, co robię? — odparł i przewrócił się twarzą do słomy, wywijając nogami.

Obudzić go nie było możliwości. Spał aż do wschodu słońca.

W pałacu, wieczorem, lekarze jeszcze raz zbadali chorą i w bocznym pokoju złożyli drugie konsylium.

— Więc pan dobrodziej ciągle twierdzisz, że tu nie ma zapalenia płuc? — zaczął Dragonowicz z protekcyjnym uśmiechem.

— I twierdzą, i jestem przekonany, żeś się kolega uprzedził — odparł szatyn oziębło.

Miara już się przepełniła. Dragonowicz założył nogę na nogę, dłonie splótł i topiąc królewskie spojrzenie w obliczu młodzika zapytał:

— Przepraszam... ile też pan dobrodziej liczy sobie lat?

Młody szatyn powstał.

— Kochany kolego! — rzekł — mam tyle lat, ile potrzeba do stu obserwacji zapalenia płuc...

Zerwał się i Dragonowicz.

— Mało mnie pańskie obserwacje obchodzą! — krzyknął wstrząsając ręką. — A gdzie pan uniwersytet kończył?...

Szatyn włożył ręce w kieszeń.

— Nie w Pacanowie, szanowny kolego!...

Czerwoną twarz starego doktora oblał piękny karmazyn.

— Ja także nie w Pacanowie! — wykrzyknął. — Ale ponieważ pan liczysz sobie tyle lat życia, ile ja praktyki i — ponieważ nie na jednej ławie nas... tego...

Tu wykonał ręką kilka zamasztych ruchów z góry na dół.

— Więc upraszam *pana dobrodzieja*, abys mnie tytułem *kolegi* nie honorował...

Skończywszy Dragonowicz zostawił osłupiałego doktora na środku pokoju, a sam wyszedł, aby ochłonać.

Szatyn nie spał całą noc, ale natomiast dużo myślał o tym:

Czy postępowanie kolegi Dragonowicza zasługuje na upomnienie ustne czy listowne, czy też na wniesienie skargi do najbliższego towarzystwa lekarskiego?

Czy raczej brutalne postępowanie kolegi Dragonowicza nie wymaga satysfakcji z bronią w rękę? A w takim razie:

Czy w okolicy znajdzie się dostateczna liczba sekundantów?

Na drugi dzień obaj przeciwnicy byli bladzi i jedli śniadanie bez apetytu. Każdy znajdował się pod wpływem bardzo energicznych i niezależnie powziętych postanowień, które streszczały się w tym, że żaden nie miał z drugim rozmawiać, jak najrzadziej na przeciwnika spoglądać — i jak najspieszniej koni zażądać.

Co też obaj uczynili. Ale ponieważ pani baronowa więcej ufala warszawiakowi niż Dragonowiczowi, wyjechał więc ten ostatni otrzymawszy sute honorarium.

W przedpokoju Dragonowicz znalazł kamerdynera Krzysztofa i zwyczajnego lokaja. Pan Krzysztof kazał ubrać lokajowi pana doktora do podróży, a pan doktor prosił pana Krzysztofa, aby tenże powiedział lekarzowi z Warszawy, że jest chłystkiem.

Krzysztof zdumiał się.

— Pozwoli sobie pan doktor zrobić uwagę — rzekł — że ja tamtego pana mam przyjemność znać i że...

— Cóż to, byliście w jednej restauracji? — spytał Dragonowicz z najwyższą wściekłością.

Wyglądało to na obelgę, ale pan Krzysztof nie stracił zimnej krwi.

— Ja w restauracjach nie przesiadywałem — odparł z godnością — a tamtego pana spotykałem w takich towarzystwach, w jakich pan doktor — nie bywa!...

To powiedziawszy odszedł bez pożegnania, a następnie oświadczył pani baronowej, że stary doktor jest źle wychowany, i że on, pan Krzysztof, nie będzie mu już nigdy robił honorów albo prosi o dymisję.

Tym sposobem młody lekarz stał się panem placu i mógł leczyć chorobę bez przeszkód.

Zajął się Anielką energicznie. Całe godziny spędzał przy jej łóżku, sam podawał lekarstwa, wino, dysponował buliony, pukał, słuchał, mierzył temperaturę. Lecz gdy baronowa pytała go, co sądzi o pacjentce, potrząsał głową i odpowiadał stylem kwiecistym:

— Chora przechodzi przez wąską kładkę, z której łatwo spaść i która również łatwo może się złamać. Ale...

W tym miejscu schylił głowę i rozłożył ręce.

— Natura ma swoje środki! — dokończył.

— Więc stan jest rozpaczliwy? — spytała niespokojnie baronowa.

— Do ostatniej chwili nie należy tracić nadziei...

— Kiedy spodziewa się doktor przesilenia?
 — W malarii nie ma przesilenia. Jest tylko stopniowe zwolnienie rozwoju choroby i upadku sił, no — a potem wyzdrowienie.
 — Czy wypada przyspieszyć powrót ojca chorej? — pytała dama.
 — Nie zaszkodzi. Może to nawet wyrzucić pewien korzystny wpływ na system nerwowy.
 — A arendarz z ich majątku czy może odwiedzić chorą?... To dobry Żyd... On tak pragnie zobaczyć ją...
 — Owszem! — odparł doktor.
 Na zasadzie tego „owszem” Szmul uzyskał prawo odwiedzenia Anielki. Miał ją zobaczyć pierwszy raz od kilku tygodni. Uwiadomiła go o tym pani Wichrzycka, której Szmul nie omieszkał spytać:
 — Z przeproszeniem pani... Czy od tej słabości nie można się zarazić?
 — Skądże znowu?
 — Bo, widzi pani, ja mam dzieci — i... w tych czasach bardzo wiele interesów.
 — A dajże mi Szmul spokój! Sam Szmul chciał tam pójść, a teraz boisz się?...
 W arendarzu ocknął się duch Machabeuszów, plunął na rękę, przyglądał nią włosy i — nieco blady — począł przebierać nogami jak ognisty rumak przed bitwą.
 Już mieli iść, gdy nagle pani Wichrzycka przypomniawszy sobie coś wzięła z biurka spory flakon i obficie oblała kapotę Szmula wodą kolońską.
 — Czy to od zarazy? — spytał kręcąc nosem.
 — Od zarazy.
 Wyszli. W sieni spotkał ich kamerdyner Krzysztof, który obejrzał arendarza od stóp do głów i zapytał:
 — Cóż, pan Szmul dziś uperfumowany?...
 — To tak pani Wichrzycka... — odparł Szmul.
 W dalszych pokojach zetknęli się z lokajem, który ze śmiechem zawołał:
 — A to dopiero zalatuje od Szmula...
 Żyd zmieszał się.
 Potem spotkał ich młody doktor i ten znowu począł uważnie przypatrywać się arendarzowi, który pachniał jak ekstrakt wody kolońskiej.
 W końcu nawinęła się karbowa.
 — O la Boga, Szmulu! — zawołała — a dyć was tak czuć jak samą jaśnie panią...
 Arendarza pot oblał. Nie myślał on już o Anielce, ani o zaraźliwości choroby, ale o tym, ażeby ukryć swoją hańbę. Zdawało mu się bowiem, że miła woń, jaką dokoła rozlewał, jest występkiem cięższym aniżeli kradzież i oszustwo, za które także wytykają człowieka palcami.
 Gdy znalazł się w salonie, gdzie leżała chora, on, taki zwykle sprytny, stracił wszelką władzę nad sobą i pragnął ukryć się choć w mysiej jamie.
 — Przyprowadziłam pannie Anieli Szmula — rzekła Wichrzycka.
 Dziewczynka uśmiechnęła się.
 — Gdzie jest Szmul? — zapytała.
 — Ja tu jestem — odparł chowając się za Wichrzycką.
 — Aha! Jak się macie, Szmulu?... Nie przywieźliście mi ani razu listu od mamy... Ja nie wiem nawet, gdzie jest mama i co się z nią dzieje.
 W tej chwili ciotka Andzia zaczęła dawać jakieś znaki Szmulowi. Anielka spostrzegła to i zląkła się.
 — Szmulu! — zawołała — gdzie jest moja mama?... Co mu tak ciocia pokazuje rękami?...
 — Jaśnie pani zdrowa jest! — odezwał się Żyd zmienionym głosem.
 Anielka wpadła w rozdrażnienie.
 — Dlaczego Szmul taki niespokojny?... Chodźcie no do mnie, Szmulu! przysuńcie się...
 — Idźcie, Szmulu! — rzekła pani Wichrzycka.
 — Chodźcie tu, Szmulu! — mówiła ciotka.
 Ale Szmul ani myślał zbliżyć się do łóżka.

— Czy wy boicie się mnie? — pytała Anielka. — Czy ja taka chora, że już do mnie przyjść bliżej nie można?...

— Przepraszam bardzo — wyjąkał Żyd. — Ja nie dlatego, że panienska chora, nie chcę iść, ale dlatego, że ja... troszkę śmierdzą...

Ja tu potem wstąpię — rzekł i prędko wybiegł z pokoju.

Wichrzycka ze śmiechem powiedziała, jako Szmul wstydy się tego, że został uperfumowany, a ciotka Andzia potakiwała jej. Lecz Anielki nie można było uspokoić. Od tej chwili mówiła wciąż, że jest śmiertelnie chora i że mama musi być także chora.

— Ja już pewnie umrę, ciociu — szeptała z bolesną rezygnacją. — Niech ciocia modli się za mnie... Może by księdza sprowadzić?...

Ciotka była w rozpacz.

— Co ty mówisz o śmierci, dziecino kochana?... Co się tobie przywiduje?... Przecież tu jest doktor, który cię co dzień bada, a jednak nic podobnego nie przypuszcza...

Anielka przez chwilę milczała, a potem znowu szepnęła:

— Zawsze niech mi ciocia księdza poprosi.

Pani Anna była kobietą pobożną i wierzyła w natchnienia.

— Ha, moje dziecko — rzekła — jeżeli chcesz, to ci poproszę księdza. Wiadomo, że nieraz Ciało i Krew Pańska prędzej ludziom zdrowie przywracały aniżeli wszystkie lekarstwa.

A w duchu dodała:

„I jużci lepiej jest umrzeć z Bogiem, jeżeli już tak ma być!”

Gdy zawiadomiono panią baronową, że chora chce księdza, dama bardzo przestraszyła się. Dostała bicia serca, wysłała dwie depezy do pana Jana, ażeby nie zwłóczył z powrotem, i poczęła wypytywać doktora, czy tak straszna ceremonia nie pogorszy choroby dziecka.

— I... nie! — odparł. — Podobny akt może nawet zbawiennie oddziaływać na jej system nerwowy, jeżeli chora sama sobie życzy.

— A jakież jest stan jej? Czy rzeczywiście rozpaczliwy?...

Doktor wysoko podniósł brwi.

— Proszę pani, natura ma środki, jakich my nie domyślamy się nawet!

Baronowa wniosła z tych wyrazów, że nie ma już żadnej nadziei, wysłała do pana Jana trzecią depezę i zamknęła się w swym pokoju.

W pałacu i na folwarku poczęto mówić, że z Anielką jest źle.

W nocy wysłano najpiękniejszy ekwipaż na stacją drogi żelaznej naprzeciw pana Jana. Około dziesiątej rano przyjechał proboszcz.

Zawiadomiono Anielkę i ubrano ją w nową bieliznę. Dziewczynka z zajęciem przypatrywała się swemu kaftanikowi haftowanemu, służbie chodzącej na palcach, łzom ciotki i przerażeniu karbowej. Szczególną jakąś przyjemność sprawiała jej myśl o tym, że wszyscy tak dziś biegają około niej, że ona będzie się spowiadać i że umrze, jakby jaka osoba dorosła!

Ciotka Andzia dostrzegła, że Anielka jest spokojniejsza i wcale nie majaczy.

Doniosła jej więc, że lada chwila przyjedzie ojciec.

— Tak... A to dobrze! — odparła Anielka.

Przed spowiedzią lekarz zbadał jeszcze raz chorą, zmierzył temperaturę i zamyślił się. Następnie kazał jej podawać jak najczęściej stare wino, zamknąć żaluzje, gdyż Anielkę blask raził, i — poszedł na wieś odwiedzić kilku pacjentów. Ciocia Andzia przysunęła fotel do łóżka i oparła dziewczynkę na poduszkach w postawie siedzącej.

— Wie ciocia, że dzisiejszej nocy śniło mi się niebo. Widziałam tam wiele wysp jakby ze złota, na morzu zielonozłotym, ale to tak wydawało się tylko — z daleka. Z bliska niebo wyglądało jak ziemia. Są tam drzewa, trawniki, kwiaty, tych samych kolorów co i u nas, tylko jeszcze piękniejszych. Po jednym ogrodzie chodziła mama, a przed nią biegł Karusek... Jacy byli śliczni oboje!... Wołałam na nich, ale nie słyszeli mnie.

Nareszcie obudziłam się...

— Uspokój się, moje dziecko, zmów paciorek... — prosiła ciotka widząc, że Anielkę zmęczyło to opowiadanie i że rumieńce wystąpiły jej na twarz.

W uchylonych drzwiach ukazał się stary proboszcz w białej komeżce. Anielkę nagły strach ogarnął.

— Czy to już ksiądz przyszedł? — zawołała. — O, jakże się boję!... Dlaczego tu tak ciemno?... Jak tu ciemno!...

— Oczy cię bolały i dlatego doktor kazał przymknąć żaluzje — szeptała ciotka.

— Już mnie nie bolą — przerwała Anielka. — Otwórzcie choć jedno okno. Zdaje mi się, że już jestem na cmentarzu, w tej kaplicy, gdzie leżą dziadek i babcia.

— Otwórzcie okna! — odezwał się proboszcz siadając przy chorej.

Skrzypnęły żaluzje i jasny dzień wlał się do ponurego salonu. Ciotka wyszła zakrywając oczy, ksiądz szeptał po łacinie, a za oknem wtórował mu szelest drzew i świergot ptaków.

— Módl się, moje dziecko... — rzekł proboszcz.

— Jak tam ładnie!... — odezwała się Anielka wskazując na ogród. — Boże mój, Boże!... czy ja kiedy zobaczę dom nasz... mamę moją kochaną?...

Potem zaczęła bić się w piersi i spojrzała na księdza czekając jego pytań.

— Byłaś, moje dziecko, u spowiedzi przed Wielkanocą?

— Tak.

— Dobrze, moje dziecko. Trzeba przynajmniej raz na rok spowiadać się. A na mszy świętej bywałaś każdej niedzieli?

— Nie.

— Więc zapewne modliłaś się w domu?

— Nie zawsze — odparła Anielka spuszczać oczy. — Czasami biegałam po ogrodzie i bawiłam się z Karuskiem.

— Można się bawić w święta, ale zawsze trzeba się choć trochę pomodlić. A paciorek odmawiałaś co dzień rano i wieczór?...

Anielka zamyśliła się.

— Raz, wieczór, nie mówiłam pacierza.

— Z jakiegoż to powodu?

— Siedziałam długo przy mamie i zasnęłam na krześle...

Potem dodała z drżeniem w głosie:

— Wtedy nam się dom spalił... Może to za moje grzechy? — spytała patrząc bojaźliwie na proboszcza.

Spowiednik zakłopotał się.

— Nie jestem pewny, moje dziecko — rzekł — ale zdaje mi się, że nie... Słuchałaś też rodziców, chętnie wypełniałaś ich rozkazy?

— Nie — szepnęła Anielka. — Ojciec nie kazał mi rozmawiać z Gajdą, a ja rozmawiałam...

— Trzeba, moje dziecko, zawsze spełniać wolę rodziców, bo oni nic nie nakazują bez powodu. Po cóżeś rozmawiała z tym człowiekiem?...

— Prosiłam go, żeby córki swej nie bił... Ona taka mała...

— Ach!... Moje dziecko... moje dziecko... To dobrze, żeś prosiła, ale rodziców zawsze słuchać potrzeba... A nie wzywałaś kiedy imienia boskiego nadaremnie?...

— Tak.

— Doprawdy? — rzekł proboszcz. — I z jakiegoż to powodu, moje dziecko...

— Prosiłam Boga, ażeby ojca do nas przysłał!... potem mamę...

— Aha!... Moje dziecko...

Proboszcz dobył fularową chustkę i obtarł nos.

— Czy nic już nie pamiętasz, moje dziecko?...

— Nic...

— Bij się w piersi, moje dziecko, i mów: „Boże, bądź miłościw!...”. A za pokutę zmów jeden pacierz na intencją wszystkich grzeszników.

Odmówił nad nią modlitwę głosem zmienionym i prędko wybiegł z salonu unikając spotkania z ludźmi.

Młody doktor powracał właśnie ze wsi do pałacu, gdy pędem przeleciała obok niego karetka zaprzężona w cztery konie. Lekarza coś tknęło i przyspieszył kroku.

„To ojciec chorej! — pomyślał. — Żeby choć zaraz nie wpadł do niej, bo mi całą robotę zepsuje”.

I począł biegnąć kłusem.

Ale karetka wyprzedziła go znakomicie. Ledwie stanęła przed gankiem, wyskoczył z niej pan Jan, serdecznie powitał gospodynię domu, która wyszła na jego spotkanie, i zażądał, aby go natychmiast zaprowadzono do córki.

— W tej chwili ksiądz od niej wyszedł! — ostrzegła go baronowa.

Pan Jan zatrząsł się.

— Prowadźcie mnie do niej, niechże chociaż ją zastanę przy życiu... Na mojej drodze stają wciąż trumny i groby!...

Ciotka Andzia pośpieszyła naprzód; za nią pan Jan i baronowa weszli do salonu chorej.

— Jestem już... jestem, moja dziecińco!... — zawołał troskliwie ojciec biegnąc do łóżka.

Anielka ucieszyła się, choć nie tak gwałtownie, jak przewidywał lekarz.

— O, jak to dobrze, że tatko już przyjechał... Nam było źle...

Pan Jan ścisnął ją i całował.

— Wiem, że było wam źle na tym przeklętym folwarku, który obecnie sprzedałem. Ale zacna baronowa Weiss dowiedziawszy się...

— Weiss?... — spytała Anielka szeroko otwierając oczy. Przyszła jej na myśl mimo woli podsłuchana rozmowa ojca ze Szmulem.

— Tak, jesteście przecież w domu pani Weiss... — odparł zdziwiony pan Jan.

Teraz Anielka zaczęła przypatrywać się ojcu uważniej — i przy kołnierzu czarnego surduta dostrzegła dwie białe tasiemki.

— Co to?... żałoba?... — zapytała drżąc. — Po kim tatko w żałobie?...

Nagle błysnęła jej jakaś myśl.

— Mama nie żyje!... — krzyknęła zasłaniając rękoma oczy i upadła na poduszki.

Ojciec pochylił się nad nią.

— Anielciu!... uspokój się! — mówił. — Anielciu!... Anie... O, Boże...

I ukląkł przy łóżku.

Dziecko leżało blade, bez ruchu.

W tej chwili wbiegł do salonu doktor. Widząc, że ciotka Andzia zanosi się od płaczu, że baronowa zdaje się być bliska zemdlenia, a pan Jan klęczy, odgadnął coś niedobrego. Zbliżył się do Anielki, wziął ją za puls... Posłuchał oddechu... Anielka już nie oddychała.

Pan Jan ożenił się z panią Weiss w karnawale — i już podobno w wielkim poście został pod pantoflem drugiej małżonki swojej, osoby, jak się następnie okazało, bardzo energicznej. Dała ona władcy serca swego w zamian za piękne nazwisko wszelkie wygody, ale ograniczyła jego wydatki pozadomowe. Dzięki tajemnej interwencji Szmula pan Jan prawie nie mógł długów zaciągać, a że i sąsiedzi nie bardzo chętnie podejmowali go, zasiedział się w domu żony i — począł tyć.

Józia pięści macocha, lecz pomimo to ujęła wychowanie jego w pewne karby. Rośnie więc na przyzwoitego panicza.

Nareszcie Szmul otrzymał młyn od pani Weiss wciąż powiększa swoją fortunę, a karbowy Zajac dostał obowiązek w majątku pani Janowej.

Szkoda tylko, że nieborak od owej znajomości z karczmą, zrobionej pod wpływem tęsknoty za pustym folwarkiem, zagląda dosyć często do kieliszka i jest źle traktowany przez żonę.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-anielka>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Anielka*. Placówka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Justyna Radomińska, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Marta, srocza, Gosia M., Grzesiek, Pablo, jimpster, Justyna Zborowska-Stunża, Łukasz Kamiński, Wojtek.

ISBN 978-83-288-0723-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.